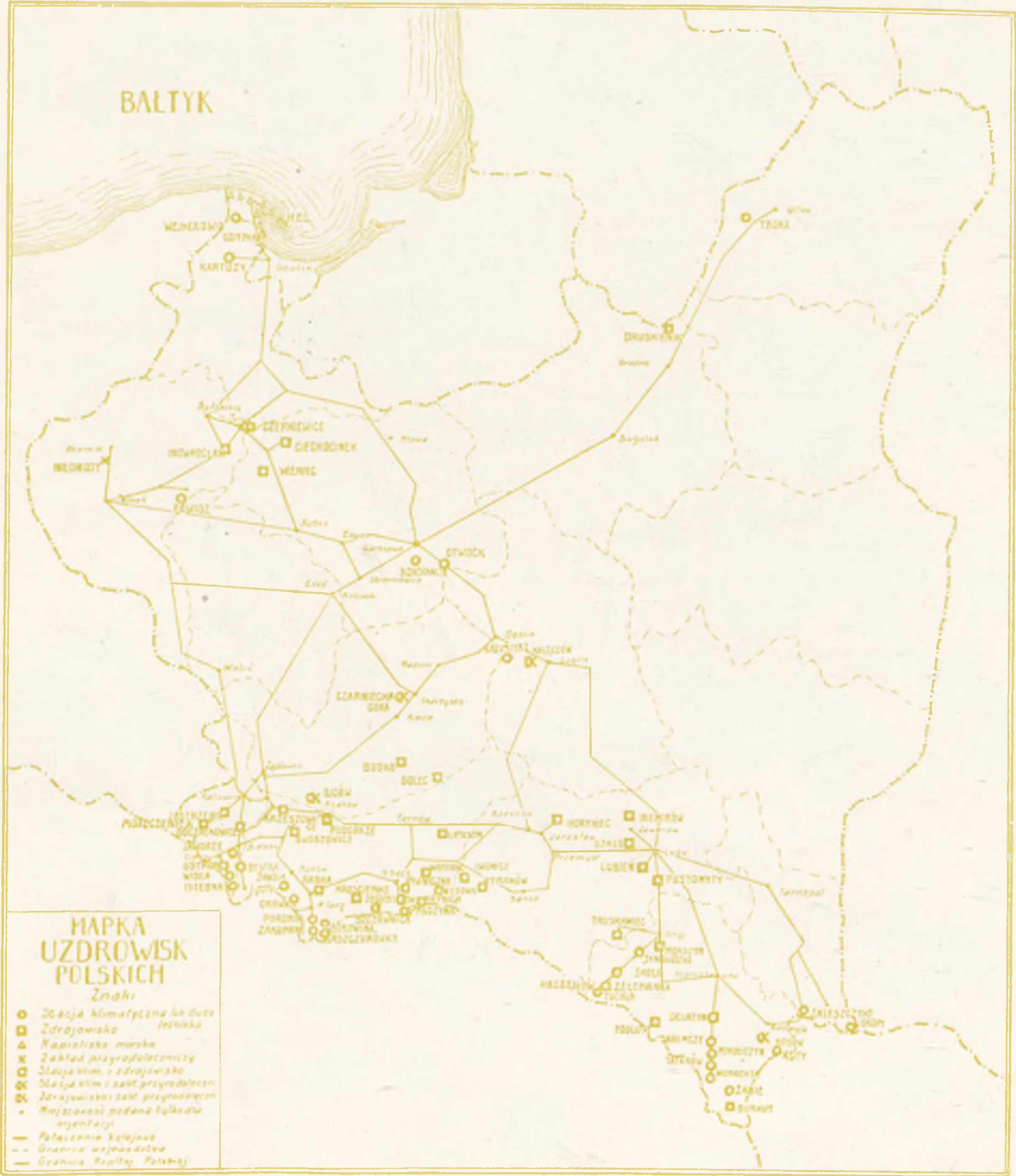
SŁOŃCE



WIOSNA 1930



Szczegółowe, bardzo dokładne opisy wszystkich powyższych uzdrowisk oraz mnóstwa letnisk znajdzie Czytelnik w *Przewodniku po uzdrowiskach i letniskach polskich Cz. Rokickiego,* opracowanym z udziałem *prof. L. Korczyńskiego.* Ok. 300 ilustracyj, piękny papier, druk dwubarwny. Wyd. III, obszerniejsze, 3 zł. 75, wyd. IV 3 zł. We wszystkich księgarniach. Skład gł.: Dom Książki Polskiej.

SŁOŃCE LE SOLEIL

TREŚĆ ZESZYTU I WIOSENNEGO

SOMMAIRE-FASCICULE I PRINTEMPS

Następny zeszyt (Słońca) ukaże się w ciągu lipca



2

SŁOŃCE

TURYSTYKA × KRAJOZNAWSTWO
UZDROWISKA × LETNISKA × SPORT
POD REDAKCJĄ CZESŁAWA ROKICKIEGO

ZESZYT I × WIOSNA 1930 × ROK I

Idziemy z nowem pismem. Stanowi ono ciąg dalszy naszego «Przewodnika po uzdrowiskach i letniskach polskich». Obejmuje jednak zakres o wiele szerszy i zupełnie innym się posługuje wyrazem. Ślemy nasze «Słońce» nietyle zamiłowanym krajoznawcom, biegłym już turystom i przekonanym miłośnikom naszych uzdrowisk i letnisk, ile raczej tym, którychbyśmy zjednać dla owego miłośnictwa chcieli. Pragniemy, aby «Słońce» dotarło do najszerszego ogółu czytającego. Sądzimy, że w postaci, jakąśmy mu nadali, zdołamy skuteczniej, niż w jakiejkolwiek innej, osiągnąć cel zamierzony.



Wiosenna pobudka harcerska — Fot. J. Ryś

Dr. Roman Kordys

Przedsłannicy turystyki polskiej

Wiek XVI i XVII

Turystyka, jeżeli przez nią rozumiemy najrozmaitsze formy *podróżowania dla przyjemności*, a zatem pozornie bezcelowego, nie podporządkowanego żadnym praktycznym względom, jest zjawiskiem w dziejach kultury stosunkowo bardzo młodem. Ruch turystyczny powstał w rzeczy samej dopiero w wieku XIX. Przedtem należał do zjawisk zupełnie wyjątkowych. Samo podróżowanie było uciążliwym trudem, podejmowanym tylko z ważnych przyczyn. Wrażliwość na piękności przyrody – podnoszona dziś do apoteozy – jest zgoła obca podróżnikom nawet XVII i XVIII wieku. Więcej jeszcze: to, co dziś uważamy za najwspanialsze i najpiękniejsze dzieło Stwórcy – góry niebotyczne i przepaściste – budziły jeszcze sto lat temu więcej grozy i przygnębienia, niż podziwu.

Oto co pisze o przyrodzie szczytów górskich wielki Staszic (r. 1815): ... *natura staje się martwą, jest smutną, jest okropną. Jest ona i tu zawsze wielką, zawsze nieskończoną, ale dla zmysłów człowieka juz zbyt jednostałą... wydaje mu się czczą.*

A jeszcze bardziej charakterystyczne, to wyznanie słynnej *George Sand*, zawarte w liście z tak podziwianego dziś Chamonix u stóp Mont Blanc'u.

Nuda opanowuje mnie w pośród tej monotonnej, ociężałej przyrody. Czyż w gruncie rzeczy można sobie wyobrazić coś bardziej głupiego, niż góry?

Najpiękniejsze, co widziałam w Chamonix, to była moja córka.



Tatry od północy podług rysunku z r. 1792
Wielki Kolba oznacza Szczyt Lodowy, *Wisoka* Garłuch, *Szabie* Żabie – błędnie umieszczone, *Rybia* dwa szczyty – Wysoką i Rysy, *Pienti Stawi* Wołoszyn

A gdy tak pisała o górach słynna George Sand, któż ważył się w tych czasach na trudy ciągnącej się w nieskończoności, przykrej i mozolnej podróży, aby gdzieś szukać wrażeń na łonie przereklamowanej przez J. J. Rousseau natury.

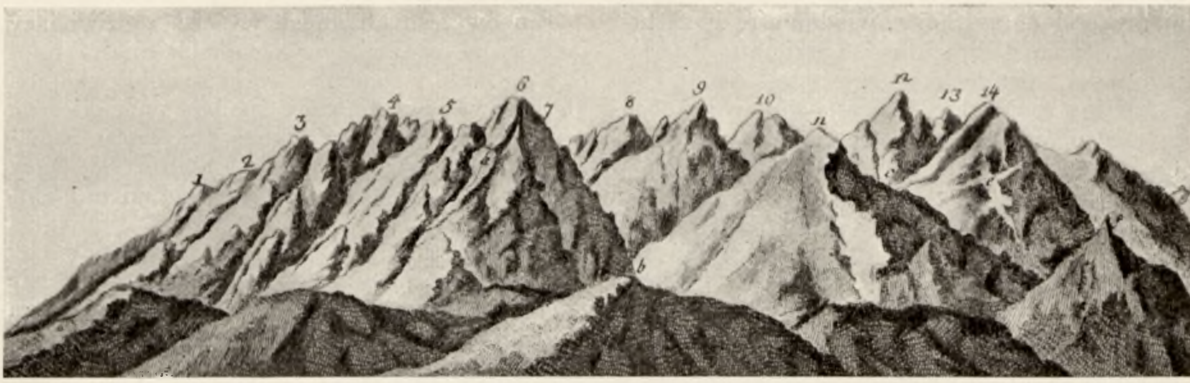
Bo przecież podróż nie była wówczas żadną przyjemnością. Dziś w siedem godzin, ze słuchawkami radjowemi na uszach, przebiegasz w wygodnym wagonie przestrzeń, dzielącą Kraków od Warszawy. A jak było sto lat temu? Oto opis z r. 1828: * ....*i puściliśmy się (od Kleparza) szczęśliwie na ocean bezdroża. Były tam rozmokłe gliny, stojące strumienie, bagniste góry, mylące doliny, straszydła nazwane miastami, obszarpane chaty udające poczamty i t. d. ...To tylko pamiętam, że – ledwie po kilkunastu przerzuceniach z bryczki na bryczkę, przez całe 2 dni i 2 noce, przybyłem znękany, niewyspany, mokry i głodny do Warszawy – zaraz mnie kaszel i katar osadziły na 3 tygodnie w areszcie domowym i kazały mi się cieszyć, że mnie febra lub zgniła gorączka nie nawiedziły.*

Takie były objektywne warunki podróżowania i podobne im poglądy na turystykę przed stu laty, lub niewiele więcej lat temu. Od tych czasów dzieli nas radykalna zmiana warunków i nie mniej radykalna zmiana pojęć. To, co przed stu laty było nadzwyczajnością i wydarzeniem podziw budzącem, dziś jest czemś zwyczajnem i codziennem. I dlatego śledząc za pierwocinami polskiej turystyki w wiekach dawno minionych, nie możemy ani na chwilę zapomnieć, że były one czemś rewelacyjnem, przejawem nowych myśli i popędów, niezrozumiałych współczesnym, i co więcej – wydarzeniami, nie mającemi żadnych odpowiedników w krajach zachodnich.

Jakkolwiek brzmi to niewiarygodnie, istnieli już w XVI i XVII wieku *miłośnicy przyrody*, wdzierający się w głąb Tatr, wówczas, gdy o czemś podobnem w leżących w centrum ówczesnego świata Alpach nikomu się nie śniło.

Cofnijmy się w połowę XVI wieku. Przez świat ówczesny płynie głębokim nurtem ożywczy prąd Odrodzenia, przenikający wszystkie niemal dziedziny życia duchowego. Za przykładem Petrarki, który pierwszy wychodzi na

* Pietrusiński. Podróże, przejażdżki i przechadzki po Europie. Warszawa, 1845 r., tom III, str. 305.



Najstarsza panorama Tatr – J. Buchholtza – z roku 1717

Przedstawia Tatry od południowego wschodu. — Objaśnienia: 1. *Góra Wysoka w Liptowie* – Krzywań, 2. *Pierwsza Góra Spiska* – Szatan, 3. *Góra Batyżowiecka* – Kończysta, 4. *Góra Gierlachowska* – Gierlach, 5. *Kastenberg* – Staroleśna, 6. *Sławkomka* – Sławkowski Szczyt, 7. *Nos Królewski*, 8. *Góra Ryglowa* – Jaworowy Szczyt, 9. *Kahlenberg* – Poślednia Grań, 10. *Gęsior* – Lodowy Szczyt, 11. *Łomnicka Grań*, 12. *Najwyższy Szczyt Kieżmarski* – Łomnica, 13. *Turnie Kieżmarskie* – Widły, 14. *Szczyt Huńcowski* – Kieżmarski

szczyty gór włoskich, zaczyna człowiek odkrywać piękno krajobrazu górskiego. W Polsce wówczas zasiada na tronie ostatni z Jagiellonów. Tatry i Podtatrze, jak już nigdy potem w równie obszernych granicach, należą w lwiej części do Polski. Nietylko dlatego, że starostwo spiskie wchodziło w skład Rzeczypospolitej. W Kieżmarku, mieście, które nigdy w skład starostwa nie wchodziło, ale które leżało najbliżej Tatr i którego dzierżawy w najgłębsze zakątki gór zachodziły, panuje wówczas polska rodzina magnacka. Król węgierski Jan Zapolja darował Hieronimowi Łaskiemu, wzamian za usługi wojenne miasto to z wszystkiemi przynależnemi gminami. Syn jego, Olbracht, sławny z przygód i męstwa, urodził się na zamku kieżmarskim, u stóp królowej Tatr, Łomnicy. Tej samej Łomnicy, która uchodzi wówczas za jeden z najwyższych szczytów świata. Wszak Dawid Frölich (1600 – 1646), sławny *matematyk nadworny*, którego geografja była przez długie lata podręcznikiem szkolnym w wielu europejskich krajach, uczył, że góra ta wznosi się na wysokości... jednej mili niemieckiej, t. j. $7^1/_2$ kilometra! i że sięga do najwyższych regjonów powietrza, dokąd... nawet wiatry nie dochodzą (!). Kraina to groźna i niedostępna, *dzikością i spadzistością przewyższająca znacznie Alpy włoskie, szwajcarskie i tyrolskie* – i dziwów wszelakich pełna. Jeszcze w połowie XVII stulecia ukazał się – jak zapisał kronikarz spiski Kasper Hain – w okolicy Szczyrskiego Jeziora smok ogromny, który zamieszkał w opuszczonej kaplicy, napędzając przez dłuższy czas strachu ludziom i zwierzętom.

I w tych to strasznych, przerażających ogromem i dzikością górach, natrafiamy na pierwszy ślad polskiej turystyki, i to 365 lat temu.

Co najdziwniejsza – tym pierwszym turystą polskim i niewątpliwie pierwszym tatrzańskim wogóle turystą w znaczeniu nowoczesnem – *admirator naturae* u Frölicha – a nie żadnym przyrodnikiem, albo choćby poszukiwaczem skarbów – była... kobieta.

Na początku turystyki polskiej stoi Beata Kościelecka, żona Olbrachta Łaskiego.

W lakonicznej, średniowiecznym obyczajem prowadzonej kronice miasta Kieżmarku znaj-



Dolina Zielonego Stawu Kieżmarskiego
podług rysunku Roberta Townsona z roku 1793.

dujemy pod datą 1565 r. wiadomość, że zaślubiona właśnie Olbrachtowi Łaskiemu (Laszky w pisowni niemiecko-węgierskiej), panu na Kieżmarku, małżonka * *znajdowała w tej okolicy wiele upodobania i podczas Zielonych Świąt odbyła podróż w góry w licznem gronie panów z miasta.*

* Olbracht Łaski poślubił Beatę Kościelecką w r. 1564. Beata z Kościelecki Łaska, to postać ze wszech miar ciekawa. W bibljotekach krakowskich jest kilka wzmianek rękopiśmiennych, odnoszących się do jej pobytu w Kieżmarku, gdzie ją po roku 1565 więził czas dłuższy jej małżonek – i następnie w Koszycach na Słowaczyznie. Szczegóły te historycznie są zupełnie nie opracowane.

Ten ówczesnych ludzi wysoce zadziwiający fakt został zapisany w kronikach miasta między opisami wypadków wojennych i wielkich klęsk żywiołowych, które spadały na miasto na przestrzeni wieków. Żadnego podobnego zapisku już tam nie znajdziemy. Podróż w Tatry była w tym czasie czemś nadzwyczajnem i zdumiewającem.

Niestety, żadnych dalszych szczegółów tej pierwszej wyprawy tatrzańskiej nie mamy. Nie wolno nam przypuszczać, aby to była wycieczka na jakiś szczyt tatrzański; przypuszczenie takie byłoby zbyt śmiałe i nie poparte żadną analogją. Nigdzie na świecie, nawet w znanych od dawna Alpach na zuchwalstwo się takie nie ważono. Zresztą wiosenna pora roku (Zielone Święta) wraz ze śniegami, leżącemi wówczas na górach, wyłączają taką hipotezę. Będziemy jednak najbliżej prawdy, jeżeli przyjmiemy, że celem *podróży* była – należącą do dóbr Kieżmarskich – dzika dolina Zielonego Stawu, zwanego obecnie Kieżmarskim, – w samym jądrze gór, u stóp najgroźniejszych przepaści tatrzańskich położona, którą i dziś do najcudniejszych zakątków Tatr się zalicza. Pogląd ten podzielają zresztą także niemieccy i węgierscy historycy taternictwa.

Rok 1565 i nazwisko Beaty Łaskiej zapisane być musi na pierwszej karcie dziejów turystyki polskiej.

Drugi ślad historyczny turystycznej działalności Polaka pochodzi z połowy XVII stulecia i jest – jak to odrazu zaznaczyć wypada – dziwnie tajemniczy. Oto w tomie V-ym na str. 697 *Słownika geograficznego* z r. 1884 znajdujemy w ustępie poświęconym szczytowi Łomnicy (2634 m), która jak wiemy aż do po-



W maju przed zmierzchem — Photo-Plat

łowy XIX w. uchodziła za najwyższe wzniesienie Tatr, lakoniczną wiadomość, *że w czerwcu r. 1640 wdrapał się na szczyt Łomnicy akademik krakowski, Siedmiogrodzki.*

Zaznaczyliśmy już, że wiadomość ta brzmi dziwnie tajemniczo. Umieścił ją w *Słowniku* nieżyjący już dr. Bronisław Gustawicz. Skąd ją wziął, niewiadomo. Ciekawe jednak, że ten sam rok 1640 podaje, jako datę zwiedzenia Łomnicy przez Ślązaka - anonima – Wagner, zasłużony wydawca wielotomowych źródeł spiskich (*Analecta Sceputii*). Węgierskie źródło z r. 1836 (J. Némethy) podaje dla tego samego faktu datę 1631 r. Wszystko przemawia za tem, że jednak w tym czasie, ok. r. 1640 zaszło w turystyce tatrzańskiej jakieś znakomite zdarzenie, pisane w kilku od siebie niezależnych źródłach.

Ale najciekawsze, że zachował się obszerny i arcyciekawy opis tej właśnie wyprawy, o której pisze Wagner i Némethy i do której wedle wszelkiego prawdopodobieństwa odnosi się także zapisek Gustawicza.

Opis ten jest dokumentem historycznym jedynym w swoim rodzaju, nie mającym w światowem piśmiennictwie turystycznem żadnego odpowiednika. W czasach, kiedy w Alpach nikomu się jeszcze nie śniło o wychodzeniu na szczyty górskie – w pierwszej połowie XVII stulecia – za świadectwem tego barwnego i żywego, dokładnego i bezwzględnie autentycznego opisu, dowiadujemy się, że w Tatrach przedsiębierano wówczas, jakkolwiek niezmiernie rzadko, szczytowe wyprawy, dokonywane z wysiłkiem wielkim i w niebezpieczeństwie życia. I co więcej – że istniało tam już dość wysokie doświadczenie w zakresie turystyki wysokogórskiej, istniał sprzęt odpowiedni oraz coś w rodzaju przewodnictwa.

Opis ten znajduje się w roździale XIII wydanej w r. 1683 książki niemieckiej p. t. *Der Ungarische oder Dacianische Simplicissimus.* Nie tu miejsce na streszczanie tego rozdziału i wyjaśnianie najrozmaitszych spraw złączonych z tym w czasach ostatnich coraz częściej w piśmiennictwie naukowem omawianym dokumentem. Wymagałoby to obszernej rozprawy.

Zaznaczymy tylko, że bezimienny autor opisu – niekoniecznie nawet identyczny z autorem



Wiosna się uśmiecha — Z Łowickiego Photo-Plat



Krajobraz wiosenny na Mazowszu warszawskiem — Fot. H. Poddębski

książki, gdyż jest ona kompilacją – student liceum kieżmarskiego wraz z pięciu swymi kolegami – wśród nich był może późniejszy student krakowski, Siedmiogrodzki – wychodzą z Kieżmarku do wsi Staroleśnej w ostatnich dniach czerwca niewiadomego roku, ale w każdym razie przed r. 1646. We wsi tej mieszkał nauczyciel, który najmował się za przewodnika i oprowadzał po Tatrach. Był on w tych sprawach doświadczony: określił z góry, ile i jaki prowiant mają zabrać z sobą, wziął z sobą na wycieczkę osobny worek zawierający kolczaste żelaza pod obuwie, na łokcie (!) i kolana (!) oraz liny, zawczasu obejrzał obuwie swych turystów, odrzucając dwie pary z nazbyt wysokiemi obcasami. Miał ze sobą zapiski, w których *wymalowane i oznaczone były różne znaki gór, wąwozów i skał.* A gdy wyprowadził swych gości po dwudniowych wysiłkach na szczyt góry, wydobył tam z pod kopczyka blaszane pudełko, a z niego kawał pergaminu, gdzie zapisane były nazwiska ludzi, którzy tak wysoko doszli i za opłatą po jednym guldenie dostarczywszy swym turystom pióra i atramentu, pozwolił zapisać ich imiona i daty na pergaminie na wieczną rzeczy pamiątkę.

Wszystko to są rzeczy zdumiewające i byłyby nie do wiary, gdyby nie fakt, że opis ten jest niewątpliwie autentyczny. Jedno tylko zostało przez krytykę obalone, a to rozpowszechnione aż po ostatnie czasy przekonanie, że szczyt zwiedzony przez anonima był Łomnicą. Okazało się, że *królowa Tatr* aż po końcowe lata XVIII wieku uchodziła za niedostępną, a pierwszym turystą, który na jej czubie postawił nogę był Szkot, Robert Townson w 1803 r., po nim zaś Stanisław Staszic, który spędził na szczycie noc z 21 na 22 sierpnia 1806 r.

Więc jakkolwiek nie była to Łomnica, szczyt zwiedzony przez naszych studentów należał do najwyższych w Tatrach. Wedle najświeższych poglądów był nim najbliższy sąsiad Łomnicy – szczyt Kieżmarski (2555 m), oznaczony na odtworzonym tutaj najstarszym rysunku tatrzańskim z r. 1717 nazwą szczytu Huncowskiego. Jest to tem ciekawsze, że fachowe piśmiennictwo tatrzańskie aż po ostatnie czasy nie znało wcześniejszego zwiedzenia Kieżmarskiego szczytu niż z r. 1877.

Tak się przedstawia ta niezwykła wyprawa, z którą się kojarzy wyprawa akademika krakowskiego, wzmiankowanego przez Gustawicza.



Wiosna w rozkwicie — na Mazowszu warszawskiem nad Jeziorką   Fot. H. Poddębski

Tylko te dwa nazwiska, Beata Laska i akademik Siedmiogrodzki – dały się wydobyć z nurtów XVI i XVII stulecia. Pomijamy tu rozmyślnie *uczonego* Michała Chrościńskiego, żyjącego prawdopodobnie pod koniec wieku XVII, który pozostawił ogłoszone w r. 1905 drukiem *Opisanie ciekawe gór Tatrów za nowym Targiem na cały świat słynących, wszelkiemi klejnoty i bogactwy ozdobionych i niezliczonemi minerałami napełnionych.* Chrościński nie miał nic wspólnego z turystyką. Jego *opisanie* jest tylko odmianką rozpowszechnionych wówczas szeroko *„spisków"* poszukiwaczy tajemniczych skarbów w Tatrach, szukających ich wśród najniedostępniejszych skał i lodów z całym aparatem *wiedzy tajemnej*, koniecznej do zaklęcia demonów-strażników. Namiętność szukania skarbów zapełni w Tatrach cały wiek XVIII. *Wielbicieli przyrody – admiratores naturae* wśród nich nie spotykamy.

Toteż tylko w tych odosobnionych zjawiskach czasów odrodzenia znaleźć możemy przedsłanników na dzisiejszą modłę pojętej turystyki.

Wycieczka. — Kto nie podróżował pieszo po kraju, z kijem w ręku, plecakiem na ramionach i ze swobodną myślą i sercem, ten nie zaznał rozkoszy prawdziwej turystyki.

Na całkowite pojęcie wycieczki turystycznej składa się poczucie zwiększonej swobody fizycznej i moralnej, wolna przestrzeń, szeroki oddech, zetknięcie bezpośrednie z przyrodą; a z drugiej strony – bezpośrednie poznawanie kraju.

Wycieczka po kraju jest i powinna być ucieczką i wytchnieniem od młyna zgiełkliwych, stłoczonych miast, od trybu życia przytwierdzonego do miejsca, skrępowanego siecią różnorakich więzów. Gdy człowiek przykuty przez cywilizację do siedziby i warsztatu, wyrwał się na wycieczkę, to czuje, jak mu rozsadza piersi radosna przemiana. Oto odzyskał pierwotną swobodę ruchów, wolność pełniejszą, cenne sobiepaństwo cygańskie.

Bezpośrednie poznawanie kraju na wycieczce, to wielokrotny czynnik wychowawczy, to ciąg dalszy mędrcowego poznawania samego siebie, to pogłębianie i uszlachetnianie jaźni.

Tylko na wycieczce pieszej, odbywanej bez szczególnego pośpiechu, człowiek głęboko przeżywa wrażenia.

Więc kogo tylko czas, wiek, słabe zdrowie nie więzi – worek na plecy, kij do ręki, i w drogę! – *r*



Wiosna L. Nadelmanówna

Przyroda powołała wszystko do ruchu. Krasi, maluje i zdobi.

Wiosno życiopędna, wrócona córo Matki-Ziemi, kochanko słońca! Tobie się kłonią młode pędy drzew; nabrzmiałe pąki tobie się kołyszą dziękczynieniem; wtóruje im poszum lasów młodniejących.

Wzorzyście tkane sumaki pól naszych i czysty lazur nieba — to twoje dzieło!

W promienistej powodzi twego słońca ptak rozpina prężniej swe skrzydła i rwie się do lotu; żyje oddechem swobody. Patrz, wzbił się wysoko, pod nieba.

Człowiekowi radość pełni serce i nadzieja. Z przygniecionych pokładów dusznych wstają nowe siły żywotne i pragnienia.

Brak tylko człowiekowi słów na wypowiedzenie uroku, pod jakim zostaje. Słowik jedynie potrafi wyśpiewać ciebie.

Wiosno, nawet na kanwie kraty więziennej i okienka sutereny promieniem słońca haftujesz złotą nadzieję.

Jan Ciemiechowicz

Odżycie

Śmieje się dzień blaskiem roztopionego złota. Drzewa, wyciągają nagie konary ku słońcu w żarliwej modlitwie o jego dary bez ceny: światło i ciepło.

Wody, pełne srebrzystych lśnień, poruszają się trochę jeszcze leniwie — jeszcze półsenne — lecz już posyłają w górę radosne uśmiechy, otrzymując wzamian promienny deszcz ciepłych pocałunków.

Ziemia oddycha swobodnie i krzepi się nadzieją rychłego płodzenia.

Aleksander Maliszewski — Słońce

W chwiejbę zboża chabrami jak niebem utkaną,
w łąki świtem skropione, malowane zmierzchem,
jak wino musujące, niby w kulę szklaną,
w świat wlewasz jasność, siłę, czas i przestrzeń.

Kołysze się niebieski nieboskłon-kołyska,
i zdaje się, że niebo — lustrem zwisającem,
i zdaje się, gdy oczy siłą światła błyszczą,
żeś ty naszą miłością — a my twojem słońcem.

A kiedy zachód w oknach niby w lampach płonie
i drzewa koronami toną w srebrnej nocy,
na skupione w modlitwie cicho siadasz dłonie —
ciszą i światłem broczysz na zmęczone oczy.

Dr. Aleksander Krasuski

Słońce dla zdrowych i chorych

Wszystkie choroby rodzą się w cieniu, a leczą się w słońcu
Przysłowie neapolitańskie

Od najdawniejszych czasów korzystali ludzie z ożywczego działania słońca. Człowiek, jak każde stworzenie, zawsze, wszędzie instynktownie dąży do jego promieni, lubi się wygrzewać na słońcu.

Można sobie wyobrazić, ile różnorakich wzruszeń budziło słońce w człowieku pierwotnym. Usuwając mrok nocy, ogrzewając skostniałe od zimna ciało, niosąc w darze odżycie i radość, składało się na pojęcie czegoś nieskończenie potężnego a dobroczynnego. Wyrazem tego jest rola, jaką wyznaczano słońcu w religjach starożytnych i w mitologji.

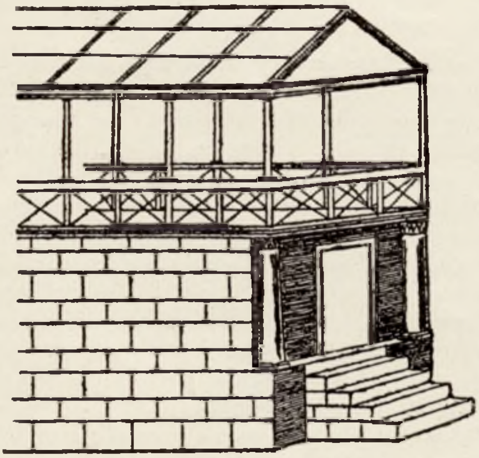
W praaryjskiej Persji słońce było wyobrażeniem pierwiastka wszelkiego dobra. Potężną, panującą rolę grało w religji rolników egipskich. Babilon i Fenicja czczą je, jako czynnik zwalczający choroby i wywołujący dojrzewanie plonów ziemi. Chińczycy w słońcu widzą bóstwo wybitnie twórcze. Japończycy nawet w nowszych czasach oddawali cześć boską słońcu. Finnowie. Lapończycy, Eskimosi, którym przyroda tak poskąpiła słońca, uważają je za najwyższą siłę ochronną zdrowia, za obronę od chorób i smutku. Nansen podaje, że ludy dalekiej północy skwapliwie korzystają z promieni słonecznych i że w odpowiedniej porze kąpiel słoneczna jest u nich rozpowszechnionym zabiegiem. Helios i Apollo stoją w naczelnym szeregu śród bóstw starożytnej Grecji i Rzymu. Asklepios czyli rzymski Eskulap, bóg lekarzy i lecznictwa, jest synem Apolina, boga słońca. Ludy starożytnego, słonecznego Meksyku uważały się za synów słońca.

Starożytni powszechnie stosowali kąpiele słoneczno-powietrzne wraz z gimnastyką. Arystoteles uważa je za główny czynnik kształtujący zdrowego i pięknego człowieka. W świątyni Asklepiosa w Epidauros znajdowała się umyślna galerja – dziś powiedzielibyśmy: weranda – zwrócona na południe, gdzie chorych wystawiano na działanie promieni słonecznych.



Kąpiel słoneczno-powietrzna w Druskienikach — Ze zbiorów Zw. Uzdrowisk Pols.

Termy rzymskie posiadały umyślną salę, przeznaczoną na kąpiele słoneczne, a nawet w domach prywatnych były podobne urządzenia. Na szczytach domów Rzymianie urządzali osobne pomieszczenia otwarte, t. zw. *solaria*, służące



Solarium tectum w domu rzymskim

do kąpieli słonecznych. Rzecz znamienna, że już wówczas wyróżniano pewne okolice, jako szczególnie korzystne dla takich kąpieli. Cornelia Salonina, żona cesarza Galiena za poradą lekarzy udaje się na kurację słoneczną – do Nicei.

Grecy i Rzymianie nago uprawiali gimnastykę i nago odbywali kąpiele słoneczno-powietrzne. Starożytnych nagość nie raziła; podziwiali oni nagie piękno doskonale zbudowanego ciała; w nagości szukali tematów i natchnień do dzieł sztuki. Jakoż kąpiel słoneczno-powietrzną dla zupełności jej działania należy przyjmować na gołe ciało; jedynie w tych warunkach osiąga ona całkowity skutek.

W zaraniu chrześcijaństwa ojcowie kościoła, zwalczając zepsucie i upadek moralny starożytnych, potępiają nagość. W zakresie hygjeny jednak nagość zachowała swe prawa. Kąpiele słoneczne, acz nie tak dalece, jak w starożytności, zachowały się i w wiekach średnich. Po wojnach krzyżowych rozpowszechniają się nawet. Mistrz teologji katolickiej XIII w. św. Tomasz z Akwinu, ożywiając duchem chrześcijańskim filozofję Arystotelesa, wielbi słońce, jako czynnik niezbędny dla życia zwierząt i ludzi. Niektórzy lekarze średniowieczni zwracają uwagę na leczniczą moc słońca w chorobach.

Czasy odrodzenia wnoszą wiele zachwytu dla myśli i piękna świata starożytnego. Jednak zachwyt ten mało wpływa na życie, na zrozumienie prostych zasad zdrowotności starożytnych Rzymian i Greków. Rabelais, wielbiciel słońca, który głosi, że słońce, to źródło zdrowia i radości, jest raczej wyjątkiem w owych czasach. Doba odrodzenia jest, wbrew wszelkiemu spodziewaniu, okresem zacofania w dziedzinie lecznictwa. Medycyna ówczesna, ulegając powszechnym przesądom, zapomniawszy o przyrodzonych środkach leczniczych, stosuje sztuczne leki, śród których złoto płynne, psie mleko, żółć kogucia gnój świński i t. p. środki cudaczne i zabobonne długo jeszcze się trzymają.

Właściwie dopiero w. XIX przynosi nowoczesne, świadome i ugruntowane w całej pełni zrozumienie wartości zdrowotnych i leczniczych promieni słońca. Podstawę ku temu dają wyniki badań naukowych fizycznych i fizyczno-lekarskich. W r. 1850 w Austrji Rikli tworzy sanatorjum, gdzie leczenie promieniami słonecznemi zajmuje miejsce górujące. *Nic nie zdoła zastąpić światła słonecznego. Pozostanie ono czynnikiem niezastąpionym, nie dającym się naśladować, źródłem energji dla komórki żyjącej* – mówi Finsen. Zdanie to wyraża współczesny pogląd na znaczenie lecznicze promieni słońca.

Korzystanie ze słońca wpływa zarówno na sferę moralną jak i fizyczną człowieka. Pod wpływem naświetlań słońcem wraca dobre samopoczucie, siły się wzmagają i apetyt, sen się polepsza, drażliwość nerwowa zmniejsza. Skóra zabarwia się zdrowo, mięśnie zmierzają ku pełnemu rozwojowi, osiąga się harmonijny rozwój ciała. Nawet linje ciała stają się subtelniejsze. Naświetlanie więc słońcem dodaje nam wdzięku i siły. Jakąż miał rację Michelet, mówiąc: *kwiat ludzki, to kwiat, który najbardziej potrzebuje słońca!* Michelet w swym zachwycie poetyckim, przejawiającym się w opisach słońca i morza, wyczuł głęboko ich moc leczniczą.

Współczesna medycyna stosuje słońce, jako czynnik leczniczy w rozmaitych chorobach oraz zaleca jego promienie zdrowym, jako czynnik zachowujący zdrowie.

Słońce stosujemy w pewnych cierpieniach gruźliczych, gdzie przyjmowane ogólnie na nagie ciało wywiera wpływ zabójczy na bakterje gruźlicy. Pod wpływem promieni słonecznych ogniska gruźlicze stopniowo zabliźniają się i leczą. Leczenie promieniami słonecznemi szczególnie skutkuje w gruźlicy skóry, gruczołów, narządów płciowych, kości, kręgów, otrzewnej,



Napis łaciński, znaleziony w Tunisie w miejscowości Korbus, opiewa, że prokonsul rzymski Laelius wzniósł godne uwagi solarium

jelit. Lecząc te cierpienia, należy zwrócić uwagę na stan płuc, gdyż przy gruźlicy płucnej naświetlanie promieniami słonecznemi może być szkodliwe. Ostrożność więc nakazuje ludziom chorym, aby zasięgali zawsze w tej mierze porady lekarza.

Poza wyżej wspomnianemi cierpieniami przyrody gruźliczej, kąpiel słoneczną stosuje się wszędzie tam, gdzie niema cierpień przebiegających z gorączką. W chorobach kobiecych, w zaburzeniach miesiączkowania kąpiel słoneczna jest bardzo pożyteczna. Reumatyzm przewlekły, rwa kulszowa, krzywica u dzieci — oto cierpienia, w których promienie słońca mogą oddać znakomite usługi.

Kąpiel słoneczną, jako zabieg hygjeniczny, szczególnie poleca się inteligencji mieszkającej w miastach. Jest to niezbędny dla niej środek zdrowotny, który może szybko doprowadzić do równowagi przemęczony system nerwowy, wrócić jasność myśli, poprawić samopoczucie.

Kąpiel słoneczna hartuje. Ludzie skłonni do przeziębień po kąpielach słonecznych mniej się zaziębiają. Anginy po kuracji promieniami słonecznemi stają się u skłonnych dużo rzadsze. Bolesne miesiączkowanie zawsze się poprawia.

Działanie biologiczne promieni słonecznych w świecie roślinnym i zwierzęcym poucza nas o roli słońca dla wszelkiego organizmu. Dla roślin słońce jest niezbędne do życia. W ciemności bezwzględnej roślina rośnie wprawdzie, ale jest bezbarwna, wreszcie więdnie i szybko zamiera. Jeżeli do ciemni, w której trzymamy taką roślinę, wpuścimy promień słońca, to roślina zgina się w jego stronę, zielenieje i rozwija się lepiej. Pod wpływem światła chlorofil rozkłada kwas węglowy, chłonie węgiel i nasyca atmosferę tlenem. To chłonięcie chlorofilowe pod wpływem światła jest podstawą wszelkiego życia na ziemi.

W świecie zwierzęcym już u pierwotniaków za dnia obserwujemy zwiększone utlenianie protoplazmatyczne. U zwierząt wyższych apetyt i wzrost wzmagają się pod wpływem promieni słonecznych. Skóra i włosy ciemnieją, ilość ciałek białych i czerwonych we krwi zwiększa się oraz potęguje się fagocytoza *.

* Fagocytozą zowie się w biologji zbawcza dla organizmu działalność białych ciałek krwi, które niszczą zakaźne drobnoustroje, chłonąc je w siebie i przetrawiając.



W słońcu i nad wodą H. Dąbrowska



Fot. W. Maruszyński i Z. Sułkowski

W Jaszczurówce pod Zakopanem goście nasłoneczniają się na dachu łazienek tamtejszej cieplicy śród balsamicznych świerków, u stóp Nosala

U człowieka głównym organem, przez który działanie promieni słonecznych przenosi się na cały organizm, jest skóra. Skóra pod działaniem słońca ciemnieje, gdyż w przejrzystych warstwach naskórka gromadzi się barwnik. Przebieg ten jest zbliżony do przebiegu, jaki zachodzi z zielenieniem roślin. Naczynia powierzchowne skóry rozszerzają się, ciśnienie słabnie. System nerwowy uspokaja się, wydzielanie gruczołów wzmaga, wydzielanie potu i moczu staje się obfitsze. Wzmaga się apetyt i przyswajanie w przewodzie pokarmowym.

Widzimy, jak wielkie znaczenie ma słońce, które panuje nad przeznaczeniem ziemi. *Nasze życie, życie wszystkich zwierząt* – powiada Flamarion – *zależy od jego promieni. W dniu, w którym zgaśnie, oziębiona nasza planeta stanie się smutnym cmentarzem, a jej zlodowaciałe resztki obracać się będą w ciemnościach wiecznej nocy.*

Mimowoli rodzi się pytanie, od czego, od jakich składników zależy moc ożywcza słońca?

Jeżeli promień światła słonecznego przepuścimy przez pryzmat, to odchyli się ku podstawie pryzmatu i rozłoży na 7 barw podstawowych, na znane barwy tęczowe. Czerwona, pomarańczowa, żółta, zielona, niebieska, indygo, fioletowa – oto są barwy otrzymane z analizy promienia słonecznego. Światło słoneczne jest więc wynikiem połączenia tych barw, z których każda odpowiada ruchom falistym eteru kosmicznego. Długość fali światła czerwonego wynosi 0,76, światła fioletowego 0,4 mikrona.

Jednakże skład promienia słonecznego nie wyczerpuje się widmem widocznem. Po obu stronach widma są promienie niewidoczne, wchodzące w skład widma słonecznego; to promienie t. zw. pozaczerwone i promienie pozafijołkowe. Promienie pozaczerwone działają na termometr, natomiast promienie pozafijołkowe nie działają; ale zato działają na kliszę fotograficzną. Oto są te składniki, które rozwiązują zagadkę mocy ożywczej i leczniczej słońca.

Obecnie szczególną uwagę poświęca się promieniom pozafijołkowym. Te lekuchne promienie są mało przenikliwe: zwykłe płótno, nawet bardzo cienkie, zatrzymuje ich działanie. Promienie te sprzyjają gromadzeniu się w skórze barwnika, niezwykle skutecznie zabijają bakterje. Dzięki tym promieniom odbywają się w zwykłej ciepłocie i ciśnieniu zmiany chemiczne, jakie bez ich udziału dziaćby się nie mogły.

Promienie pozafijołkowe grają wybitną rolę w oparzeniach skóry od słońca. Oparzenie takie niema nigdy poważnych następstw. Na miejsce oparzone należy położyć na noc wilgotny okład i dalszych kąpieli nie przerywać.

Udar cieplny powoduje zbyt wysoka ciepłota; przyczynia się doń ubranie, przemęczenie i t. d.

Aby uchronić oczy od porażenia blaskiem słońca, zaleca się ciemne szkła.

Nie we wszystkich cierpieniach należy i wolno brać kąpiele słoneczne. Ogólnie biorąc, nie należy ich brać we wszelkich chorobach ostrych, u chorych na serce, nerki oraz na gruźlicę płuc; kobietom – w okresie miesiączki.

Kąpiele słoneczne można prowadzić wszędzie, jednakże w górach i nad morzem słońce bardziej obfituje w promienie pozafijołkowe. Nie ma większego znaczenia, czy kąpiel słoneczną bierze się przed jedzeniem, czy po jedzeniu. Gdy rozpoczynamy kąpiele słoneczne, to naświetlanie słońcem najlepiej stopniowo przedłużać, aby skórę do pieszczot słońca przyzwyczaić. Kąpiel słoneczną zdrowotną można stosować tak długo, jak tylko wolny czas nam pozwala. Należy pamiętać, że kąpiel słoneczną należy brać na gołe ciało, gdyż tylko wtedy działają w pełni promienie chemiczne słońca.

Chorzy niechaj zwracają się do lekarzy, którzy im ściśle oznaczą, czy kąpiel słoneczna jest dla nich odpowiednia i jak ją brać mają. Zdrowi zaś niechaj na nadchodzące lato zapamiętają sobie przysłowie neapolitańskie, że *wszystkie choroby rodzą się w cieniu, a leczą się w słońcu.*

Gen. Marjusz Zaruski

O istocie alpinizmu

słów parę

Zbliża się pora roku, w której podgórskie miejscowości całej północnej półkuli zaroją się gwarnym i beztroskim tłumem letników. U nas szczególnie liczne rzesze ściągnie Zakopane. Pójdą większe i mniejsze grupy ludzi różnego wieku i różnych zawodów na wycieczki *w góry*.

Czego oni tam szukają?

Odpoczynku, zdrowia, piękna, swobody – wszystkiego po trochu.

Niewątpliwie.

Wszak w poczuciu każdego z tych ludzi na dnie duszy kryje się mętne po większej części, lecz mocne w swej treści określenie: byłem w górach. jestem taternikiem, alpinistą.

Pójdą w góry również i taternicy.

Czy wszyscy jednak, którzy byli w górach wysokich, a nawet robili trudniejsze wycieczki, są taternikami?

Na to pytanie musi paść odpowiedź przecząca.

O kwestji tej w ostatnich paru dziesiątkach lat rozprawiano namiętnie, zużyto tonny farby drukarskiej, sprawa jednak pozostaje nadal otwartą.

Pragnę i ja swoich parę gramów farby dołożyć, jako że dotąd nie straciłem związku z górami.

W piśmiennictwie alpinistycznem, zarówno naszem rodzimem, jak i obcem, nawiasem mówiąc, dziś już bardzo obfitem, przeważa pogląd, że alpinistą jest człowiek, umiejący pokonywać trudności – wielkie i największe – nastręczające się na bezdrożach górskich. Stąd już krok jeden do sportowego punktu patrzenia na istotę rzeczy: alpinista taternik jest tem większy, sławniejszy, im trudniejsze przejścia w górach pokonał.

Pozwolę sobie poglądowi temu zaprzeczyć: człowiek, który przebył w górach najtrudniejsze drogi, może wcale nie być alpinistą.

Któż więc jest alpinistą, jeżeli znamy w kołach sportowych p. X., który był na takiej to igle, pokonał taką to ścianę, wywspinał się takim to kominem, nim nie jest?

Za pozwoleniem – odpowiem, nie twierdzę, że p. X. nie jest alpinistą: powiedziałem tylko, że p. X., choć przeszedł liczne ściany i kominy, może alpinistą nie być. W grę wchodzi tu czynnik niewidzialny, nieuchwytny: psyche.

Czynnik psychiczny.

Jeżeli p. X. dlatego pokonywał ściany, że laury Igreka nie dawały mu spokoju, to nie jest on alpinistą.

Dam własne określenie.

Alpinistą jest człowiek, któremu *dobrze jest* w górach wysokich – w każdem ich miejscu.

Ten mały dodatek – ostatnich słów kilka – tłomaczy wszystko, nie można bowiem uważać za alpinistę (taternika) pana, który samochodem przyjechał do Morskiego Oka, stamtąd wygodną ścieżką wydostał się do Czarnego Stawu i owiany urokiem wspaniałego widoku, doznał uczucia szczęścia. Poczuł szczerze, że w tej chwili *dobrze* mu jest.

(Poczucia tego szczęścia rozmyślnie nie ana-



Fot. H. Schabenbeck

Pod nawisem szczytowym – W Wysokich Tatrach. Alpinista musi umieć pokonywać trudności w górach, lecz nie każdy, kto to potrafi, jest alpinistą.



Lodowy, Durny i Łomnica – z przełęczy Rohatki Fot. J. Jaroszyński

lizuję: jest ono zanadto złożone, aby można było w krótkim szkicu pokusić się o jego uzasadnienie: określam krótko słowem: dobrze – lepiej – najlepiej, aż do stanu zachwytu, ekstazy). W każdem ich miejscu, t. zn. w dolinie, na ścianie, na szczycie, na grani, nawet w miejscu *štyrbnem*, gdzie trzeba zastować umiejętną technikę i panować nad sobą.

Z powyższego określenia wynika, że alpinista musi posiadać umiejętność pokonywania nawet największych trudności w górach, musi znać technikę alpinizmu: sposoby ubezpieczania się, użycia liny, haków, czekana, umiejętność wspinania się, znajomość przyrody górskiej i jej niespodzianek i t. d.

Wszystkich tych rzeczy nie można nauczyć się z książek (wyłącznie) i nie można posiąść ich na takim czy innym kursie. Składają się na to lata doświadczeń i praktyki. Zbyteczna dodawać, że wielkie znaczenie mają tu osobiste zdolności człowieka, czyli t. zw. uzdolnienie.

Rozwijając dalej pierwsze założenie, musimy stwierdzić, że w poczuciu, określonem słowem: *dobrze*, kryje się pierwiastek szczęścia, (radości, zadowolenia, zachwytu). Szczęście to byłoby jednak niepełne, gdyby nie było połączone z poczuciem pewności siebie i swobody. Człowiek, który będąc w dolinie, ze zgrozą patrzałby na ścianę górską, którą za chwilę ma się wznosić ku grani, nie ma prawa w duszy nazwać się alpinistą: będąc w dolinie nie doznaje on szczęścia, właśnie przez tę ścianę.

Ideałem tego typu byłby człowiek, który, znalazłszy się np. w jakiemkolwiek miejscu nieznanych sobie gór wysokich, zaopatrzony w sprzęt odpowiedni, rozejrzawszy się wkoło, powiedziałby sobie: udam się w tym kierunku, poszedł w tym kierunku istotnie, pokonał wszystkie, największe nawet trudności i bez niespodzianek doszedł do wyznaczonego celu. Tak, jak powiedział: w tym kierunku, mógł powiedzieć: w tamtym i taksamo swobodnie i pewnie doszedłby do celu. I wszędzie czułby się dobrze: przy ognisku w dolinie, w ciężkim trudzie wspinaczki – wszędzie przeżywałby chwile radosnych upojeń, wypływających z samego faktu pobytu wśród górskiej przyrody oraz poczucia swobody ruchów, niekrępowanych, dzięki nabytej umiejętności, jej trudnościami.



Widok ze szczytu Rysów na Ganek, i Garłuch w głębi — Fot. J. Jaroszyński

Ten jest alpinistą.

Z założenia, przedstawionego tutaj szkicowo, wynika, że t. zw. *pożeraczy* wysokości, żlebów, obskurnych kominów, ścianek i grani, jeżeli nic innego, prócz łaknienia pożarcia w duszy nie mają, nie można zaliczyć do rzędu alpinistów. To są sportowcy, którzy wskutek nieporozumienia znaleźli się na niewłaściwem boisku.

Nie będą też alpinistami wrażliwe, trwożliwe a niedołężne bezłotki, posuwające się dolinami i napełniające świat górski zachwytami nad każdem bagienkiem, ani też ci, którzy np. ze szczytu Rysów podziwiają piękno obrazu, lecz boją się o parę metrów zejść z utartej ścieżki, ani kabotyni, chociażby nosili trzewiki z największemi alpejskiemi gwoździami, ani blagierzy z kawiarń i schronisk alpejskich: wszystkim im brak szczerej radości, wynikającej z samego bytowania wśrod żywiołów górskiej przyrody, albo brak poczucia władzy nad niemi.

Radość i władzę może posiąść tylko człowiek, który dla gór ma serce i siłę królewską: król gór – alpinista.

*

P. S. Wyłożony tu pogląd na istotę alpinizmu jest owocem osobistych mych przeżyć i rozważań na ten temat. Miałem sposobność przez czas długi żyć w bliskiej styczności z wysokiemi górami, zżyć się poprostu z tym światem, tak nie podobnym do wszystkiego, co się widzi w miastach i żyznych dolinach.

Nieużytki, rumowiska głazów, posępne turnie, fantastyczne igły – wszystko to zmusza człowieka do innego ustosunkowania swej jaźni do świata, który go otacza.

Dlatego kategorje myślenia i czucia, przyniesione z dolin, nie mogą tutaj się nadawać. Ani sama zdolność logicznego rozumowania, ani siła uczucia, ani krzepkość mięśni i zręczność nie stanowią jeszcze charakterystycznych cech alpinisty. Dopiero synteza tych składników, dostosowana do świata górskiego, składa się na pojęcie człowieka – alpinisty.

Uzdrowiska krajowe a zagraniczne

Podług Doc. Dr. A. Sabatowskiego



Nowocześnie urządzone łazienki nr. drugi w Ciechocinku

Dokładny, naukowy rozbiór wartości leczniczych naszych uzdrowisk i porównanie ich z uzdrowiskami zagranicznemi prowadzi do bardzo ciekawych wyników. Warto i należy, aby się z wynikami temi zapoznał ogół polski, który jeszcze niedość sobie zdaje sprawę, czem na obszarze całego kraju rozporządza ku dobru zdrowia jednostkowego i publicznego.

Jeśli chodzi o ciepły klimat, to mamy go w jarze dniestrowym — od Zaleszczyk po Okopy. Słońcem natężonem i przedniemi owocami można się tam leczyć przez długie miesiące, nie szukając okrzyczanego południa zagranicznego.

Nasz klimat wysokogórski zimą jest wybitnie słoneczny i względnie suchy. Jest to niepospolita zaleta polskich stacyj klimatycznych górskich z Zakopanem na czele. Trzeba bowiem wiedzieć, że stacje klimatyczne Europy Zachodniej, poza Szwajcarją, odznaczają się zimą mglistą i wilgotną.

Mamy w Polsce obfitość solanek — i do picia, i do wziewań, i do kąpieli. Więc: Ciechocinek, Inowrocław, Druskieniki, Jastrzębie, Busk, Solec, Delatyn, Rabka, Iwonicz, Rymanów, Truskawiec i inne. Są śród nich solanki lekkie i stężone, jodowe i siarczane, wapniowe i potasowe. Solanki gorzkie do picia posiada: lekkie — Truskawiec, silne — Morszyn. Zatem solanki zagraniczne są kuracjuszom polskim najzupełniej zbędne.



Kiosk słynnej *Naftusi* w Truskawcu — wody jedynej w swoim rodzaju, niezastąpionej w cierpieniach dróg moczowych, świetnej w gośćcu, dnie, zwapnieniu tętnic

Niezadługo zbiorniki świeżo wywierconej cieplicy ciechocińskiej dostarczą nam przyrodzonych ciepłych kąpieli solankowych.

Nie posiadamy mocnych wód alkaliczno-słono-glauberskich, jak Karolowe Wary (Karlsbad), ale łączenie krynickiego Zubera z solą morszyńską może je w pewnej mierze zastąpić. Zważywszy na radjoczynność wód karolowarskich i na tamtejsze urządzenia lecznicze, można uznać leczenie w Karolowych Warach za niezbędne w pewnych, ograniczonych przypadkach. Ale nie są nam bynajmniej niezbędne — podobne, lecz znacznie słabsze wody francuskie i włoskie.

Wodami alkaliczno-słono-glauberskiemi lekkiemi, typu Kissingen, rozporządzamy w Rymanowie i Szczawnicy, słono-jodowemi w Iwoniczu i Rabce,



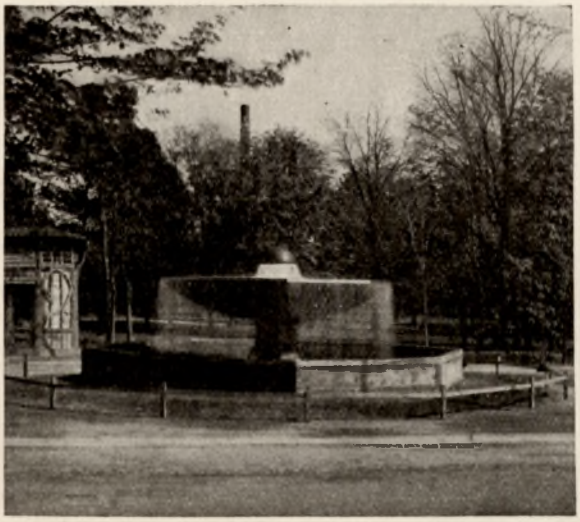
Ogólny widok Kosowa w zacisznej kotlinie karpackiej



W urządzonych po europejsku łazienkach inowrocławskich kuracjusz jest zawsze sprawnie obsłużony



Wzorowa weranda w *Radowidzie* w Zakopanem zagarnia słońce, osłania od wiatru i słoty



Z obfitego źródła numer jedenasty w Ciechocinku solanka wypływa przez otwarty zbiornik



Prawdziwą ozdobę Ciechocinka stanowi piękny, rozległy park zdrojowy, pieczołowicie utrzymywany



W Szczawnicy ku Józefince ciągną zdrowi i chorzy



Ścieżki w parku krynickim do leczenia terenowego



Dom zarządu zdrojowego w Truskawcu lśni czystością i porządkiem – jak wszystko w Truskawcu



W Zaleszczykach w ogrodzie pensjonatu *Plaża* pełno słońca, przestrzeni i swobody



Przez dzień cały korzystają kuracjusze w Ciechocinku ze źródła nr. 10 – ze znakomitą solanką słabszą



Łazienki solankowe w Delatynie posiadają najbardziej nowoczesne urządzenia kąpielowe i wziewalne



Jadalnia w słynnej lecznicy d-ra Tarnawskiego w Kosowie



W Truskawcu — w schludnym ośrodku uzdrowiska

siarczano-słonemi w Busku i Solcu. Szczawy alkaliczno-słone, typu Ems i Selters, posiadamy w Szczawnicy.

Szczawy żelazisto wapniowe, bardzo silne, typu Spaa, znajdują się w Krynicy i w Żegiestowie. Zuber w Krynicy z dodatkiem soli morszyńskiej zastępuje Vichy, mając wodę znacznie silniejszą od głośnej Grande Grille.

Siarczankami wapniowemi, typu Akwizgran, Baden koło Wiednia, Aix les Bains, rozporządzamy w Lubieniu pod Lwowem, w Niemirowie, Horyńcu, Krzeszowicach i in. Siarczanki małopolskie należą do najsilniejszych w Europie.

Wodę silnie hipotoniczną, typu Plombières, posiada słynna Naftusia w Truskawcu. Wodami hipotonicznemi rozporządza również Nałęczów.

Borowinę równą francensbadzkiej posiada Ciechocinek, Krynica, Niemirów, Morszyn i wiele innych zdrojowisk.

Wyborny muł kąpielowy siarczano-słony wielkiej mocy mamy w Busku i Truskawcu. Jeśli go stosować z należytem natężeniem – Piszczany są nam zupełnie zbędne.

Druskieniki należą do przodujących uzdrowisk europejskich w zakresie leczenia słońcem i powietrzem.

Należy wreszcie uprzytomnić sobie, że postęp znaczny dokonał się w urządzeniach leczniczych wielu uzdrowisk polskich przez dwanaście lat niepodległości. Wzmogło to oczywiście ich wartości przyrodzone, o których mówiliśmy wyżej.

Któż nie wie o postępie urządzeń leczniczych Krynicy? Ciechocinek posunął daleko swe ulepszenia, oraz wydostał z głębin ziemi przyrodzoną solankę ciepłą o znacznej ciepłocie. Inowrocław zdobył się w ostatnim roku na najbardziej nowoczesne urządzenia wziewalne. Również względnie szybki postęp w urządzeniach widzimy w niektórych drobnych uzdrowiskach, jak Delatyn, Zełemianka i inne.

Wreszcie w ostatnich latach przybyło naszym uzdrowiskom wiele pensjonatów, hoteli, dworków, urządzonych z całym wykwintem, nieraz ze zbytkiem. A od zagranicznych — bezwarunkowo znacznie tańszych.



W Żegiestowie na deptaku słonecznie i rojno



Krynicy – ośrodka zdrojowiska i pięknego deptaku mogłoby pozazdrościć niejedno uzdrowisko zachodnio-europejskie



Pod górą Owidową w Kutach, śród bujnych sadów i ogrodów

Dr. Mieczysław Orłowicz

Turystyka motorowa

W latach przedwojennych, przez turystów rozumiano prawie wyłącznie pieszych wędrowców z plecakiem i kijem w ręku. Typem turysty był zatem turysta górski lub też wycieczka krajoznawcza, wędrująca pieszo po kraju. W znaczeniu międzynarodowem, turystyka ograniczała się niemal wyłącznie do turystów, przybywających kolejami i korzystających w kraju niemal wyłącznie z kolei, a wyjątkowo ze statków parowych na rzekach i jeziorach.



Fot. H. Poddębski

Autokar jednego z warszawskich biur turystycznych na pierwszorzędnym gościńcu podstołecznym Warszawa – Spała

Po wojnie stosunki i poglądy w dziedzinie turystyki zmieniły się radykalnie. Niesłychany rozwój mechanicznych środków lokomocji sprawił, że na dalszy plan zeszli turyści piesi jako przedstawiciele turystyki oraz koleje jako środki lokomocji turystycznej. Na pierwszy plan wszędzie, a przedewszystkiem w międzynarodowych stosunkach turystycznych wysunęli się turyści motorowi, a jako środki komunikacji – samochody, autobusy, autokary, motocykle, łodzie motorowe i samoloty. Ilość turystów, jaka korzysta z tych środków lokomocji, jest w turystyce międzynarodowej znacznie większa, niż tych, jaka korzysta z kolei. Otworzyły się nowe źródła zarobku, udostępniły dla setek i tysięcy turystów okolice pozbawione kolei, ale mające gościńce, które mają dziś znacznie większy ruch turystyczny od niejednej ważnej linji kolejowej.



Fot. Szczepanik

Wjazd do Morszyna

Autobusy są dzisiaj bodaj najważniejszym środkiem ruchu turystycznego i przewożą największe ilości turystów. Np. same tylko linje autobusowe alpejskie, zorganizowane przez dyrekcję kolei Paryż – Nicea do przewozu turystów na przestrzeni z Nicei przez Grenoble do Chamonix, na odległości około 900 km. przewożą w ciągu sezonu letniego około 300.000 pasażerów. Jest to zatem przedsiębiorstwo na olbrzymią zorganizowane skalę. Rozporządza ogromnym taborem eleganckich autokarów i autobusów i posiada kilkanaście hotelów z restauracjami na przełęczach alpejskich w punktach, gdzie wypadają noclegi w czasie 6-dniowej tury.

Autobusy w krajach, posiadających piękne okolice, dobre drogi, i liczne osobliwości, umożliwiają zwiedzanie kraju w stosunkowo szybkim czasie mnóstwu osób, które nie są na tyle zamożne, aby posiadać własne samochody i nie mają dość sił i czasu, by odbywać wędrówki piesze. Autobusy są też najwygodniejszym sposobem zwiedzenia kraju dla cudzoziemca. Jadąc koleją, nie widzi się bowiem tyle, ile się widzi, siedząc w autobusie, szczególnie, gdy ma on wygląd otwartego autokaru.

Doniosłe znaczenie autobusów dla ożywienia ruchu turystycznego krajowego i zagranicznego w państwie zrozumiały też oddawna zagranicą wielkie przedsiębiorstwa komunikacyjne oraz koleje i poczty państwowe. Wprawdzie autobusy są współzawodnikami kolei, a jak wykazuje statystyka niemiecka za ostatni rok, przewożą już obecnie w Niemczech więcej podróżnych niż koleje, jednakże koleje w niektórych krajach uruchomiają linje autobusowe jako własne przedsiębiorstwa i starają się niemi kierować tak, aby nie były dla ruchu kolejowego konkurencją, lecz stały się jego uzupełnieniem. Widzimy to na wymienio-

nym już przykładzie francuskiej linji autobusowej przez Alpy, prowadzonej przez dyrekcję kolei Paryż – Lion – morze Śródziemne. Także koleje czesko-słowackie i szwajcarskie prowadzą pewne linje autobusowe jako własne przedsiębiorstwa.

O wiele częściej jednak, niż koleje, prowadzą linje autobusowe poczty. Dzieje się to przedewszystkiem w Austrji, Szwajcarji, Niemczech, częściowo w Czechosłowacji.

Jako przykład przytaczam *autobusy pocztowe* austrjackie. W chwili obecnej jest to przedsiębiorstwo na olbrzymią zorganizowane skalę. Podczas gdy koleje austrjackie mają ogółem 6000 km. linij, autobusy pocztowe obsługują kilkaset tur o ogólnej długości 8000 km., a zatem ich tury są o 33% dłuższe, aniżeli cała gęsta sieć kolei austrjackich. Obok linij użytkowych, które dowożą pocztę do miasteczek i wsi pozbawionych kolei, a które, o ile na to pozwala stan dróg, czynne są przez cały rok, za wyjątkiem okresów zamieci śnieżnych, uruchamia się w miesiącach letnich sto kilkadziesiąt tur specjalnie obliczonych na turystów z eleganckiemi otwartemi autokarami na 25 osób. Tury urządzono dwojako. Na jednych autokary krążą stale tam i z powrotem, np. Semering – Mariazell; inne zaś są turami okrężnemi jednodniowemi lub dwudniowemi, dla zwiedzenia pewnych okolic alpejskich. Taką jest np. jednodniowa tura na przestrzeni 150 km. z Salzburga wzdłuż letnisk i jezior Salzkammergutu, inna tura – dwudniowa na przestrzeni 400 km. z miasta Villach w Karyntji w okolice szczytu Grossglockner, z noclegiem w Heiligenblut, u stóp lodowca spływającego z wymienionego szczytu.



Fot. St. Radomski

Droga w dolinie Oporu, z Tuchli do Załemianki, pozwala zwiedzać turystom samochodowym ten jeden z najpiękniejszych górskich zakątków Polski południowo-wschodniej



Fot. H. Poddębski

Autokar otwarty na gościńcu pod Czerskiem niedaleko Warszawy, w dolinie Starej Wisły

Komunikacja ta jest stosunkowo bardzo tania. Sam korzystałem z austrjackich autokarów pocztowych kilkakrotnie, widziałem, jaki tłum turystów wielujęzycznych zwiedza z ich pomocą Austrję, i stwierdzam, że ten sposób jest zarówno wygodny jak i tani. Na przykład jazda z Mürzzuschlagu w Styrji przez Alpy Styryjskie do słynnej miejscowości odpustowej Mariazell na przestrzeni 57 km. kosztuje 7 szylingów tj. zł. 8,40 od osoby.

Dyrekcja poczt austrjackich wydaje corocznie na kredowym papierze wspaniale ilustrowany rozkład jazdy autobusów pocztowych, podający nietylko porę odjazdu, ale także opis tur. Jest to gruba książka, która kosztuje zaledwie 1 szyl. Rozchodzi się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, i zachęca każdego, kto skorzystał z jednej czy drugiej tury, nieraz przypadkowo, do szczegółowego zwiedzania Alp austrjackich autokarami pocztowemi.

Analogiczne stosunki panują też w Alpach Bawarskich, dokąd z Monachjum, Ausburga i Norymbergji chodzą stale przepełnione turystami zagranicznymi autokary pocztowe bawarskie.

W Polsce wprawdzie ruch autobusowy wzrasta z roku na rok i stał się już jednym z najważniejszych środków komunikacji osobowej, jednak jak dotychczas stosunkowo mały procent autobusów służy celom turystycznym, a otwarte autokary turystyczne, jakie w danej chwili posiada Polska, można policzyć na palcach, wprawdzie nie jednej, ale obydwóch rąk. Wzrost ilości autobusów turystycznych i autokarów oraz należyta orga-



Ogólny widok *letniej stolicy Polski* Zakopanego — z Gubałówki Fot. H. Schabenbeck

nizacja okrężnych wycieczek autokarowych po Polsce jest jednym z ważniejszych zagadnień w dziedzinie ożywienia ruchu turystycznego w Polsce i ściągnięcia do Polski większej ilości turystów zagranicznych, którzy dziś nie wyobrażają sobie zwiedzenia kraju bez ruchu autokarów.

Świeżo ogłoszona statystyka z ruchu autobusowego w Polsce świadczy, że ilość autobusów doszła na 1.I.1929 r. do 2121, liczba zaś osób przewiezionych w roku 1928 wynosi 50,640,000. Obecnie obliczono ilość autobusów na 4.048. Niestety, w tym olbrzymim ruchu niemal zupełnie niema ruchu autobusów pocztowych czy kolejowych. Kolejowych linij autobusowych jeszcze nie uruchomiono, autobusy zaś pocztowe krążą wprawdzie na kilku linjach, z których tylko jedna (Szczawnica — Stary Sącz) ma znaczenie turystyczne, jednakże wygląd samych autobusów jest tego rodzaju, że nie mogą liczyć, aby ich używali turyści; nie wytrzymują współzawodnictwa z krążącemi na tej samej linji autobusami prywatnemi.



Fot. H. Schabenbeck
Na doskonałym gościńcu z Zakopanego do Morskiego Oka

W dziedzinie ruchu *autokarów* należałoby się zastanowić w Polsce nad następującymi zagadnieniami.

We wszystkich większych miastach, których osobliwości są rozproszone na znacznej przestrzeni, powinno istnieć kilka autokarów, które mogłyby służyć do obwożenia wycieczek po mieście. W Warszawie takie autokary posiada jedno biuro podróży, a z nich niestety tylko jeden jest otwarty; w Poznaniu kilka autokarów ma dyrekcja tramwajów miejskich, w Krakowie przedsiębiorstwa prywatne.

Najszczęśliwsze rozwiązanie znaleziono w Poznaniu, gdzie autokary posiada dyrekcja tramwajów. Są uzupełnieniem taboru tramwajów, a używa ich się zarówno do wycieczek po mieście, jak i wycieczek poza miasto. Uruchomienie te-











Najpiękniejsze, renesansowe ratusze miast polskich Fot. H. Poddębski

w Chełmnie – z końca XVI w.
w Buczaczu – rokoko niepospolite

w Szydłowcu

w Sandomierzu – z XVI wieku
w Poznaniu – z połowy XVI wieku



Pogodna niedziela marcowa w Warszawie — Fot. J. Rys

go rodzaju przedsiębiorstwa przez dyrekcję tramwajów miejskich także conajmniej w Warszawie, Krakowie, Lwowie i Łodzi, a ewentualnie też w Toruniu, Bydgoszczy i górnośląskiem Zagłębiu węglowem, uważałbym za pożądane z tego powodu, że dyrekcje tramwajów, w odróżnieniu od biur podróży, nie będą odczuwać faktu, że autokary te będą w ruchu tylko w sezonie letnim. Zresztą powaga właściwych miast, do których należą tramwaje miejskie, wymaga, aby przybywającym turystom, szczególnie zaś turystom obcym, dostarczano wygodnego i nowoczesnego sposobu zwiedzania miasta i okolicy, jaki zapewniają autokary. Posiadanie jednego autokaru z reguły nie wystarcza, gdyż nie mieści on większych wycieczek.

Drugą podstawową sprawą w tej dziedzinie jest stworzenie przedsiębiorstw autokarowych, które urządzałyby *okrężne wycieczki* po pewnej okolicy. Zaleca się to szczególnie w tych okolicach, które albo kolei nie mają, albo są pocięte tego rodzaju siecią kolei miejscowych o niedogodnym rozkładzie jazdy, że ich zwiedzenie z pomocą kolei jest bardzo uciążliwe, zabiera dużo czasu, a tem samem zraża turystów do wycieczek w dane okolice.

Sądzę, że prędzej czy później będą musiały powstać w Polsce takie czy inne przedsiębiorstwa autokarowe, które podobnie, jak to się dzieje w Austrji, urządzać będą okrężne, a nawet kilkudniowe wycieczki po pewnych okolicach autokarami. Jako typy takich wycieczek wymieniłbym wycieczkę z Gdyni na zwiedzenie miejscowości na wybrzeżu morskiem i Szwajcarji Kaszubskiej, wycieczkę z Torunia na zwiedzenie południowej i środkowej części woj. pomorskiego wraz z Bydgoszczą, wycieczkę z Poznania na zwiedzenie woj. poznańskiego, wycieczkę z Krakowa na zwiedzenie Ojcowa wraz z woj. śląskiem i Zachodniemi Beskidami, drugą wycieczką z Krakowa do Zakopanego, Morskiego Oka i w Pieniny, wycieczkę przez Karpaty od Krakowa przez Zakopane, Szczawnicę, Krynicę, Rymanów, Iwonicz, Borysław, Jaremcze, Żabie, Kuty na rumuńską granicę, wycieczkę ze Lwowa w Karpaty Wschodnie z Borysławiem i Huculszczyzną, inną wycieczkę ze Lwowa dokoła Podola polskiego,

wycieczkę z Łucka dokoła Wołynia i Polesia, wycieczkę z Warszawy przez Białowieżę, Pojezierze Suwalskie, Druskieniki do Wilna. Wymieniłem tury przykładowo. Za najważniejszą uważałbym na początek turę pomorską, poznańską, śląską i karpacką. Sądzę, że dopiero wprowadzenie tego rodzaju tur da nam podstawę do szerszej *propagandy turystycznej zagranicą.* Przytem należałoby turystom korzystającym z autokarów zapewnić na stacjach postoju dogodne i czyste noclegi i dobrą aprowizację.

Wreszcie nietylko autokary, ale także autobusy powinny stać się w najbliższym czasie niezbędnym inwentarzem władz szkolnych, a to w okolicach mniej zamożnych kuratorjów szkolnych, a bardziej zamożnych poszczególnych dyrekcyj szkół średnich. Tylko autobusy mogą *młodzieży szkolnej* zapewnić dogodny i względnie tani sposób zwiedzania kraju, a przedewszystkiem okolic miasta, w którem dana szkoła się znajduje. Sądzę, że w tej dziedzinie powinien przykład wyjść z miast uniwersyteckich, a więc z Warszawy, Krakowa, Poznania, Lwowa i Wilna, gdzie kuratorja szkolne i dyrekcje szkół średnich powinny mieć własne autobusy dla młodzieży szkolnej.



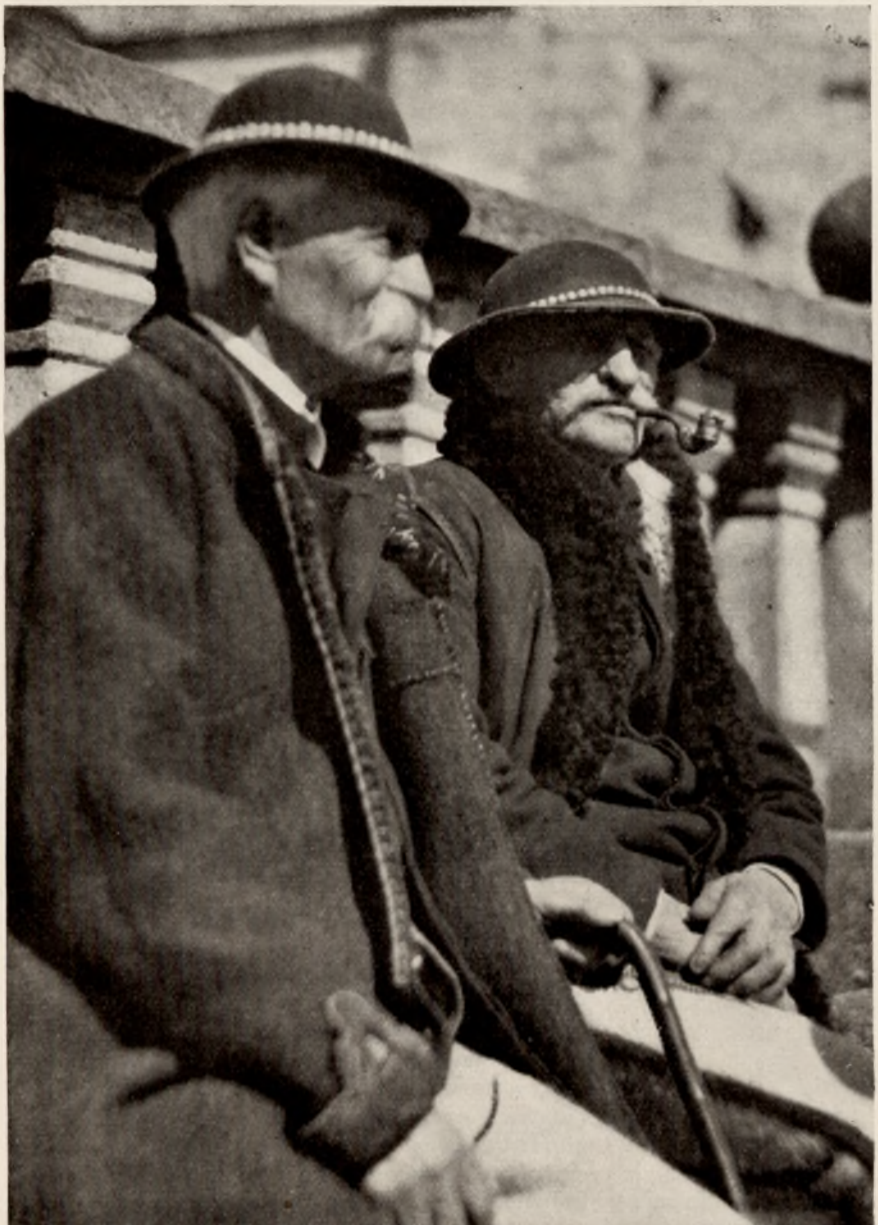
Droga polna na Mazowszu warszawskiem wiosną Fot. M. Iliński

Drugim niezmiernie ważnym czynnikiem międzynarodowej turystyki jest w chwili obecnej *samochód prywatny.* Samochody należą naogół do zamożniejszej warstwy społeczeństwa, która chętnie przedsiębierze podróże zagraniczne, i która stosunkowo dużo pieniędzy pozostawia w kraju zwiedzanym. Dowodem wzrastającego znaczenia międzynarodowej turystyki samochodowej są wydawane raz poraz przez najpoważniejsze międzynarodowe związki turystyczne i automobilowe mapy Europy, przewodniki automobilowe po Europie i po poszczególnych krajach, ułatwienia graniczne dla automobilistów zagranicznych i t. p. I Polska, która posiada przeszło 40,000 samochodów, odczuwa coraz silniej wzrost turystyki samochodowej i jej znaczenie gospodarcze. Chcąc się o tem przekonać, wystarczy przejść którejkolwiek niedzieli w miesiącach wiosennych, np. w maju i w czerwcu — kiedy dawniej wogóle w Tatrach turystów się nie widziało — szosą wiodącą z Zakopanego do Morskiego Oka,

a nawet szosami wiodącemi z Krakowa i Śląska do Zakopanego. Uwzględniając potrzeby chwili, wydał też Automobilklub Polski niedawno przewodnik automobilowy po Polsce.

Udogodnienie graniczne stale się omawia na międzynarodowych zjazdach turystycznych. Normalną postacią udogodnienia jest tryptyk, wystawiony przez uprawnione do tego towarzystwo, któremi są we wszystkich krajach automobilkluby, a w niektórych — także touringkluby. Tryptyk jest jednakże dość kosztowny, a jego zdobycie połączone z licznemi formalnościami. Z tego powodu wielu automobilistów nie posiada tryptyków. Aby także i takim umożliwić wycieczki po kraju, rządy niektórych państw, dbających o ściągnięcie cudzoziemców do kraju, zaprowadziły dla automobilistów zagranicznych kilkodniowe przepustki, wydawane przez graniczne urzędy celne za minimalną opłatą, z ważnością od 5 do 10 dni. W Szwajcarji tego rodzaju przepustki noszą nazwę *cartes provisoires;* wydają je na dni 10 graniczne urzędy celne, a opłata wynosi 2 fr. szw. Z tego fr. 1.50 otrzymuje zakład ubezpieczeń, który zabezpiecza cło, gdyby jakiego samochodu w należytym czasie nie wywieziono ze Szwajcarji. Pozostałą kwotę dzieli się po połowie między Szwajcarski Touring Klub i Automobilklub na cele propagandy turystycznej. Jak na tegorocznym Kongresie Międzynarodowym Urzędów Turystycznych w Poznaniu podał do wiadomości dyrektor szwajcarskiego urzędu turystycznego dr. Junod, w ubiegłym roku wjechało na podstawie kart tymczasowych do Szwajcarji 100.000 samochodów zagranicznych, a Szwajcarski Touring Klub i Szwajcarski Automobilklub otrzymały z tego źródła po 20.000 fr. Jeżeli przypuścimy, że przeciętny samochód miał trzech pasażerów, którzy bawili w Szwajcarji po 4 dni, wydając dziennie po 20 fr., to zostawili oni w Szwajcarji 24.000.000 fr. Suma — nie do pogardzenia. Karty tego rodzaju istnieją w Szwajcarji już od r. 1927.

W r. 1928 podobne ułatwienia wprowadzono we Włoszech. Gdy karty tymczasowe szwajcarskie dają prawo poruszania się po całej Szwajcarji oraz powrotu przez jakąkolwiek granicę, to analogiczne kar-



W Zakopanem przed nabożeństwem — Photo-Plat

ty włoskie są ważne tylko dla Włoch Północnych i zmuszają do powrotu przez tę samą komorę graniczną, przez którą nastąpił wjazd do Włoch. Wreszcie w r. 1929 zaprowadzono podobne karty w Austrji pod nazwą *kart dziesięciodniowych*. Kosztują 5 szyl. (6 zł.) wydają je graniczne urzędy celne. Właściwe rozporządzenie obowiązuje od 1 lipca r. 1929.

Wprawdzie w danej chwili niema przewodnika automobilowego po Polsce w języku obcym, ale w międzynarodowych automobilowych przewodnikach turystycznych, obejmujących całą Europę, są dostatecznie uwzględnione tury po Polsce, opracowane przez referat turystyki Min. Robót Publicznych, względnie Automobilklub Polski.

O wiele mniejsze znaczenie, niż turystyka automobilowa, ma *turystyka motocyklowa*. Daje się to odczuć szczególnie w Polsce, gdzie motocyklów jest o wiele mniej, niż samochodów. Zatem turystyka motocyklowa odgrywa u nas jak dotychczas rolę dość skromną. Przypuszczam jednak, że w najbliższych latach i na tem polu nastąpią radykalne zmiany. Motocykl zresztą w odróżnieniu od auta i autobusu, pomijając rzadko urządzane wycieczki zbiorowe, nie może być z natury rzeczy środkiem lokomocji dla turystyki masowej.

Jeszcze mniejsze znaczenie niż motocykl ma w dziedzinie turystyki motorowej w Polsce turystyka z pomocą *motorówek*. Jest ich w Polsce stosunkowo niewiele. Nasza największa rzeka Wisła, jako szlak turystyczny, jest stosunkowo mniej pociągająca od innych rzek, zwłaszcza od Niemna i Dniestru. Nad temi zaś niema znów większych miast, któreby mogły być podstawą ruchu turystycznego łodzi motorowych. Przytem brak połączeń między poszczególnemi systemami wodnemi w Polsce utrudnia turystykę wodną wogóle i nie sprzyja, co zatem idzie, także turystyce na łodziach motorowych.

Wreszcie jako zjawisko powojenne w dziedzinie turystyki motorowej występuje *turystyka samolotowa*. I jej znaczenie wzrasta z roku na rok, tembardziej że obok samolotów linji lotniczej przewożących pasażerów pojawia się coraz więcej samolotów prywatnych, których podobnie jak aut prywatnych używają właściciele do



Fara w Kazimierzu Dolnym – nad Wisłą Fot. Al. Szyndler



Fot. J. Ryś

Pilot prof. T. Pruszkowski na swej popularnej awjonetce turystycznej

celów turystycznych. Zagadnienia z dziedziny ułatwień turystyki powietrznej zaprzątają też coraz częściej międzynarodowe kongresy turystyczne.

Samolotów jako środków komunikacji z pośród turystów międzynarodowych najwięcej używają Skandynawowie, Francuzi i Amerykanie. Ponieważ koleje zaczynają uważać komunikację lotniczą za konkurencję, wykupują w niektórych państwach akcje towarzystw lotniczych i prowadzą komunikację lotniczą we własnym zarządzie. Pojawiają się specjalne przewodniki dla turystyki lotniczej, wydaje się specjalne broszury propagandowe turystyki lotniczej *.

W Szwajcarji urządza się obecnie specjalne turystyczne tury okrężne samolotami nad Alpami z powrotem do tej samej miejscowości. Tury te cieszą się wielką popularnością, a w dnie pogodne brak stale miejsca w samolotach, co świadczy o tem, że także w krajach górskich turystyka lotnicza ma zapewniony rozwój.

Zbierając to, co powiedziałem, należy stwierdzić raz jeszcze, że przyszłość turystyki międzynarodowej, a poczęści i krajowej leży w turystyce motorowej. W tej dziedzinie potrzebuje Polska największych nakładów i największej propagandy, jeżeli ma się stać terenem zwiedzanym przez turystów międzynarodowych.

* Przewodniki takie po Polsce, opracowane w czterech językach przez podpisanego dla polskich linij lotniczych, ma zamiar wydać w najbliższym czasie Dyrekcja P. L. L. Lot.

Wiesław Wernic

R z e k a s ł o ń c a

Urywek

Znowu przechodzimy Dunajec.

Przez żelazne obramowania mostu migocą ciemne wody rzeki. Skręcamy na lewo, po spadzistym nasypie ziemi, na brzeg niski, skrzypiący żółtym piaskiem pod stopami. Stoją czółna gotowe. Proste, ledwie ciosane koryta — bujające się na wartkim prądzie.

Już siedzimy. Cicho plusnęły drągi, napręża się wielka, szara tyka, gnie. Wyjeżdżamy z pod cienia mostu, wyjeżdżamy na bulgocące po ostrych kamieniach wody. Oto zakręt, fala falę pędzi, aż na płaszczyznę zielonej łąki. 26 kilometrów. Liczba pęcznieje w ustach górala, nabiera długości nieskończonej, wody i powietrza, równin i gór, które mamy ujrzeć. Stukocą dna łudek o żwir, pryska przejrzysta piana, krople wody wpadają do czółen. Gadamy jeden przez drugiego, skrobiemy czarnemi szuflami po drzewie, wylewamy wodę.

Tam Trzy Korony trzema szczytami bieleją w słońcu. Tu zamek niedzicki, zdaleka groźny i nieprzystępny. Wielkie góry, wielkie szczyty, wielkie wody — mkną, gonią, pędzą. Zbójecki Skok, Cukrowa Głowa — litanja nazw pada nam na głowy z ust górala. Litanja nazw przefruwa koło naszych uszu.

Wskazujemy palcami posterunek celny, machamy rękami ku białym płótnom jakiegoś obozu. Wynajdujemy dziury, jamy, pieczary w skalnych osypiskach. Podziwiamy szosę, przemyślnie przylepioną na stokach gór. Przysięgamy, że będziemy tu raz jeszcze, że nic szosa, nic kurz, upał, spiekota... że nic bolące nogi...

Między pochyłemi płaszczyznami zieleni rwie woda i wali naprzód. Cienie drzew, łódek, ludzi, migocą na falach. Słońce grzeje, świeci, błyszczy, odbija się w wodzie. Płyniemy rzeką słońca.

Prof. Bohdan Dyakowski

Ochrona przyrody i jej znaczenie

Zbliża się lato – czas, kiedy całe rzesze mieszkańców miast wyruszają z murów do letnisk i uzdrowisk na krótszy lub dłuższy pobyt, aby zaczerpnąć świeżego powietrza i nabrać sił na łonie natury.

Różne względy kierują wyborem miejscowości na lato: tu są jakieś źródła lecznicze, kąpiele mineralne lub rzeczne, tam balsamiczne powietrze; stąd można robić mnóstwo interesujących wycieczek, tam znowuż ma się liczne rozrywki na miejscu; tu pociąga komfort i wygodne mieszkania, ówdzie możność taniego urządzenia się; tu – dogodna komunikacja, tam – nieznaczna odległość od miejsca stałego pobytu. Słowem, cały kompleks przyczyn decyduje o wyborze miejscowości na lato. A wśród nich nie ostatnie miejsce zajmuje malownicze położenie letniska. Wzgląd na nie usuwa nieraz inne motywy na bok; argument *„tam jest ładnie”* decyduje niejednokrotnie o wyborze.



Fot. Małachowski

Rzadki obuwik – w Tatrach

Piękny krajobraz, piękna przyroda – to też niepoślednie zalety letniska, przyciągające zarówno chwilowych turystów, jak i gości na dłuższy pobyt.

Pięknie i malowniczo położonych miejscowości nie braknie u nas, znaleźć je można w różnych stronach kraju i o rozmaitym charakterze tak, że każdy może sobie wybrać taką, jaka mu będzie najbardziej dogadzała: kogo pociągają widoki górskie, kontrasty szczytów i dolin, znajdzie dość miejscowości czy to u podnóża Tatr, czy koło Pienin, czy też w Beskidzie lub Karpatach Wschodnich; kto woli krajobraz niżowy z wodą i lasem, jeziora obramowane zieloną gęstwą drzew, lub rzeki, płynące wśród malowniczych brzegów, – nie potrzebuje również szukać ich daleko; mamy nawet i piękny, choć nieduży skrawek południa z cudownemi zakolami Dniestru koło Zaleszczyk i nieduże, ale pełne swoistego uroku wybrzeże morskie. Malownicze zakątki można nieraz znaleźć nawet tuż w pobliżu większych miast, że wspomnę tylko Czernę lub Mników pod Krakowem albo przepiękny, jedyny w swoim rodzaju wąwóz Ojcowski.

Niektóre miejscowości niezależnie od malowniczego położenia mają jeszcze różne osobliwości czy to czysto przyrodnicze, czy też związane ze wspomnieniami historycznemi, co im również dodaje uroku i zainteresowania.

Bo czyż nie pociągnie każdego, kto będzie



Fot. H. Schabenbeck

Przepiękny Staw Toporowy w Tatrach – tak jak wyglądał dawniej

w tamtej stronie, chęć zwiedzenia jedynego w całej Polsce lasu lipowego o charakterze pierwotnym pod Muszyną koło Krynicy?

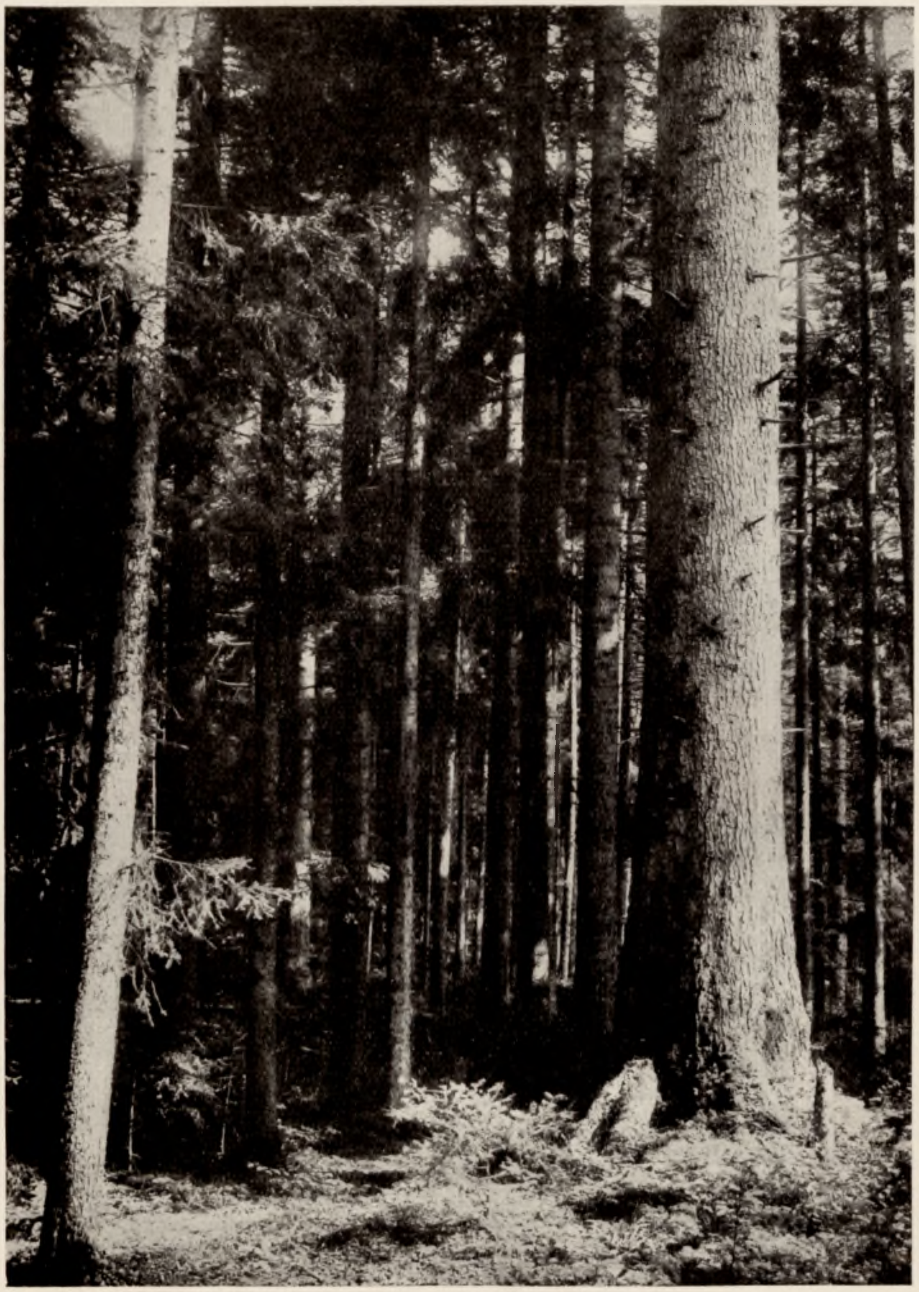
Kto się nie zachwyci tak pięknie opisaną przez Żeromskiego puszczą jodłową w górach Sto-Krzyskich albo pierwotnym borem modrzewiowym na górze Chełmowej u stóp tegoż pasma? Któżby nie pragnął zobaczyć pięknego lasu cisowo-bukowego (94 ha) w Kniaźdworze pod Kołomyją, wspomnienie tych czasów, kiedy cisy były u nas pospolitem drzewem i tworzyły lasy?

Czasami ze starym lasem wiążą się konkretne wspomnienia, jak np. z porosłą lasem górą Batorego w puszczy Białowieskiej. Czasami wspomnienie takie budzi sztuczna aleja lub ogród, jak np. wspaniała aleja w Rzucewie (na Pomorzu), utworzona z 260 starych lip w 4 szeregach, zasadzonych przez króla Jana Sobieskiego.

Wspomnienia takie lub różne podania związane są nieraz z poszczególnemi drzewami. Ale i same przez się budzą w każdym podziw, a poniekąd i szacunek stare, okazałe drzewa, liczące po parę albo i po kilka wieków — dęby, buki, jesiony, lipy, czy to gdy otaczają również stary kościołek drewniany, czy gdy stoją samotnie z kapliczką przydrożną na pniu.

Imponują nam lata takich starych drzew, ale czemże są one wobec wieku głazów narzutowych, wielkich kamieni, leżących od tysiącleci w różnych miejscach na powierzchni naszego kraju? I do wielu z nich przywiązane są wspomnienia historyczne, że wymienię tu tylko kamień Filaretów: do każdego prawie jakieś podanie. I one są ciekawym i godnym uwagi zabytkiem przeszłości, pobudzającym do zastanowienia się nad dziejami naszej ziemi w praczasach dawno minionych, i nad świeższą, historyczną przeszłością.

Do takich samych wspomnień i rozważań pobudzają nas młode, tętniące peł-



Puszcza jodłowa — źródło wzruszeń i natchnień Żeromskiego Fot. Massalski



Pałac w Łazienkach w Warszawie wiosną — Fot. M. Iliński

nią rozkwitającego życia rośliny z gatunków rzadkich. będących na wyginięciu a pospolitych niegdyś. Młode indywidualnem, osobniczem życiem – są one zarazem starymi świadkami minionych czasów, pozostałością dawnych flor.

Takim świadkiem dawnej epoki jest Zielina (Azalea pontica), rosnąca dziś dziko w Europie jedynie pod Leżajskiem i na Polesiu, a będąca pozostałością z czasów, kiedy w Europie środkowej panował klimat znacznie cieplejszy od obecnego. Pozostałością późniejszej. ale również dawno minionej epoki o wręcz przeciwnym, bo zimnym klimacie są różni przybysze z północy: brzoza karłowata (Betula nana) i niska (B. humilis), karłowate wierzby (Salix herbacea i reticulata), lub dębik ośmiopłatkowy (Dryas octopetala). Resztki flory z innego znów okresu, odznaczającego się suchym, stepowym klimatem, przedstawiają takie rośliny, jak piękna trawa z płd. wschodnich kresów kraju, rosnąca także na wyżynie małopolskiej, zwana ostnicą (Stipa pennata) z powodu długoościstych plewek na ziarnach; jak gatunek dzikiego lnu o pięknych, złocisto-żółtych kwiatach (Linum flavum), jak karłowata wisienka stepowa (Prunus chamaecerasus) i inne.

Wszystko to są charakterystyczne osobliwości, cenne zabytki minionych czasów, świadczące o zmianach i kolejach, jakie przechodziła przyroda naszego kraju, i dlatego przedstawiające nieocenioną wartość.

Przykładów takich roślin, czy też całych ich zespołów możnaby przytoczyć znacznie więcej. Może jednak lepiej będzie zwrócić uwagę na to, jak wygląda krajobraz, w którym ich zabraknie.

Na Czarnohorze eksploatowano bardzo silnie kosówkę na wyrób znanego olejku kosodrzewinowego i oto dołączone zdjęcie przedstawia nam namacalnie, jak wygląda taki wyeksploatowany obszar. Rzuca się tu w oczy straszne zeszpecenie krajobrazu. Mógłby jednak kto powiedzieć, że taki zniszczony obszar da się zużytkować gospodarczo, gdyby wypalić obumarłe szczątki kosówki, zasiać tu trawę i utworzyć pastwisko. Nie na wieleby się to jednak przydało: gleba straciła już spoistość, jaką jej nadawał zwarty gąszcz kosówki, będzie ulegała ciągłemu spłókiwaniu przez spływające z góry wody, a w miesiącach suchych wywiewaniu przez wiatr i ostatecznie powstanie tu kamienisty nieużytek z rzadkiemi i nędznemi trawkami.



Fot. T. Wilczyński

Ponure cmentarzysko przyrody ojczystej – kosówka na Czarnohorze, zniszczona po barbarzyńsku na wyrób olejków kosówkowych

to naturalny, a zarazem i jedyny warsztat pracy dla nauk przyrodniczych. Boć przecie poznawać przyrodę można tylko na niej samej: tylko badając przyrodę dziewiczą, niezmienioną, można poznać rządzące nią prawa, wzajemne stosunki między poszczególnemi roślinami i zwierzętami, a także ich stosunek do mineralnego podłoża; gatunki wymierające zapoznają nas z charakterem i warunkami życia w minionych epokach, uzupełniają wiadomości, jakie zdobywamy, badając szczątki kopalne.

Znaczenie naukowe jest tak dalece jasne samo przez się, że nie trzeba go właściwie nawet udowadniać i że każdemu rzuca się w oczy naukowa wartość – że weźmiemy przykłady tylko nasze – takiej pierwotnej puszczy Białowieskiej, starego lasu modrzewiowego lub cisowego, szczątków stepu na Podolu lub wyżynie Małopolskiej, torfowisk w Tatrach, na Pomorzu lub w innych częściach Polski itp., zachowanie dzika, bobra, łosia, niedźwiedzia i innych wymierających zwierząt lub roślin.

Ale ten naukowy motyw łączy się ściśle z motywem gospodarczym: obok teoretycznych wyników badań naukowych, obok zdobyczy, mających na celu jedynie ścisłą wiedzę, czystą naukę, poznanie przyrody dla niej samej, – osiągamy tą drogę i korzyści praktyczne: badania naukowe nad pierwotnym lasem zaznajamia nas nietylko z jego życiem z punktu widzenia czystej nauki, ale wskazują nam także, jak najracjonalniej prowadzić gospodarkę leśną, aby i korzyść mieć możliwie dużą i nie zniszczyć lasu rabunkowemi metodami.

Pozatem zupełne wyniszczenie lasów – to najgroźniejsza klęska dla rolnictwa i dla kraju wogóle: przekonano się niejednokrotnie, niestety często po niewczasie, w jak strasznie szkodliwy sposób wpływa wycięcie lasu na stosunki klimatyczne, na glebę, na zniknięcie ptaków owadożernych, rozmnożenie się szkodliwych owadów itp., wywołując tem wprost klęski żywiołowe. Straszne powodzie na nizinach spowodowane są częstokroć wyłącznie wycięciem lasów w górach, w których rzeki biorą początek.

Albo weźmiemy inny przykład – wytępienie ssaków lub ptaków rybożernych. Zdawałoby się, że to jest bezwzględny zysk dla człowieka,

Inne zdjęcie przedstawia nam nadzwyczaj malowniczy stawek Toporowy w Tatrach; tylko niestety, w tak pięknej postaci nikt go już dziś nie zobaczy: wyrąbano otaczający go las i zmieniono do niepoznania wygląd stawu. Namacalny przykład, jak łatwo odebrać piękno najbardziej malowniczemu krajobrazowi!

To też prawie sama przez narzuca się jako konieczna potrzeba ochrona pierwotnej przyrody, którą człowiek tak łatwo może zniszczyć rozrostem swojej gospodarki, zagarniającej coraz to nowe tereny, i którą też rzeczywiście niszczy. Stają więc tu we wzajemnej kolizji: konieczność zaspokojenia potrzeb coraz bardziej rozradzającej się ludzkości i konieczność ochronienia przyrody. Nasuwa się pytanie, jak pogodzić te obie konieczności i czy wogóle dadzą się one pogodzić, czy nie przesadzają w swych żądaniach ci, co nawołują tak gorąco do ochrony przyrody.

Dlatego też trzeba się zastanowić nad tą kwestją, trzeba bliżej rozważyć motywy, jakie przemawiają za tem.

Omówimy je tu pokrótce, zaczynając od rozpatrzenia motywu naukowego.

Jest to motyw niezmiernie ważny: zachowanie w stanie pierwotnym przynajmniej cząstki przyrody dziewiczej, zachowanie żyjących jeszcze gatunków czy to roślin, czy zwierząt z minionych epok, czy pomników przyrody martwej – to nieodzowne warunki rozwoju i pomyślnego stanu nauk przyrodniczych. Przyroda w swoim naturalnym stanie, niesfałszowanym i niezmienionym przez gospodarkę człowieka –

że mu to pozwoli tem pomyślniej prowadzić gospodarkę rybną. Tymczasem rzecz ma się wręcz przeciwnie; pokazało się, że w miejscowościach w których wytępiono np. wydry, zaczęły się szerzyć choroby zakaźne wśród ryb i że ginęły one całemi masami. Wydra była tam niejako inspektorem sanitarnym: ofiarą jej padały przedewszystkiem ryby chore, zarażone różnemi pasorzytami; w ten sposób przyczyniała się ona do przerwania zarazy, ocalała od niej resztę ryb.

Gdy na kilka lat przed wojną w celu rzekomej ochrony zwierzyny łownej (żubrów, jeleni itp.) wystrzelano w puszczy Białowieskiej wilki, miało to ten skutek, że wśród chronionych zwierząt rozwinęła się szalona epidemja, od której ginęły one setkami, znacznie liczniej, niż poprzednio od wilków. I trzeba było pomyśleć o wpuszczeniu znów tych drapieżców do puszczy.



Głaz narzutowy w Pelplinie na Pomorzu, leżący tu tysiące lat – rzadki okaz przyrody martwej, zasługujący na szczególną ochronę

Natura zbytnie a szkodliwe rozmnożenie się jednego gatunku reguluje działalnością drugiego i człowiek musi dobrze poznać jej prawa, jeżeli chce, aby jego wmieszanie się nie wyszło na szkodę i przyrodzie i jemu samemu.

Za koniecznością ochrony przemawia dalej poruszany już wyżej motyw natury historycznej – konieczność zachowania dla przyszłych pokoleń zabytków przyrody, z któremi związane są wspomnienia wielkich ludzi lub głośnych zdarzeń dziejowych, a które ten zachowany zabytek stawia nam niejako przed oczami, odświeża pamięć o nich w sposób bardziej żywy.

Motyw estetyczny – piękno krajobrazu, piękno i majestat starych drzew, głazów narzutowych, grot itp. poruszaliśmy już wyżej i widzieliśmy, że posiada on także pierwszorzędne znaczenie. Tutaj trzeba jeszcze tylko dodać, że wywiera on bardzo dodatni wpływ kształcący: uczy zachwycać się pięknem przyrody i cenić je, wzbudza zamiłowanie do przyrody swojskiej, a co zatem idzie wzmacnia przywiązanie do kraju rodzinnego, słowem rozwija uczucie patrjotyczne.

Tu od motywów estetycznych – zamiłowania piękna przechodzimy do motywów etycznych, a uczucia patrjotyczne nie są jedynemi, do których rozwoju przyczynia się ochrona przyrody: zakaz niszczenia bez koniecznej potrzeby wszelkiego życia, obowiązek chronienia i opiekowania się wszelkiemi tworami, którym grozi zagłada – czyż się nie przyczynia do tępienia popędów niszczycielskich, a do rozwijania uczuć szlachetnych?

A myśl o przyszłych pokoleniach, chęć zachowania i dla nich tego piękna, czy tych praktycznych korzyści z przyrody, któremi sami się cieszymy – czyż nie jest również kształcącą etycznie? Czyż to nie jest poskramianiem egoizmu i rozwijaniem uczuć altruistycznych, jeżeli ochrona przyrody zmusza nas do myślenia o przyszłych pokoleniach, nie pozwala zasklepić się w ciasnych i egoistycznych sprawach dnia dzisiejszego i własnego ja?

Słowem, z którejbądź strony będziemy rozważać sprawę ochrony przyrody, z każdej dostrzegamy w niej tyle dodatnich cech, że wprost zbędnem się staje udowodnienie wielkiego jej znaczenia: względy czystej nauki, gospodarcze, estetyczne, etyczne, kształcące i wychowawcze łączą się tu w harmonijną całość i nic dziwnego, że dziś niema kulturalnego państwa, w któremby nie rozumiano wartości i znaczenia tej idei, w któremby nie wprowadzano jej w praktykę.

Czy to całe zespoły, godne zachowania, czy poszczególne ginące gatunki, czy wreszcie indywidualne ciekawe okazy są dziś wszędzie rejestrowane i brane pod ochronę.

Zadużoby tu miejsca zajęło, gdybyśmy się chcieli zająć historją wprowadzania ochrony przyrody w poszczególnych państwach, tworzeniem rezerwatów itp. Narazie dość będzie wspomnieć, że Polska nie stoi dziś pod tym względem na ostatniem miejscu, że mamy zro-

zumienie tej sprawy i u władz państwowych i, co nie mniej ważne — w społeczeństwie; bo bez współudziału najszerszych warstw całego społeczeństwa najlepiej obmyślane prawa nie wywrą należytego skutku.

Nie mamy jeszcze wprawdzie specjalnego prawa o ochronie przyrody, ale narazie tylko różne poszczególne ustawy, jak łowiecka, rybacka i inne, oraz Państwową Radę Ochrony Przyrody, zajmującą się tą sprawą z ramienia rządu, i Ligę Ochrony Przyrody, przedstawiającą udział społeczeństwa w sprawie ochrony.

Towarzystwo pod nazwą *Liga Ochrony Przyrody* powstało bardzo niedawno, zaledwie przed 2 laty (w r. 1928) z siedzibą w Warszawie i z oddziałami na prowincji, zawiązującemi się w miarę zgłaszania się większej liczby członków na pewnym obszarze.

Zadaniem Ligi jest propagowanie w społeczeństwie idei ochrony przyrody żywej i martwej, zabieganie o zachowanie swoistych cech krajobrazu rodzimego oraz gromadzenie środków pieniężnych. niezbędnych do realizacji tych celów.

Odpowiednie fundusze można będzie zgromadzić i cele Ligi osiągnąć w pełni jedynie wtedy, jeżeli jak największa liczba osób zapisze się do Ligi i jak najobficiej będą płynąć datki na jej cele. Wtedy tylko można będzie wykupić i wziąć pod pełną ochronę różne cenne zespoły, tworząc z nich rezerwaty.

W broszurce prof. Szafera pod tytułem *Ochrona przyrody ze szczególnem uwzględnieniem roślin* (odbitka z VII t. *Poradnika dla samouków*) znajduje się zestawienie rezerwatów naszych czy to już utworzonych i wziętych pod ochronę prawną, czy też wymagających ochrony, ale nieuprawnionych jeszcze z powodu, iż są własnością prywatną i trzeba je dopiero wykupić.

W broszurce tej prof. Szafer wymienia ogółem 92 rezerwatów (leśnych, stepowych, torfowiskowych, jeziornych i źródłowych): z nich 62 już utworzonych, a 30 dopiero projektowanych, a więc takich, na które trzeba jeszcze gromadzić fundusze.

Wśród już utworzonych znajdują się: rezerwat Białowieski z pierwotną puszczą, las jodłowo-bukowy (puszcza Żeromskiego) i modrzewiowy w górach Św.-Krzyskich, lasy cisowe w Kniaźdworze (pod Kołomyją), w Wierzchlesie i Miekrzu (na Pomorzu), las lipowy w Muszynie, las bukowy w Nawojowej (w pow. nowo-sądeckim) i w Złotym Potoku (pod Częstochową), lasy regla dolnego w Zakopanem, lasy z kosówką na Czarnej Horze, lasy mieszane w różnych punktach kraju, między innemi bory Tucholskie na Pomorzu i las w Rozewiu (na wybrzeżu morskiem) z jarząbem szwedzkim (Sorbus suecica). Do leśnych rezerwatów należy także świeżo wykupiony (w końcu roku zeszłego) przełom Dunajca przez Pieniny i kilkanaście innych. Ale oprócz tego jest jeszcze 15 projektowanych, które dopiero czekają na wzięcie ich pod ochroną i zrobienie w nich rezerwatów.

Stepowych rezerwatów mamy ogółem 21, z nich 13 już utworzonych. Znajdują się one w różnych punktach kraju, najwięcej na Podolu, w woj. kieleckiem i na Pomorzu. Zajmują drobne przestrzenie, po kilka a najwyżej kilkanaście hektarów. Największy rezerwat znajduje się w Bogucicach koło Buska (w woj. kieleckiem) o obszarze 14.5 ha.; do najpiękniejszych należy wołyński step na górze Makutra koło Brodów (10 km), stanowiący resztkę tych stepów, które oglądał i któremi zachwycał się Słowacki, pisząc:

> W noc nawet i ślepy poznałby te stepy
> Po kwiatów rodzimych zapachu.

Ale, niestety, rezerwat ten nie jest jeszcze wykupiony i utworzony,

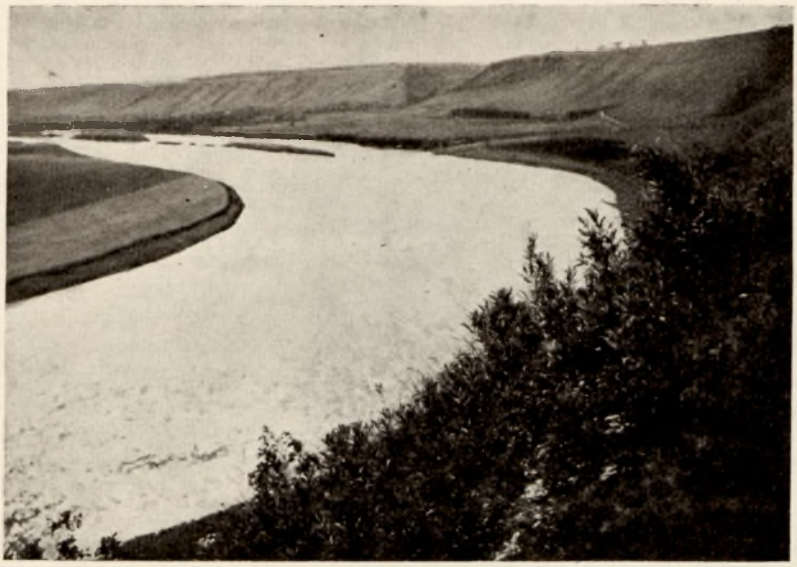
Rezerwaty torfowiskowe znajdują się przeważnie na Pomorzu, mianowicie 8 z ogólnej liczby 11; z nich największy, tak zwane *Staniszewskie Błoto*, na Kartuzach zajmuje obszar do 50 ha.

Z rezerwatów wodnych (jeziorne i źródłowe) poza jeziorem Wigierskiem żaden jeszcze nie jest utworzony; starania o wykupienie związanego ze wspomnieniami o Mickiewiczu i uwiecznionego przezeń jeziora Świtezi nie zostały jeszcze uwieńczone powodzeniem.

W rezerwatach chroniona jest całość przyrody na pewnym obszarze w celu zachowania w pierwotnym stanie całego zespołu albo krajobrazu. Dlatego na obszarze rezerwatu nie wolno wyrąbywać drzew ani zrywać żadnych roślin; pod ochroną znajdują się również wszystkie zwierzęta. Słowem, ochrona obejmuje tu całokształt życia na danej przestrzeni.

Mniej szeroki zakres ma tak zwana ochrona gatunkowa, ale zato rozciąga się na obszar całego kraju. Ochronie tej podlegają tylko niektóre, nieliczne zresztą gatunki wymierające i dlatego rzadkie, ale podlegają jej wszędzie, gdzie tylko się znajdują; roślin takich nie wolno nigdzie zrywać (chyba że się je umyślnie hoduje w ogrodach), zwierząt takich nie wolno zupełnie zabijać.

Według rozporządzenia Ministerstwa W. R. i O. P. z dn. 15. IX. 1919 ochroną gatunkową objęte są u nas następujące gatunki roślin: cis (Taxus baceata), limba (Pinus cembra), Zielina (Azalea pontica). różanecznik (Rhododendron Kotschyi) powojnik alpejski (Clematis alpina), owies stepowy (Avena desertorum), sziwe-



Fot. M. Sokołowski

Stanowisko migdała niskiego w głębokim, słonecznym jarze dniestrowym w Dobrowlanach pod Zaleszczykami

rach), Czartowska Skała pod Lwowem, lejki gipsowe w Bilczu Złotem nad Seretem, teren gipsowy pod Czerwonym Chotlem, Grota kryształowa w Wieliczce i inne.

Z roślin: modrzew polski (Larix polonica) w kilkunastu miejscowościach, jodła (Abies alba) w puszczy Białowieskiej i w kilku szczególnie pięknych okazach w innych miejscowościach; brzoza karłowata (Betula nana) w Linjach pod Ostromeckiem; jarząb szwedzki (Sorbus suecica) w paru miejscowościach na Pomorzu; brekinia (Sorbus torminalis) w kilkunastu miejscowościach w Poznańskiem i na Pomorzu: mikołajek nadmorski (Eryngium maritimum) nad Bałtykiem; wilcze łyko (Daphne mezereum), gładyszek, zwany pospolicie śnieżyczką (Galanthus nivalis) i lilja złotogłów (Lilium martagon) w województwie krakowskiem, i niektóre inne. a oprócz tego cały szereg pięknych, starych okazów różnych drzew, rozrzuconych po całym kraju.

Ale poza nieniszczeniem takich zarejestrowanych roślin należy przejąć się ideą nieniszczenia roślin wogóle: nie zbierać nadmiernie wielkich pęków, nie ogałacać docna na wycieczkach całej łąki z kwiatów. a zwłaszcza zwracać baczną uwagę na rośliny rzadsze w jakiejś okolicy, nie wyrywać ich z korzeniem i pouczać innych o potrzebie szanowania takich rzadkich roślin, jak np. różne piękne storczyki. a szczególnie bardzo rzadki obuwik (Cypripedium calceolus).

Wtedy dopiero, gdy wszyscy przejmiemy się tą ideą ochrony przyrody, uda się nam spełnić jej cel przewodni – zachowanie dla przyszłych pokoleń naszego polskiego krajobrazu, naszej polskiej przyrody w całej jej krasie i piękności, ze wszystkiemi jej urokami i osobliwościami.

rekja podolska (Schiwereckia podolica), marsylja czworolistna (Marsilia quadrifolia), i szarotka alpejska (Leontopodium alpinum).

Ze zwierząt podlegają ochronie: sieja (Coregonus murena). bocian czarny, orzeł przedni. pustynnik (Syrrhaptes paradoxus), pardwa. łoś, bóbr, kozica. świstak i żubr.

Jest jeszcze trzeci rodzaj ochrony, o najszczuplejszym zakresie, mianowicie tak zwana ochrona indywidualna, której podlegają bądź to poszczególne godne uwagi okazy, bądź wszystkie z pewnego gatunku, ale tylko w jednej lub paru miejscowościach.

Nie można podać tutaj całej listy okazów i gatunków, podlegających takiej indywidualnej ochronie, jest ich bowiem zadużo – samych starych drzew zarejestrowanych jest kilkaset! Ograniczę się więc do podania tylko pewnej liczby ciekawszych przykładów.

Z okazów przyrody martwej podlegają ochronie indywidualnej: kamień Filaretów, kamienie *żale* we wsi Mątwicy pod Nowogrodem (w Łomżyńskiem). Skałka we wsi Okno (w Miodobo-

---

Do Drogich Przyjaciół (Słońca)

Prosimy Przyjaciół (Słońca) o rzecz, której pismo nasze nieodzownie potrzebuje. O czynne poparcie – moralne i materjalne. Tylko ciesząc się serdecznem, czynnem poparciem naszych Przyjaciół, zdołamy pismo utrzymać i rozwinąć. Popierajcie (Słońce)! Jednajcie mu dalszych przyjaciół i przedpłatników!

Nieco o polskim krajobrazie wiosennym w malarstwie



Strumień leśny na wiosnę — S. Żukowski

Michał Pociecha w akwarelach słonecznych, zamkniętych w poważny i harmonijny ton eurytmji, dał całą gamę barw wiosennych, aż do najsubtelniejszych odcieni.

Fałat doskonale odtwarza nastrój i charakter przyrody w rozciągłych podkarpackich krajobrazach wiosennych z ostatniego okresu swej twórczości.

Spójrzmy: dolinę beskidzką wypełniają ciężkie, górskie mgły wiosenne, z nad których ukazują się grzbiety gór; na wierzchołkach jeszcze śnieg je okrywa. Na pierwszym planie rolnik pruje łono ziemi – czarnej, wilgotnej.

Jeden z młodszych pejsażystów Żukowski, doskonale ujmuje charakter wczesnej wiosny: słońce, szeroko położone na śniegu, topi go bezpowrotnie, a czarny, lekko wyłaniający się grzbiet nasiąkłej wilgocią ziemi uwydatnia biel śniegu. Bezlistne jeszcze, wilgotne gałęzie drzew rysują się na tle nieba wręcz graficznie. Niebo, jeszcze nieprzetarte, daje wyraz surowy i chłodny. – *Jan Ciemięchowicz.*

Po Szermentowskim, ojcu krajobrazu polskiego, świetnym przedstawicielem malarstwa krajobrazowego był Józef Chełmoński, artysta o duszy prostej i wzniosłej, człowiek, który każdym nerwem wyczuwał przyrodę i zżył się z nią całą duszą. Zostawił dzieła wieczne, wyrażające wielostronnie krajobraz polski.



Orka w Beskidach — J. Fałat

Jan Wiktor

P i e n i n y

Śmiało rzec można, że Pieniny są mało znane na obszarach Polski. Zwiedzanie ich zwykle ogranicza się do nudnych wycieczek, kiedy oczy uczestników omiotą je zwierzchu. Więc autem do Czorsztyna – wedle nakazanego szablonu, z werandy restauracyjnej spojrzenie z nad szklanek i talerzy na ruiny historycznego zamku – coś tam ktoś opowie, poda parę dat, ktoś wysapie się na szczyt wzgórza, aby popatrzeć na Niedzicę, na wspaniałą wstęgę Dunajca, na dolinę nowotarską – a potem jazda łódkami w stronę Czerwonego Klasztoru – postój, gdyż ryby i wino – później przelot przez jedyny zakątek ku Szczawnicy. Trochę śpiewu na rozkołysanych falach, trochę obrzędowych okrzyków, aby usłyszeć echo odbijające się od skalistych urwisk. Gdy zaś ktoś wyszedł do Zameczku św. Kingi, czy na szczyt Korony, to na to, aby szpargałami zaśmiecić, skorupką jaj zarzucić miejsce odpoczynku.

Ostatnio coraz liczniejsze wycieczki młodzieży wyruszają w te strony piechotą, z plecakami na barkach i z entuzjazmem w sercu. Ci wstępują z czcią miłości, z milczeniem zachwytu do tej wielkiej świątyni piękna, którą stworzyła przyroda w twórczej mozolnej pracy wieków.

Zakątek mały, gniazdo górskie, które zwiedzić i poznać można w kilkanaście godzin. A przecież byli szaleńcy, którzy myśleli o założeniu kamieniołomów. Na szczęście na przeszkodzie stanęła sama przyroda stroma, urwista, uniemożliwiająca dostęp człowiekowi, chcącemu wszystko zmienić na złoto.

Przyroda utworzyła skarbiec, do którego złożyła zabytki przemian i spisała dzieje procesów geologicznych. Są tutaj takie piękności, że należało wołać, aby zachowano je w pierwotnym stanie. Niestety człowiek z zaciekłością niszczył zakątki. Wciąż wisiała groza zniszczenia i ogołocenia Pienin. Ptaki były coraz większą rzadkością, zwierzęta niemal zupełnie wyginęły, ot czasem przemknie zając, na polance przeżywa sielankę para sarn. Co roku coraz chytrzej grasowała siekiera. A to przysłowiowy austrjacki kornik, a to burza. I pod ich przykrywką wycinało się drobne smreczyny, pod okiem władzy, niezbyt czujnej i niezbyt dbającej o piękno ziemi.

Gdyby zabrakło lasów, to pozostałaby naga, zimna pustynia skalna, to jakby ktoś Pieninom szmaragdową duszę odebrał. To też każde obalenie drzewa bolesnym ciosem trafiało w serca miłośników, patrzących na robotę niszczycielską. Łatwo ściąć, kilka ciosów siekiery wystarcza, ale trzeba potem dziesiątki lat czekać, zanim smrek, buk, czy jodła jako-tako skrzepi się, wzmocni, zapuści korzenie w skaliste złomy, koroną wystrzeli i płaszczem zieleni okryje nagą, kamienną ubocz.

Las, wody Dunajca i skały – to trzy czynniki, które wzajemnie zespalają się, aby stworzyć owo arcydzieło – Pieniny.

Obecnie sprawa ta jest uratowana. Po wielu zabiegach, staraniach – tereny te przeszły w ręce państwa. Powstanie tutaj *Park narodowy*, który będzie niejako pracownią naukową, żywem muzeum z napisem: dostęp barbarzyńskiej kulturze człowieka wzbroniony. Tutaj będziemy podziwiać niezwykłe, jedyne okazy flory, przepotężne przemiany geologiczne i piękno cudownego zakątka. Teraz Pieniny przestaną być terenem rabunkowej gospodarki, ale będą siedzibą badań naukowych, będą kopalnią wrażeń dla tysiącznych rzesz, które corocznie z utęsknieniem w te strony przybywają, aby zachwycać się i uwielbiać arcydzieło przyrody, nieskażone ręką człowieka.



Sokolica w Pieninach Fot. J. Jaroszyński



Dunajec w pobliżu Szczawnicy — w zwężonem miejscu przełomu Fot. J. Jaroszyński

Znam tutaj niemal każde drzewo, każdą polankę, łączkę, kamień. Przewędrowałem to gniazdo górskie wzdłuż i wszerz oczami i sercem. Uwielbienie Pienin woziłem po świecie. Kiedy stanąłem przed cudami, przed któremi z piersi wszystkich wydzierał się okrzyk podziwu, niemal zawsze stwierdzałem:

– Tam ładniej.

W obcych krajach, w górach czy nad morzem przed stęsknioną duszą jawiło się pasmo ukochanych gór, czarujące zachody i wschody, objawienia nocy księżycowej, skarby tajemnic zaklęte w zakątkach skalnych, i wtedy snuła się opowieść wielkiej miłości o tej ziemi. Pieniny, to czarująca zjawa piękna, która zrodziła się w kamiennych snach prawieków.

*

Nieprzebrane cuda Pienin były natchnieniem, wzlotem, uniesieniem dla szeregu polskich twórców. Poeci, malarze ukochali zakątek niezwykłej ziemi i w obrazach dali wyraz zachwytom, jakich doznali na widok piękna, ukrytego w przedziwnych toniach wód, czarach pejzażu, w symfonjach barw, zmieniających się jak widziadła rannych obłoków. Piękno Pienin jest źródłem najwyższych wzruszeń i zachwyceń; to klejnot zagubiony w górach, o którym mówi omszała klechda ludowa, odgrodzony od targowiska świata, zachowany od zniszczenia, na podziw tych, którzy tutaj przybywają, aby złożyć najszacowniejszą daninę serca – uwielbienie.

Świat pieniński jest najzupełniej różny w swych objawieniach od świata tatrzańskiego, jednakże jest niemniej zachwycający, niemniej bogaty i uroczy, gdyż oba odmienne światy zespala jedna nieśmiertelna dusza – piękno przyrody.

Pod Sokolicą, Koroną (niesłusznie zwaną Trzema Koronami) niema przerażającej grozy, potęgi, ogromu, jak w Tatrach, gdzie szczyty, poszarpane toporami szalejących piorunów, butnie wystrzelają w zwały chmur; niema wyniosłych, strzelistych budowli skalnych, potrzaskanych chyba w boju prawiecznych olbrzymów, gdzie turnie nagie, zuchwałe, dziko sterczące, biją w wyżyny, jakby skamieniałe wyrazy zbuntowanej ziemi, które rzuciła na urągowisko oniemiałym niebiosom; niema rozszalałych potoków, spadających z gór w gromowych hukach; niema przepaści głuchych, ginących w mroku, jak rozpacz w otchłaniach ciemnego grobu. Piękno



Korona, zwana też Trzema Koronami — miejsce odjazdu łódek do Szczawnicy Fot. J. Jaroszyński

Pienin jest zupełnie inne. Ono nie przeraża, nie przygniata ogromem, nie budzi grozy swoją wielkością, ale obdarza wrażeniami niewysłowionego ukojenia i błogiego uciszenia. To romantyczny poemat, w którym każdy kamień, każda piędź, każde ustronie jest wyrazem bożej mowy, hymnu śpiewanego przez ziemię w zachwycie.

Łańcuch gór, pokryty delją smreków, szare turniczki wysterczające z pośród zieleni, urwiska obsiane aksamitem mchu, zacisza wodne, kwietne łąki, odmęty Dunajca, pełne powabów, czaru krużganki, aleje, groty, skały poszczerbione, ich niezwykłe ukształtowanie, fantastyczne rzeźby — ich obraz odbity w głębiach wód, daje arcydzieło niedoścignione, nie do uwierzenia piękne.

Dunajec płynie wśród łańcucha górskiego wyrwą wydartą w skale. Burzliwy nurt pieni się, wścieka, przewala po głazach, obala zapory, omija je, ucieka przed samym sobą, wpada w rozwarte bramy, szmaragdowemi ramionami obejmuje ściany, przytula je i zdaje się, że na widok uroczych miejsc w zachwyceniu staje i falami pieści wizje niebios, baśń nieziemskiego świata. W nieprzeliczonej mnogości tworzy załamy, zakręty, wyspy, gaje, ustronia, zacisza, ścieląc w nich seledynowe, lazurowe, złote marzenia.

Wody Dunajca są zaklinaczem snów barwnych, kapryśnych, zmiennych, ale zawsze zachwycających, jak błękity ócz dziewczęcych, przez które przepływają uśmiechy miłosne.

Wzburzony nurt czasem szamoce się na kamieniach i rwie w dół nieokiełzany, wolny, jak bojownik na rumaku z rozwichrzoną grzywą, czasem miota się niby bezsilny więzień w zamknięciu, a już za chwilę, kiedy ominie progi, rozlewa swe wody na równinie, przesypuje srebro blasków, złoto promieni, rozpływa się w niezmąconej ciszy, wyczarowując co krok granice jezior, w których odbywają się przeloty obłoków, wschodów i zachodów. Wtedy doznaje się wrażenia, że fale złowiły tajemnice niebios, uniosły je w odmęty, usnęły, pieszcząc w sercu zjawę barw.

Rozkosz i upojenie przeżywa się, przepatrując zazdrośnie ukryte pod zasłonami drzew, prześliczne dolinki, łączki, groty, polany kwietne — te kobierce ścielące się przez tygodnie wiosen-



Czorsztyn Fot. J. Jaroszyński

ne. W wąwozie pienińskim oczy co chwilę pozdrawiają dziwy pejzażu, co chwilę przygarniają pęki kwietnych zachwyceń do duszy.

Zbocza pokrywa las, a z pośród jego zieleni wystrzelają skały, czasem spada orłowym rzutem stroma, przepaścista grań, a tylko na progach, jakby zwiewne westchnienia, kępy trawy, zasianej przez przybłędę - wiatr; to znów z pęknięć wyrastają drzewa, jakby się wydzierały z podziemi, z więzów skalnych, rozpaczliwie chwytając się głazów, wszczepiając swe pazury w szczeliny. W pokręconych gałęziach, w korzeniach, wijących się wężowemi skrętami, znać rozpacz tytanicznego wysiłku. Te zatracone, na zagładę skazane smreki, bezsilnie chwieją się, stojąc nad przepaścią, jak skazany na śmierć nad przeznaczonym sobie dołem mogilnym. Opodal widać inne drzewo – cudna pani w szmaragdowej szacie – ono zastygło nad urwiskiem, przechylone patrzy w czarującą głąb Dunajca, ramiona konarów rozchyla, szepce zaklęcia szmerów i przytula złudę obrazów – otchłań swej zatraty. Gdzieindziej zagradza drogę brama kamienna, mchem ordzewiała; zdaje się, że już dalej kroku nie można postąpić. Wtem – chyba pod zaklęciem – rozchylają się wierzeje, a wśród dziedzin skalnych rozkwitają polanki, łączki ciszy i szczęśliwości, a tak piękne, jakby obłok, zabłąkany w swej wędrówce, przelatując o świcie, umiłował to ustronie, spłynął na nie, aby wyśnić na kobiercu zieloności sen swych kolorów. Gdzieindziej, wśród fantastycznych alei, bajecznych ogrodów wije się droga tak złudna, tak dziwna, jakby wiodła do krainy młodości pełnej marzeń. Co krok rozchylają się zasłony, ukazując w gajach, w głębinach skarby strzeżone przez nimfy, boginie leśne, co krok jawią się widziadła skalne, wynurzają się obrazy, które człowiek wita okrzykiem oniemiałym, bo z serca wybiegają wstrząsy pulsów i na wargach rozlewają się w uśmiech, w najwyższy wyraz uwielbienia. Człowiek błądzi w upojeniu, a na duszy osiadają wrażenia, jak wonny pył na kielichach narcyzów, i jak wonny pył spojrzeń, szeptów unoszą się nad rozkwitłym kwiatem duszy.

Wszędzie i zawsze towarzyszy Dunajec. On wyłania się w każdej chwili, znika w dziedzinach leśnych, w grotach skalnych i znów wynurza się w całym przepychu swych kras. Wody jego kryją w sobie niezbadane tajemnice, fantazje natchnienia. To skarbiec barw, wzruszeń, sen lazurów, świat szmaragdowych baśni. Ich barwę, ich zmienność, ich czarowność można nosić w oczach, ukryć w sercu, ale niema słowa w mowie ludzkiej, któreby zdołało wyrazić poezję wizji obłocznych, niezgłębioność, tajemniczość, bogactwo otchłani, rozchwieje obrazów odbitych z zaklętej topieli. Ta toń, podobna do śniedzi starożytnych dachów, nieba nie dotknęła, a niebem się stała, barwy nie dotknęła, a stała się najcudowniejszą barwą, i ta toń żyje, oddycha błękitami nieba, marzy wizjami zorzy, przedziwną zmiennością jej przeżyć. Lada zabłąkany powiew, lada chmurka przeistacza obszary wodne, w mgnieniu zmienia kolor, życie uczuć barwnych podwodnego świata – jakby w głębinach spoczywała czarodziejska harfa, na której niesłychanie czułych strunach zrodziły się melodje, westchnienia, sny zachwyconych, rozmodlonych gór.

Na dnie leży odbicie łańcucha górskiego. Malowniczość jego – to nie obraz ziemski, to sen Pienin. Przez ale,e głębin płyną chmurki, kryją się za podwojami, znów się wynurzają, ale w kształtach bardziej uroczych, i giną w ogrodach podwodnych, zamieszkałych przez topielice. Każde ustronie, załom, zawrot, przesmyk, zatoka, to kraina fantastycznej złudy, to poezja przestworzy, a tak niedościgła, tak wizyjna, jakby nie była obrazem ziemskich cudów, ale legendą wiekowego piękna.

Pieniny czy w zimie, czy na wiosnę, w jesieni, w nocy, czy o świcie, w każdej porze, w każdej godzinie są inne. Nie wiedzieć jeno, kiedy są piękniejsze, bo zawsze są zachwycające, bo zawsze otwierają podwoje do komnaty wrażeń, podziwiań i uwielbień. W nocy leżą w martwocie pogrążone i pod kirami ciemności są tajemnicze. Skały, lasy zmieniają się w budowle o fantastycznych kształtach, w średniowieczne zamczyska, z których duch uleciał, a zostało tylko milczenie i śmierć. Gdzieś w dali, w odmętach mroku, słychać szelest liści, szum fal, zlewający się w mowę głuchą, jakby to było echo wieków zamarłych, które o północy się obudziły, wyszły z grobów i dzieje podziemi opowiadają. Ta czarność, głusza, martwota rozwiewają się, skoro tylko księżyc wyjdzie i nawiedzi opuszczone dziedziny. Wody Dunajca stają się zaklętem jeziorem, na którego kryształowem dnie rozkwitają lniane kwiaty chmurek, woniejących blaskiem, one błądzą rozchwiane, jaśniejące, śniąc swój zachwycający sen w podwodnych pałacach.

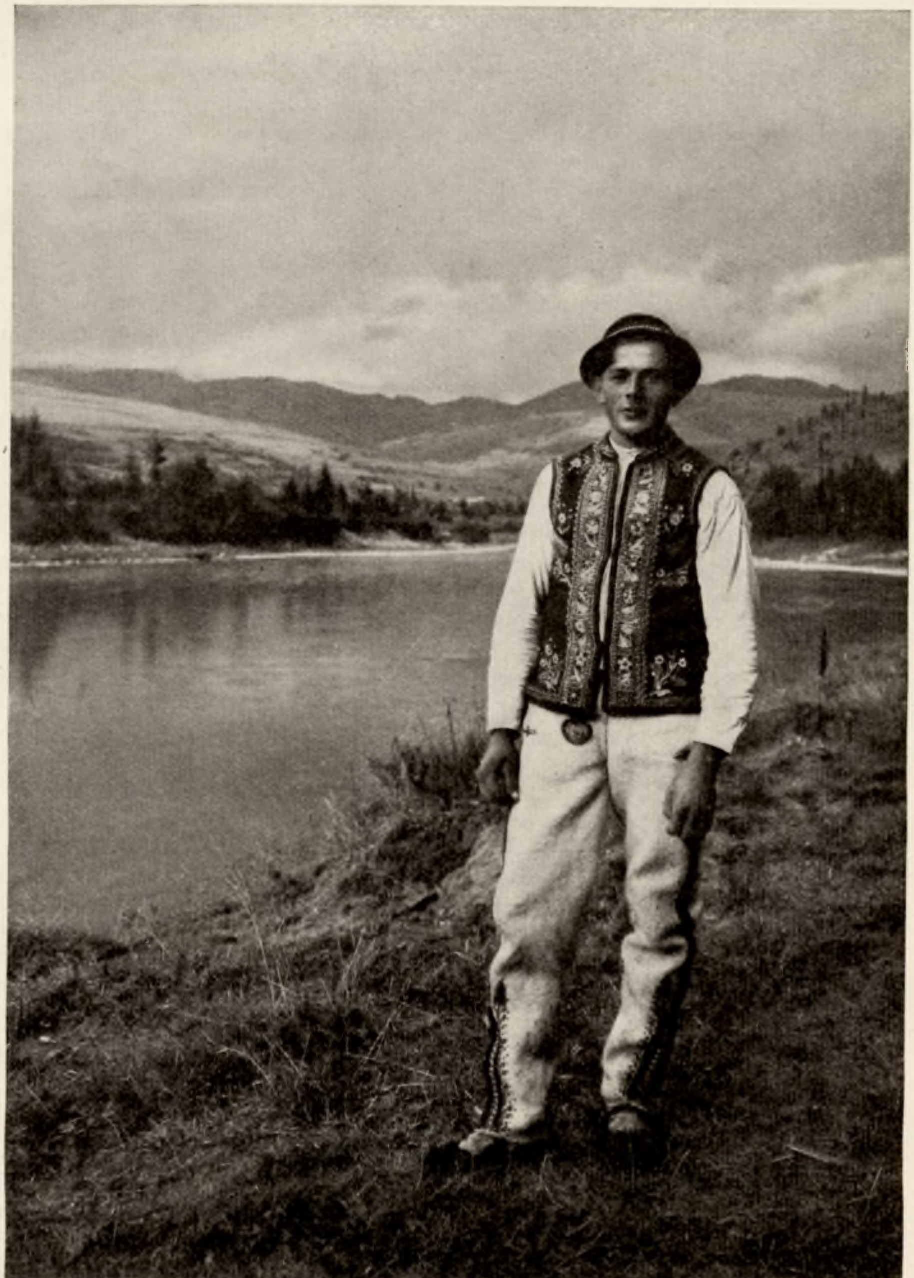
O krok dalej, obok skał i drzew leżą pola i baszty nieprzebitego cienia. Kiedy człek prze-

kroczy zapory kamienne, staje oniemiały ze zdumienia. Tutaj w toń zbiegł z niebios promień, musnął zwierciadło, przepoił światłością głębie i aż do dna je przeistoczył — wyczarowując przedziwną baśń księżycowej nocy. Wtedy obłoki przepływające zmieniają się w nimfy leśne, błądzące po kryształowych kobiercach, które bawiąc się falami, łowią siecią lnianych mgieł — wizerunki gwiazd.

Zgasł księżyc, omdlała jego światłość w mlecznym zmierzchu, po chwili na wschodzie świt się obudził, a na niebo wypłynęły pierwsze obłoki, jakby różowe uśmiechy na seledynach i błękitach. W tem mgnieniu wyniosłe szczyty — Korony — na widok zorzy spłonęły, wyłaniając się ze spowić rannych, jako najbardziej urocze widziadło, różowiejące od cudownych zawstydzeń. Pieniny w tem rannem zachwyceniu są jak serce dziewczęce, które po raz pierwszy dotknął pocałunek, budząc płomienne sny miłosne. Góry stoją w łunach gorejących, płyną obłoki różowe, złote i ścielą się smugami na wysokościach. W odmętach Dunajca taki sam świt płomienieje, wszystkie jego zjawy się rodzą, toń staje się wyśnioną grotą, w której kształtują się wizje jutrzenki.

I tak co dnia zmieniają się widoki. Co krok nowe dziwy w skałach wykute, gaje wodne, ogrody kwitnące, powaby, czary, które moc nieziemska wywodzi z zapomnienia i stawia duszę przed obrazami nieśmiertelnego piękna. Oczy patrzą na te tajemnice i nie mogą się dość napatrzeć. Rodzą się uczucia podobne do snów dolin szczęśliwości. Kto raz obaczył dziwy pienińskie, wszystkie ich objawienia, tego dusza stała się jak zaczarowana toń Dunajca, w której odbiło się wszystko piękno. Jak z głębin szmaragdowych wód, tak z głębin zaczarowanej toni serca wynurza się pieśń miłości, podziwu i uwielbienia:

— O jakżeś piękna kraino, stworzona w zachwyceniu niebios i ziemi na podziw ludzkich dusz. O jakżeś piękny zaklęty cudzie nad cudy!



Góral ze Szczawnicy na tle krajobrazu szczawnickiego Fot. H. Poddębski

Konstanty J. Gałczyński

Choroby snobów

Ilustrował F. Topolski

Snob ma dużo czasu, tak dużo, że starczyłoby go na powtórzenie całych dziejów biednej ludzkości, poczynając od przejścia Żydów przez morze Czerwone, a kończąc na przewrocie majowym.



Piją piwo w Selters

I dlatego snob często choruje. Dlatego często wyjeżdża. Kędy? Zagranicę.

Zagranica albowiem dla snoba ma ten niezastąpiony smak pikantnej egzotyczności, powiew wielkoświatowego poloru, gust cudu i tajemnicy.

Więc snoby jadą: Ems piją w Kissingen, a piwo w Selters, całują się w Vichy, a kąpią w Grande-Grille; aż wreszcie po sfotografowaniu Akwizgranu (ah, pokażę tu panu kilka moich zdjęć z zagranicy... *z zagranicy!!!*) rozchorowują się w Aix les Bains i umierają w Plombières albo w piżamie.

Piżamy snob zmienia trzy razy dziennie. A każda piżama jest zagraniczna: i ta w papużki, i ta w pudelki, i tamta kupiona w Biarritz za pieniądze pożyczone w konsulacie (...Henryś, wie pani, jest kuzyn żony, więc chociaż to niby nie wypada, ale, rozumie pani, wszechświatowa konjunktura...).

Zagranica! *Dort ist der Snob begraben.*

Więc poco pan się tak męczy, kochany doktorze Sabatowski? Poco pan, jak jaki Świtalski, te odczyty wygłasza, poco pan *schwarz auf weiss* wykazuje, że zagraniczne *bady* nie są lepsze od krajowych? Próżne wołanie, mój drogi panie. Niema rady na snobów. Polska jest nie dla nich. Oni się chcą zawsze ekspatrjować, uegzotycznić, odpolszczyć, namydlić tym zagranicznym mydełkiem, potem wrócić do kraju i pachnieć.

A propos kraj – słyszałem, jak mówiła pewna dama:

– Przecież to hołendum, płoszę pana! W kłaju, gdzie są takie rządy i *o* klęskowane człowiek kułtułalny mieszkać nie może. My z cółeczką wyjeżdżamy do Fłancji!

Zresztą – istnieje legenda, że zagranicą jest taniej. To nieprawda: zagranicą jest wogóle wszystko gratis: szum platanów, zachód słońca oraz zamyślenie na widok t. zw. pamiątek historycznych. A jakie szalone wygody! W pewnym pensjonacie w Nizzy, gdzie utrzymanie kosztuje trzy dolary, przyjęto od mego wuja również złote.

I kto mówi, że Zaleski jest zły minister.



Zagranicą — wszystko gratis: szum platanów, zachód słońca, zamyślenie...



Z zagranicy!!!

Zwracamy uwagę miłośnikom fotografji artystycznej, że w następnym zeszycie (Słońca) ogłosimy konkurs fotograficzny z nagrodami pieniężnemi.

Prof. dr. L. Korczyński

Podhalańskie zdrojowiska z kwaśnemi wodami

Krościenko, Szczawnica, Głębokie, Żegiestów, Muszyna, Krynica, Wysowa

Nie ma w całej Polsce, jak długa i szeroka, połaci kraju, którаby dla balneologji posiadała taką wielką ważność i wartość, jak skrawek słowacko-małopolskiego pogranicza, ciągnący się od pienińskiego przełomu Dunajca w powiecie



Krościenko w malowniczej a zacisznej dolinie Dunajca

nowotarskim przez południową część powiatu nowosądeckiego po rzeczkę Ropę w powiecie gorlickim. Zawdzięcza on tę wagę nader licznym źródłom wód mineralnych z rodziny t. zw. wód kwaśnych, a więc zawierających w sobie obficie bezwodnik kwasu węglowego oraz węglany czyli sole kwasu węglowego.

Mimo przynależności do tej samej rodziny, nie należą wody, płynące ze źródeł, rozrzuconych po zajmującym nas w tej chwili skrawku ziemi, do jednej i tej samej grupy. W dolinie Dunajca, a raczej w jarach górskich potoków, tworzących jego dopływy, biją na gruntach Krościenka i Szczawnicy wcale liczne zdroje szczaw alkaliczno-słono-wapniowych. Pierwsze miejsce wśród stałych ich składników zajmuje węglan sodowy, czyli soda, drugie chlorek sodu, czyli sól kuchenna, trzecie węglan wapniowy. Nad Popradem i w dolinkach, któremi płyną zasilające go potoki, tryskają wody innego typu. Soli kuchennej niema w nich albo zupełnie, albo jest bardzo niewiele. W niektórych z pośród nich – w najwyższym stopniu dotyczy to wody ze zdroju Zubera w Krynicy, w znacznie mniejszym wody ze zdroju Kingi w Głębokiem – wysuwa się na plan pierwszy węglan sodowy. W innych – najdosadniej w wodzie żegiestowskiej – zajmuje górujące stanowisko węglan wapniowy. W najdalej ku wschodowi wysuniętej części pogranicznego pasa, w południowej części powiatu gorlickiego tryskają na gruntach wsi Wysowa liczne i wcale różnorodne wody kwaśne. Ze względu na ich skład chemiczny uważać je można za ogniwo łącznikowe, spajające wody zdrojów naddunajeckich z wodami nadpopradzkiemi. Niektóre z pośród zdrojów wysowskich dają wodę, zbliżoną składem do wód krościeńskich i szczawnickich, inne przypominają raczej wody żegiestowskie i krynickie.

Wielkie wartości lecznicze szczaw, znane już oddawna, uczyniły z całej tej okolicy, której granicę z zachodu na wschód nakreśliliśmy na wstępie, ważny ośrodek zdrojowiskowy. Do powstania zakładów zdrojowych i do zapewnienia im rozgłosu i powodzenia przyczyniły się sporo także warunki klimatyczne i wabliwy urok Podhala. W niedalekiej już zapewne przyszłości rozrosną się niewątpliwie wszystkie, czynne od dziesiątek lat zakłady, a nadto powstaną nowe w nowych miejscowościach, wyposażonych również bardzo hojnie przez przyrodę. Nie godzi się, aby przyrodzone wartości leżały zupełnym niemal odłogiem.

Pewien rozgłos posiada wśród tych zakładów zdrojowych tylko Krynica, poczęści także Szczawnica. Ale i tych nie zna ogół. Innych nie znają nawet niektórzy nasi lekarze. Tem bardziej nie wiedzą o nich nielekarze. Niedawno obiegał prasę codzienną zapisek, donoszący, że kasjer



Zw. Uzdr. P.

Pomnik J. Szalaya, twórcy i dobroczyńcy Szczawnicy



Budynek teatralny w Szczawnicy

kolejowy, sprzedający bilety, nie wiedział o istnieniu Żegiestowa, zdrojowiska czynnego niemal od lat stu. Szerzenie wiadomości o tem, co już mamy, wskazywanie miejscowości, posiadających wszystkie przyrodzone warunki po temu, by stać się zdrojowiskami, jest u nas bardzo jeszcze potrzebne.

I. Zdrojowiska w dolinie Dunajca.

Krościenko nad Dunajcem. Niewielkie górskie miasteczko na rozstaju dróg, wiodących ze Szczawnicy, jedna do Starego i Nowego Sącza, druga do Nowego Targu, zajmuje wcale szeroką w tem miejscu dolinę naddunajcową. Część ruchliwsza, handlowa, gęściej zabudowana i zaludniona, leży na lewym, część spokojna, zamieszkała przez ludność rolniczą, na prawym brzegu rzeki. Na obszarze tej drugiej części, przeciętej wartkiemi potokami, tryska w jarach potoków kilka źródeł szczaw alkaliczno-słono-wapniowych. Pierwszą lekarską literacką wiadomość o nich podał w r. 1829 dr. Markowski. W r. 1859 pisali o nich dr. Trembecki i dr. Warschauer. W tym samym czasie wykonał znany analityk polskich wód mineralnych, Aleksandrowicz pobieżny rozbiór i określił na tej podstawie ich przynależność do grupy szczaw alkaliczno-słonych. Mimo te przygotowania, nie uczyniono niczego dla wyzyskania źródeł. Stało się to dopiero w samym końcu ubiegłego wieku. W r. 1901 uporządkowano i ujęto 3 zdroje podług wskazówek prof. dr. L. Korczyńskiego i oddano wodę do rozbioru. Wykonał go prof. Trochanowski. Najkorzystniejszym okazał się skład wody ze zdroju Stefana, zawierającej, jako najistotniejsze składniki w litrze:

Wolnego bezw. kw. węglowego .	2·072 g.
Części stałych ogółem	8·942 „
Dwuwęglanu sodu	4·597 „
„ wapnia	1·216 „
Chlorku sodu	2·513 „

Wartość leczniczą wody ocenił następnie prof. L. Korczyński i określił dla niej zakres wskazań lekarskich. W parę lat później uczynił to samo na podstawie doświadczeń klinicznych na oddziale prof. Pareńskiego dr. Frączkiewicz. Publikacje te zaznajomiły lekarzy polskich z wodą krościeńską i stworzyły warunki do znacznego jej rozpowszechnienia. Przed wojną rozsyłano ją w dość już znacznej ilości. Równocześnie z tem zaczęli zjeżdżać do Krościenka coraz liczniej letnicy, kierowani tam przez swoich lekarzy dla korzystania na miejscu z leczniczych własności wody.

Do rzędu najważniejszych wskazań dla używania jej należą: nieżyty żołądka, jelit i przewodów żółciowych, nieżyty dróg oddechowych, skaza kwasu moczowego, kwaśna kamica nerek.

Niepodrzędny czynnik leczniczy tworzy klimat Krościenka, w całem tego słowa znaczeniu podgórski. Niewątpliwą wartość posiadają także kąpiele dunajcowe.

Miasteczko rozbudowało się po wojnie wcale znacznie. Powstało kilka przyzwoitych, jakkolwiek skromnych pensjonatów i sporo dworków z pokojami dla przyjezdnych. Przy magistracie utworzono osobną komisję propagandowo-informacyjną. Liczba odwiedzających sięga 2.000 osób.



Restauracja i Cukiernia
Pensjonatu Zdrojowego w Szczawnicy

Dojazd ze stacyj kolejowych Nowy Targ lub Stary Sącz, odległych o 55 km., – samochodami lub też autobusami.

Cała okolica nastręcza ogromnie wiele sposobności turystycznych. Amatorzy-rybacy mogą korzystać ze sportu wędkarskiego na Dunajcu, obfitującym w pstrągi i lipienie. Łososie nie należą również do rzadkości. Ogólnie znany jest urok jazdy łódkami przez pieniński przełom Dunajca.

Lekarz i apteka na miejscu.

Brak wolnych kapitałów, a zapewne także brak silną wolą nacechowanej inicjatywy sprawiają, że Krościenko nie stało się dotychczas, mimo niezwykle korzystnych i pociągających warunków, nowoczesnem zdrojowiskiem.



Jedna z will Zakładu d-ra J. Kołączkowskiego w Szczawnicy, który się mieści w rozległym i pięknym parku zakładowym

Szczawnica. Rozległa i ludna osada wiejska. Zajmuje boczną dolinę Dunajca, ciągnącą się wzdłuż sporego potoku, Ruskiej Rzeki, zwanego pospolicie Grajcarkiem, od zachodu ku wschodowi na przestrzeni przeszło 3 km. Wyjście doliny leży na wysokości 450 m. n. p. m., górny jej koniec na wysokości 500 m. n. p. m. Wznoszenie się terenu jest, jak z tego widać, wcale łagodne. Do Ruskiej Rzeki wlewa się z prawej strony wartka górska struga, zwana Szczawnym Potokiem. Nad nim właśnie leży przeważna część szczawnickich zdrojów i cały stary zakład zdrojowy *Górny Zakład*, wzniesiony około 550 m. n. p. m. Zupełne oddzielenie zakładu od wsi zasługuje na osobne zaznaczenie.

Dwa najstarsze źródła, Józefiny i Stefana, wyzyskiwano już w pierwszych latach ubiegłego wieku nietylko na miejscu, ale także do wysyłki wody. Zdrój Magdaleny odkryli, jak mówią kroniki, goście szczawniccy Jan Cielecki i Magdalena Kownacka, *szukając kwiatów i wrażeń nad Szczawnym Potokiem* latem 1839 r. Walerję odkrył lekarz szczawnicki, dr. Trembecki w r. 1853, zdrój Jana zarządca Zakładu Jan Zielonka. Zdroje Dolnego Zakładu, zwanego Miedziusiem – Szymona i Wandy poznano pierwszy w r. 1840, drugi w r. 1866.

O najważniejszych składnikach wód 5 zdrojów objaśniają cyfry, wyjęte z tablic, podających wyniki rozbiorów z r. 1913, wykonanych przez profesora L. Marchlewskiego.

	Magdalena	Józefina	Wanda	Stefan	Szymon
wolnego bezw. kw. węgl.	1·285	1·600	1·334	2·140	1·253
suma stałych składnik.	13·037	6·927	6·863	5·135	1·872
chlorku sodu	6·117	2·841	2·720	1·958	0·538
dwuwęglanu sodu . .	8·391	4·667	4·950	3·427	1·053
„ wapniu .	0·742	0·937	0·720	0·918	0·694
„ magnu .	0·944	0·613	0·452	0·485	0·163
„ żelazaw. .	0·004	0·007	0·005	0·008	0·020

Zakres wskazań dla stosowania wód szczawnickich jest bardzo obszerny. Pisałem* o tej sprawie szczegółowo kilkakrotnie, poraz ostatni w r. 1925. W tej chwili wspomnę tylko, że w szeregu wskazań stoją przewlekłe choroby narządu pokarmowego, choroby przemiany pierwiastków schorzenia dróg moczowych oraz niektóre postacie przewlekłej choroby Brighta, wreszcie choroby narządu oddechowego, w których wody ze zdrojów Józefiny, Stefana i Wandy wyśmienite mogą oddawać usługi.



Willa *Hydropatja* w Zakładzie d-ra J. Kołączkowskiego w Szczawnicy

* Ł. Korczyński: Przegląd zdrojowo-kąpielowy 1925 r. i Pamiętnik Polsk. Tow. Balneol. T. IV.



Część jadalni pensjonatu *Renata* w Szczawnicy

O wartości leczniczej wód szczawnickich świadczy nader wyraźnie znaczna ich wysyłka, sięgająca około 300.000 flaszek rocznie.

Obok wód, istotnie bardzo skutecznych, rozporządza Szczawnica innym jeszcze, bardzo wartościowym czynnikiem leczniczym — niemal że swoistym klimatem. Swoistość ta wiąże się z ukształtowaniem terenu i z wyśmienitą osłoną, jaką całemu zakładowi daje wcale wyniosły grzbiet górski, ciągnący się na dość znacznej przestrzeni od północy, zwany Bryjarką. Skłony tego pasma, opadające tarasami ku dolince Szczawnego Potoku, odznaczają się wyśmienitem nasłonecznieniem i tworzą skutkiem tego, oceniane ze stanowiska lekarskiego, wprost idealny teren budowlany. Planowana już na najbliższą przyszłość droga, przetnie te grunta w całej długości i pozwoli wyzyskać je należycie.



Pensjonat *Plma* p. Olexego w Szczawnicy

Arsenał przyrodzonych czynników leczniczych uzupełniają z wielką korzyścią dla chorych dwa zakłady kąpielowe, łazienki Jana i Szymona. Zakład wodoleczniczy, Zakład wziewalny, kąpiele słoneczne, przyrządy do leczenia sztucznem światłem i przyrząd Roentgena.

Liczne dworki i większe hotele rozporządzają dostateczną ilością pokoi na pomieszczenie gości zdrojowych. Pożywienia dostarcza kilka restauracyj. Nie brakuje także pensjonatów, zapewniających mieszkanie i pożywienie.

Porady lekarskiej udziela kilkunastu lekarzy, leków miejscowa apteka.

Liczba odwiedzających sięga 8,000 osób.

Urzędy: pocztowy, telegraficzny i telefoniczny na miejscu.

Odległość od stacyj kolejowych — Nowego Targu lub Starego Sącza wynosi 42 km. Dojazd po malowniczych gościńcach samochodami lub autobusami z uporządkowanym czasem jazd.

Rozległe parki w obu zakładach z przylegającemi do nich bezpośrednio laskami drzew iglastych dają dużą swobodę ruchów już w samem zdrojowisku. Pozatem należy Szczawnica do rzędu ogólnie znanych górskich ośrodków turystycznych. We wszystkich kierunkach można stąd przedsiębrać dalsze i bliższe wycieczki. Ośrodek towarzyskiego życia sezonowego tworzy Dworzec Gościnny z dobrze zaopatrzoną bibljoteką i czytelnią, pokojami do gry i ze sporą salą balową. W porze zdrojowej koncertuje w godzinach porannych i popołudniowych dobra orkiestra, odbywają się festyny i dancingi, przedstawienia stałej trupy teatralnej itd. Wielkiem powodzeniem cieszy się od szeregu lat bal na Instytut Balneologiczny w Krakowie, urządzany przez lekarzy zdrojowych z udziałem wybitnych osób z grona gości.

II. Zdrojowiska w dolinie Popradu.

Gniazdowate ugrupowanie źródeł w dolinie Dunajca zmienia się w nadpopradzkim odcinku naszego pasa zdrojowego na rozmieszczenie łańcuchowe. Pierwsze znane ogniwo łańcucha tworzą źródła głębockie. Ostatnie ogniwa sięgają poza Krynicę.



Willa *Nasza* w Rytrze

Głębokie. Niewielka wioska. Leży na prawym brzegu Popradu między starą pograniczną strażnicą, pamiętającą jeszcze czasy piastowskie, Rytrem a miasteczkiem Piwniczną. Ze stoków sporego pagórka, kończących się nad niewielkim potokiem tryskają tam ze szczelin piaskowca 3 źródła, ujęte w r. 1903 w betonową cembrzynę. Wodę najobfitszego z nich, nazwanego zdrojem Kingi, badał zupełnie szczegółowo w r. 1904 docent Uniw. Jag. dr. Ignacy Lemberger. Wynik tego rozbioru nie różnił się zasadniczo od wyników poprzednich rozbiorów, prof. Olszewskiego z lat 1877 i 1818 i prof. Radziszewskiego z r. 1882. W 1.000 g. wody oznaczono:

wolnego bezw. kw. węgl. . . .	2·832 g.
składników stałych	3·008 „

w czem jako najistotniejsze

dwuwęglanu sodu	1·587 g.
„ wapniu	0·841 „
„ magnu	0·475 „



Fot. J. Gawłowski

Willa *Zofijówka* w Piwnicznej Hanuszowie

Na uwagę zasługuje znaczna stosunkowo ilość dwuwęglanu litu – 0.014 g. Wszyscy analitycy określili wodę głębocką, jako wyśmienitą szczawę alkaliczno-wapniowo-litową. Przez szereg lat, aż do wybuchu wojny, czerpano wodę do butelek i rozsyłano ją w dość znacznej ilości. Przerwanego wywozu nie wznowiono dotychczas. Z wody korzystają tylko letnicy, zjeżdżający do Głębokiego, do Rytra i Piwnicznej.

Podobnych do niej wód znajduje się bardzo wiele na linji Głębokie – Żegiestów. Należą do nich n. p. szczawy w *Łomnicy* i w *Wierchomli*, odwiedzanych już wcale licznie jako letniska. W Łomnicy zbudowano przed paru laty skromne łazienki.

Wszystkiemi temi miejscowościami należałoby zająć się jak najrychlej. Marnują się w nich poprostu nieprzebrane skarby.



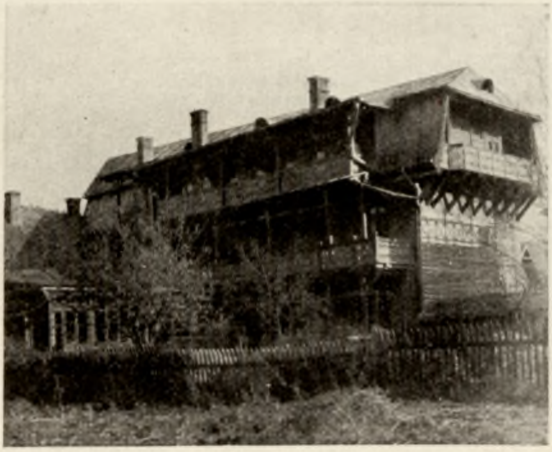
Piękny, nowoczesny dom zdrojowy w Żegiestowie projektu prof. Szyszko-Bohusza, oddany do użytku w lipcu roku 1929, stał się prawdziwą ozdobą tego cennego zdrojowiska i ogniskiem skupiającem rosnące zastępy kuracjuszów

Żegiestów. Położony tuż nad Popradem, na szlaku kolejowym, wiodącym z Tarnowa przez graniczny Orłów na drugą stronę Karpat, krył się Żegiestów zupełnie dosłownie w jarze górskim. Jeszcze przed paru laty nie zdradzała ani jedna budowla, że tam w górze nad rzeką i nad torem kolejowym żyje wartościowe zdrojowisko. Dopiero bardzo niedawno zrównano szczyt skłonów jaru i zbudowano na nim zupełnie nowoczesny hotel – *Warszawiankę*, chłonący we dnie południowym frontem gorące promienie górskiego słońca, wiszącego nad przeciwległym grzbietem karpackim, a w nocy tonący w potokach elektrycznych świateł. Oprócz hotelu, posiada Żegiestów jeszcze drugi okazały gmach, dworzec zdrojowy, zbudowany według planów Prof. Szyszki – Bohusza oraz szereg domów i will.



Kamienna plaża w Zegiestowie nad Popradem

Podstawowy czynnik leczniczy zdrojowiska tworzą źródła szczawy wapniowo-magnezowo-żelazistej; z tych jedno dawne, samorodne, dru-



Pensjonat d-ra Mściwujewskiego w Muszynie przoduje pensjonatom tej stale rozwijającej się miejscowości

gie, wywiercone w ostatnich latach. Woda ze starego źródła zawiera w litrze:

wolnego bezw. kw węglowego . .	2·964
składników stałych	2·759

w tem jako najistotniejsze

dwuwęglanu wapnia	1·711
„ magnu	0·885
„ żelazawego	0·051
„ litu	0·026

Pod względem ilości żelaza zajmuje woda żegiestowska czołowe miejsce wśród wszystkich wód krajowych. Przewyższa je także zawartością soli wapniowej.

Zasłużonem uznaniem cieszą się żegiestowskie kąpiele borowinowe oraz kąpiele w rwącym Popradzie, nad którym zbudowano już dawno nadrzeczne łazienki. Niepoślednią wartość posiadają także czynniki biodynamiczne, tkwiące w górskim klimacie zdrojowiska oraz urządzenia fizjoterapeutyczne.

Jako najważniejsze wskazania dla leczenia w Żegiestowie należy wymienić wyczerpanie nerwowe, ozdrowiny po cięższych chorobach i zabiegach chirurgicznych, choroby jelit, resztkowe wysięki pozapalne, wady zastawkowe w okresie wyrównania, podagrę, przewlekłe zapalenie nerek, zwłaszcza ozdrowiny po ostrych zapaleniach z utrzymującem się jeszcze wydzielaniem białka, nazbyt powolny rozwój młodzieży, zwłaszcza dziewcząt.

Liczba odwiedzających Żegiestów wzrosła w ostatnich latach bardzo znacznie, w porównaniu z okresem przedwojennym nawet wielokrotnie. W r. 1929 bawiło tam przeszło 2.000 osób. Po skończonej rozbudowie zwiększy się niewątpliwie jeszcze bardziej.

Urządzenia rozrywkowe zdrojowiska są zupełnie dostateczne. Niewielka odległość od Krynicy pozwala też na korzystanie z rozrywek krynickich.

Muszyna. Miasteczko, położone prawie na połowie drogi między Żegiestowem a Krynicą, odgrywa już od kilkudziesięciu lat rolę letniska, odwiedzanego bardzo chętnie przez znaczną liczbą osób. Wartość jego podnoszą szczawy tego samego typu, co szczawy żegiestowskie i krynickie.

Krynica. Największe i najświetniejsze polskie zdrojowisko. Stało się niem w całej pełni dopiero w ciągu kilku ostatnich lat. Po wojnie trzeba było stworzyć dla sfer stołecznych wytworniejszy ośrodek letniego życia, dostarczający nietylko znacznego zasobu czynników leczniczych, ale także stosownej miary wygód i rozrywek. Wybór padł na Krynicę. Uzasadniały go z jednej strony bardzo znaczne i różnorodne wartości lecznicze zdrojowiska, z drugiej dość już znaczna rozbudowa zakładu i dogodne warunki dalszej rozbudowy, a wreszcie ta, bardzo ważna okoliczność, że w Krynicy, należącej do skarbu państwa, łożyć było można na cały szereg koniecznych nakładów z zasobów państwowych, nie oglądając się zbyt trwożliwie na koszty i na bezpośrednią dochodowość poczynionych wkładów.



Widok z Góry Zamkowej na Muszynę nad Popradem i Muszynką

Wody lecznicze Krynicy należą w ogromnej większości do grupy szczaw wapniowo-żelazistych. Dostarczają ich liczne źródła, znane już oddawna oraz wiele nowych, osiągniętych ostat-

niemi laty wierceniami. Wprost wyjątkowe znaczenie posiada woda Zdroju Zubera, tryskająca okresowo z głębokiego szybu wiertniczego. Składem różni się zasadniczo od szczaw wapniowych. Najistotniejszy jej składnik tworzy soda. O różnicach składu objaśnia zestawienie obok siebie podstawowych składników tej wody i składników szczaw wapniowych krynickich (pg. rozb. prof. L. Marchlewskiego).

	Zdrój Zubera	Zdrój Główny	Zdrój Słotwin.	Zdrój Karola	Wywierc. Nr. I.
woln. bezw. kw. węgl.		2·671	2·869	1·997	1·350
dwuwęgl. sodu . . .	18·770	0·185*	0·608*	0·030*	0·037*
„ wapniu . .	0·634	1·566*	0·486*	0·470*	0·783*
„ magnu . .	2·910	0·239*	0.785*	0·080*	0·157*
„ żelazawego	0·088	0·022*	0·019*	0·000*	0·018*
chlorku sodu . . .	1·014	0·018	0·004	0·009	0·002

Obok wód posiada Krynica bardzo wartościową borowinę, a jako dalsze czynniki lecznicze, nader liczne urządzenia fizjoterapeutyczne. Nieposlednie znaczenie posiada jej klimat o wybitnych cechach klimatu górskiego.

W ciągu ostatnich lat zbudowano wodociągi i urządzono kanalizację zdrojowiska. W sąsiedztwie nowego monumentalnego gmachu łazienek powstała zupełnie nowa dzielnica z całym szeregiem will i pensjonatów, urządzonych zupełnie nowocześnie. Imponujące wrażenie sprawia hotel *Lwigród*, własność Funduszu Pensyjnego. W budowie nowy Dworzec Gościnny.

Zakres wskazań do leczenia w Krynicy jest wcale obszerny. Należą doń przewlekłe schorzenia narządu pokarmowego, nerek i dróg moczowych, zaburzenia przemiany pierwiastków, choroby kobiece, schorzenia narządu krążenia, niedokrewność i stany wyczerpania, choroba Basedowa, nerwice ogólne i wegetatywne.

Zarząd zdrojowiska stara się troskliwie o dostarczanie gościom wszelkich urozmaiceń. Zimą odbywają się zawody w sportach zimowych, latem zawody tennisowe i t. d.

Pora zdrojowa trwa cały rok, z wyjątkiem kwietnia. Porady lekarskiej udziela i leczeniem kieruje kilkudziesięciu lekarzy.

Liczba odwiedzających wynosi rocznie około 35.000 osób.

Połączenia kolejowe bardzo dogodne, bezpośrednie.



Zdrój Główny w Krynicy oblężony przez kuracjuszów

III. Zdrojowisko w dolinie Ropy.

Wysowa. Liczne źródła szczaw wysowskich tryskają na niewielkim stosunkowo obszarze nadropiańskiej doliny, okolonej pasmami karpackiemi, sięgającemi szczytami 1.000 m. n. p. m. Wszystkie są ujęte i zbadane pod względem chemicznym. O składzie ich objaśnia zamieszczona poniżej tablica.

	Słony	Olga	Rudolf	Bronisława	Karol	Józef	Wanda
woln. bez. kw. węgl.	0·998	1·405	1·642	2·137	1·008	1·099	0·860
dwuwęglanu sodu .	7·036	4·036	2·875	3·043	1·271	1·069	0·740
„ wapniu .	0·883	0·557	0·698	0·47	0·498	0·307	0·375
„ magnu .	1·288	1·186	0·244	0·196	0·235	0·081	0·184
„ żelazaw.	0·022	0·023	0·042	0·054	0·049	0·043	0·022
chlorku sodu . . .	2·350	1·308	1·908	1·011	0·612	0·362	0·277
stałych składników .	11·208	6·287	4·803	4·791	2·835	1·986	1·554

Woda ze zdrojów Słonego i Olgi bardzo przypomina składem wody z Krościenka i ze Szczawnicy. Skład wód Józefa i Wandy różni się niezbyt wiele od składu wód nadpopradzkich.

Spółka, założona po wojnie celem wyzyskania zdrojów wysowskich, poczyniła znaczne wkłady i rozpoczęła wysyłkę doskonałej wody ze zdroju Słone, działającej nader skutecznie w chorobach narządu pokarmowego, narządu oddechowego, w schorzeniach na tle przemiany pierwiastków i w nieżytowych sprawach dróg moczowych.

Ponieważ narazie brak pomieszczeń dla gości zdrojowych, przeto ogranicza się liczba gości odwiedzających to cenne zdrojowisko podkarpackie do niespełna 1.000 osób rocznie.



Malowniczy zakręt przepięknej doliny Popradu w Żegiestowie

* Uwaga. Obliczone jako węglany.

Dr. Józef Żychoń

Zakopane – uzdrowisko i stacja turystyczno-sportowa

Od dziesiątków lat toczą się rozmowy, a nawet spory na temat rozwoju i propagandy Zakopanego. Wielu przedsiębiorców zakopiańskich, zepsutych chwilowem powodzeniem, uparcie twierdzi, że i bez propagandy, ba – nawet bez postępu w działalności, zjazd gości będzie tu stale wzrastał i Zakopane będzie się rozwijało, bo to *perła tatrzańska*, bo to *stolica letnia*, a teraz i *zimowa Polski*, bo to *stolica sportów zimowych*...



Pytace czyli swaci góralscy w Zakopanem

Na szczęście coraz mniej spotykamy takich optymistów i coraz silniej zaczynamy wszyscy wierzyć, że te pięknie brzmiące tytuły nic nam nie pomogą, że trzeba się organizować i brać się do twardej roboty, która jest współzawodnictwem w ogólnym wyścigu, na wielkim stadjonie ludzkiej pracy.

Im więcej zdołaliśmy ściągnąć tutaj obcych, im więcej zdołaliśmy zainteresować sobą zagranicę, tem większe piętrzą się przed nami zadania.

Nie spełnimy wszystkich – my żyjący, ani nasi następcy, bo życie to ruch – to postęp, to stała walka o pierwszeństwo.

I chodzi tylko o to, by tę walkę prowadzić rzeczowo, by postępować, by czynami zwyciężać.

Nie ulega wątpliwości, że zrobiono tu już wiele, bo trzeba uwzględnić, że Zakopane liczy swój żywot zaledwie na lat dziesiątki, a w ciągu tego żywota niezawsze stąpało po różach. Przechodziło przeróżne choroby i niedomagania i aż dziw bierze, że się jeszcze takiem ostało. Wychwalano je niejednokrotnie ponad zasługę, szkalowano też często ponad przewinienia. Każdy ze swoich okien patrzy na Zakopane, każdy stawia mu inne wymagania. I jakże tu wszystkim dogodzić? Jedni widzą w każdym kichającym gościu suchotnika i jak najdalej od niego uciekają, inni biorą chorym za złe, że nie stają do przeróżnych zawodów!

A tymczasem Zakopane jest tak duże, że i leczący się mogą znaleźć wygodne dla siebie pomieszczenie, i turyści, i futuryści, i zawodnicy wszelkiego rodzaju mogą swe wyczyny wykonywać bez przeszkody.

Te dwa kierunki rozwoju powinny biec równolegle do siebie – jak para szyn kolejowych, nic sobie wzajemnie nie przeszkadzając, lecz przeciwnie, tworząc konieczną podstawę dla biegu pociągu. Po jednej szynie pociąg biec nie może.

Tymczasem ci wszyscy wycieczkowcy i taternicy, narciarze i samochodziarze, jako silniej-



Fot. M. Zaruski

Zamarła Turnia w Wysokich Tatrach

si fizycznie, usunęli w kąt chorych, leczących się i zapanowali – ma się wrażenie – rozgwarem nad całem Zakopanem.

W ostatnich latach zarysował się jakby pewien układ między temi dwoma obozami. Letnie miesiące mieli oddane do rozporządzenia taternicy, a chorzy mieli im schodzić z drogi, zimą zaś rozsiadali się na pierwszych miejscach chorzy, pozostawiając skocznie na Jaworzynce i Krokwi do wyłącznego użytku narciarzy.

Ale siła – siłą. Powoli zaczęto znosić narty na Krupówki i ustawiać je przed restauracjami, a Karpowicz zaczął urządzać nawet specjalne dancingi dla spracowanych narciarzy w południowych godzinach. Ale to wszystko mało.

Komitet imprez sportowych (czytaj Marjan Jamont), powstały przy Związku Przyjaciół Zakopanego, zachęcony zeszłoroczną próbą, zawładnął tej zimy niepodzielnie całem Zakopanem. Pobudował po obu stronach ulicy Kościuszki ogromne stadjony i dał ludziom widowiska wszelkiego rodzaju. Sprowadził wojskową muzykę, urządził zawody hippiczne, samochodowe, motocyklowe, skijöringi i ski-skijöringi, zawody łyżwiarskie i hockeyowe, i strzelnicze, i ognie sztuczne, i tańce góralskie, i wyścigi na kumoterkach!

Skąd wziął na to pieniądze, skąd nabrał tyle pomysłów – nie wiadomo. Nie zmizerniał (ciągle mówię o Jamoncie, a nie o komitecie), i sił, ku ogólnemu podziwowi, nie utracił.

Niechże ich mu starczy, bo słychać, że projektuje już cudowniejsze jeszcze rzeczy na przyszłą zimę.

To jest propaganda pierwszej klasy!

Zainteresował Zakopanem całe nasze społeczeństwo, ba – nawet zagranicę, i udowodnił że pod względem imprez sportowych zimowych kroczymy teraz w pierwszym szeregu z Davosami i St. Moritzami.



Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem – zbiory etnograficzne, przyrodnicze i inne



Sala jadalna pensjonatu *Sienkiewiczówka* w Zakopanem, który zjednał sobie uznanie za skrzętną dbałość o gości

A więc chorzy poszli w kąt....

No, nie jest jeszcze tak zupełnie źle, ale czas, aby przypominać ludziom szeroko, że Zakopane jest pierwszem i jedynem całorocznem uzdrowiskiem w Polsce i że pod względem warunków klimatycznych może współzawodniczyć ze znanemi i za jedyne dotąd uznanemi uzdrowiskami zagranicznemi.

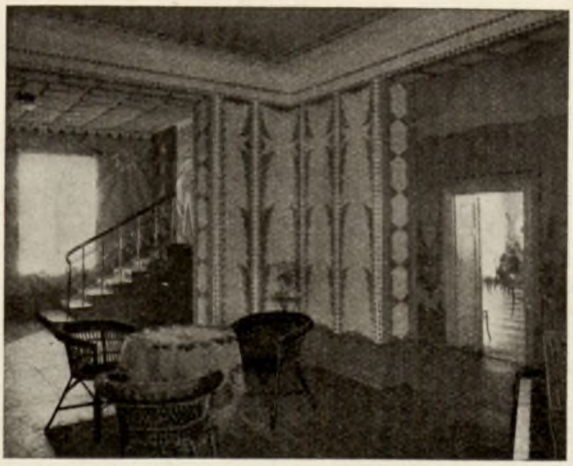


Norwegowie, zwycięzcy w skokach w Zakopanem — w pensjonacie *Maraton*, gdzie się chętnie zatrzymują turyści i sportowcy, zarówno krajowi jak zagraniczni, czując się jak w domu

Słowo *całoroczne* pragnąłbym podkreślić, bo pod tym względem panuje stale dziwne i niczem niewytłomaczone nieporozumienie. Przyjeżdżający tutaj chorzy mają z reguły określony zgóry termin pobytu w Zakopanem – niewłaściwy zupełnie i zwykle za krótki.

Niewłaściwy – bo zwykle zjeżdżają wszyscy naraz i zwykle w tak zwanych sezonach, t. j. w lipcu, sierpniu i wrześniu, czyli w sezonie letnim, i w styczniu i lutym czyli w sezonie zimowym.

W tych okresach z powodu większego napływu gości bywa tu o miejsce trudno i te miejsca są droższe, gdy ci chorzy, a mam tu na myśli przedewszystkiem mniej zamożnych, mogliby z pełnym dla siebie pożytkiem przyjeżdżać w tak zwanych międzysezonach, t. j. w miesiącach wiosennych



Okazały hall pierwszorzędnego pensjonatu *Oaza* w Zakopanem na drodze do Białego – a więc w najpiękniej położonej dzielnicy uzdrowiska zakopiańskiego



Z prawdziwym smakiem urządzona i pełna słońca sala jadalna w *Oazie* – jednym ze świeżo powstałych i największych pensjonatów, które pozyskało Zakopane



Do najbardziej eleganckich pensjonatów zakopiańskich zaliczyć należy *Kmicica*



Pierwszorzędny pensjonat *Kmicic* zzewnątrz – otulony puszystą szatą zimową



Z tarasu hotelu *Bristol* w Zakopanem roztacza się piękny i rozległy widok na łańcuchy Tatr



Nowootwarty pensjonat — *Maraton* należy do najstaranniej prowadzonych pensjonatów w Zakopanem

i jesiennych. Łatwiej będzie im znaleźć odpowiednie pomieszczenie i to pomieszczenie tańsze, aniżeli w sezonach pełnych.

Pod względem leczniczego działania klimatu górskiego nie rozróżniamy bowiem żadnych sezonów i międzysezonów, a przesadnych i przesądnych legend o wiatrach halnych, zachmurzeniu i zbytniej wilgotności nie powinno 'się już poważnie brać w rachubę.

Słyszymy zwykle, że w październiku powinien chory uciekać z Zakopanego przed zbytniemi opadami, gdy tymczasem 'sumienne zestawienie naszej stacji meteorologicznej wykazuje, że październik bywa z reguły najsuchszym miesiącem w roku; słyszymy często, że pacjenci powinni uciekać stąd przed kwietniem, jako miesiącem 'chmurnym i dżdżystym, tymczasem ta sama stacja meteorologiczna stwierdza, że kwiecień, to najsłoneczniejszy miesiąc roku!



Hotel Pensjonat *Radowid* w Zakopanem odznacza się niezwykle piękną, harmonijną architekturą, a zarazem godną jej wytwornością wnętrz



Doskonale się zawsze bawi pierwszorzędne towarzystwo w ogrodzie *Bristolu* — zbytkownie urządzonego wielkiego hotelu zakopiańskiego o 85 pokojach z wyszukanemi wygodami

Może to nasza wina, że te wiadomości meteorologiczne nie docierają do ogółu, przynajmniej do ogółu lekarzy.

Kto zatem pragnie robić dalekie wycieczki w góry, ten wybiera miesiące letnie dla swego w Zakopanem pobytu, kto chce jeździć na nartach, czy łyżwach, ten przyjedzie do nas w miesiącach zimowych, chorzy zaś, których stan wymaga pobytu w klimacie górskim, znajdą ten klimat przez całe 12 miesięcy w roku.

Gdy ten sam pacjent jedzie w góry szwajcarskie, czy inne, to nie zwraca uwagi na kalendarz, lecz tylko na stan zdrowia; ale nasze polskie Tatry mają tracić właściwośc lecznicze, gdy wiosną śmieją się do słońca krokusy i gdy jesienią złocą się tu wrzosy...

Gdy ten sam pacjent jedzie w góry szwajcarskie, czy inne, to jest na to przygotowany, że spędzi tam przynajmniej kilka, a często kilkanaście miesięcy. Inaczej nie opłaciłyby się trudy i koszta podróży; taki też mniejwięcej termin poda lekarz, do którego się tam o poradę zwróci. Ale nasze polskie Tatry mają przywrócić mu zupełne zdrowie w trzech lub dwóch miesiącach, a nawet w paru tygodniach, taki to bowiem termin podaje lekarzowi, do którego się tutaj o poradę zwróci.

W jednym jednak kierunku musimy ustąpić pierwszeństwa zagranicznym uzdrowiskom. Nie mamy dosyć miejsca



Powabnem urządzeniem, dbałością o wygody gości oraz miłą atmosferą towarzyską pociąga ku sobie pierwszorzędny pensjonat *Sienkiewiczówka* w Zakopanem

na odpowiednie pomieszczenie chorych. I chociaż w czasach powojennych wybudowało sobie wzorowy gmach nauczycielstwo, a obok powstaje drugi gmach przepiękny dla najstarszej instytucji leczniczej w Zakopanem — studenckiej *Pomocy Bratniej*, i chociaż buduje się katolickie *Odrodzenie*, chociaż dawny pensjonat *Sanato* przemienił się w Dom Zdrowia Urzędników Pocztowych, a pensjonat *Pod Blachą* w Dom Zdrowia Policji Państwowej, wojskowość zaś nabyła dla siebie Sanatorjum im. Dr. Dłuskich, to z umieszczeniem zwykłego, cywilnego pacjenta jest kłopot. Pensjonaty, broniące mu wstępu w swe progi w *sezonach*, okazują pewną wyrozumiałość jesienią i wiosną. Ale to nie wystarcza. Trzeba o tym braku pamiętać i popierać wszelkie usiłowania, zmierzające do zakładania odpowiednio urządzonych sanatorjów. Nie można z tą sprawą wyczekiwać na stworzenie dzielnicy sanatorjalnej na Gubałówce, jak chce tego plan regulacyjny, ale niechaj powstają już teraz domy dobrze urządzone i do przyjmowania chorych dostosowane. Jeśli o tem nasze miejscowe władze nie pomyślą, mogą się chorzy odzwyczaić od przyjeżdżania tutaj na leczenie...


Jeden z piękniejszych dworków w Jaszczurówce, to willa *Tatrzańska*

A zatem komisja klimatyczna, która ma powierzoną pieczę nad Zakopanem uzdrowiskiem ma wielkie i pilne przed sobą zadania!

Uwzględniając doniosłe znaczenie turystyki i sportów i dla naszego społeczeństwa i dla rozwoju Zakopanego, musi ona dbać i stale pilnować, aby Zakopane rozwijało się, jako uzdrowisko, aby nie zamieniało się w miasto.

Jaszczurówka. Dalszym ciągiem Zakopanego, lecz posuniętym w głąb Wysokich Tatr, jest Jaszczurówka. Leży o 3 km. od ośrodka zakopiańskiego, po drodze do Morskiego Oka. Nad poziomem morza 908 — 1042 m. Rozsiadła się tuż u stóp szczytów tatrzańskich: Nosala, obu Kopieńców i Skupniowego Upłazu. Bije w Jaszczurówce jedyna przyrodzona cieplica, t. j. źródło mineralne ciepłe o stałej ciepłocie, która tu wynosi 21° C. Źródło to jest ujęte w kamienny duży zbiornik łazienny, naokoło którego zbudowano rozbieralnie. Jaszczurówka posiada hotel z restauracją oraz kilkanaście dworków większych i mniejszych. Od Zakopanego do Jaszczurówki w sezonie głównym stale krąży autobus. *r.*


Fot. J. Jaroszyński

Zachodnia część Czarnohory — w maju, śniegiem jeszcze okrytej. Pośrodku — najwyższy szczyt łańcucha, Howerla

Doc. Dr. A. Sabatowski

O dolinie Prutu

Delatyn, Dora, Jaremcze, Jamna, Diłok, Mikuliczyn, Podleśniów, Tatarów, Worochta, Jabłonica

Najdalej na południe wysunięty zakątek Polski, zamknięty granicami Rumunji i czechosłowackiej Rusi Podkarpackiej, zowiemy Pokuciem. Składa się on z pagórkowatego kraju rolniczego, słynnego z dobrej ziemi i ciepłego klimatu oraz ze wspaniałego pasma górskiego, które stanowi tu obszar graniczny. Z pod szczytów wału górskiego toczy się wspaniała rzeka Prut, okrążająca potem podnóże gór i płynąca do Rumunji. Prut daje wygodny dostęp w głąb gór swym przepięknym jarem, który miejscami rozszerza się w przestronne doliny i dzieli wschodnie Karpaty na dwie części. Część zachodnia, to dziki zwał skalisty, pokryty odwiecznym borem, miejscami trudno dostępny, a nęcący wytrawnych turystów – Gorgany. Część wschodnia, wznosząca się czterema coraz to wyższemi tarasami ku grzebieniowi granicznemu, mniej zalesiona a obfitująca w wysokogórskie pastwiska, to łatwo zimą i latem dostępna Czarnohora.



Fot. M. Seńkowski

Huculski orszak weselny z orkiestrą w Worochcie

Kontrast obu tych górskich krain, tak odmiennych w swej krasie, a tak zbliżonych do siebie terytorjalnie, stanowi osobliwą wartość dla letnika, turysty i narciarza. Dolina zaś Prutu w swych zacisznych zakrętach daje sporo miejsca tak dla letnisk, jak i dla stacyj klimatyczno-leczniczych.

Klimat tej krainy stanowi dalsze jej bogactwo. Znaczne oddalenie od oceanu Atlantyckiego powoduje, że ilość opadów jest tam umiarkowana, zachmurzenie latem i zimą małe. Naogół liczy się tu 2000 godzin słonecznych w roku, podczas gdy zachodnia Polska ma ich tylko 1700; natężenie promieniowania słonecznego jest ogromne, przypominające stosunki panujące w Alpach. Jak dr. Stenz swemi pomiarami wykazał, jesień jest tu najbardziej słoneczna z całej Polski. Szata śniegowa trwa w górach przez 4 miesiące, dając doskonałe tereny narciarskie. W zacisznych dolinkach biorą nieraz narciarze kąpiele słoneczne całkiem nago, tak silne jest promieniowanie słoneczne, pomnożone odbiciem od powierzchni śniegowej!



Fot. K. Wołyński

Prut w Worochcie pieni się kaskadami na skalistych progach

Góry te zaludnia dziwny szczep górali, Hucułów, mieszańców raso-



Tu, gdzie góry nieco łagodnieją, a dolina rwącego Prutu się rozszerza, zbliżając się ku zakrętowi pod Delatynem, rozpostarła swe uroki jedna z najromantyczniejszych wsi nadpruckich — Dora



Jedną z najsłoneczniejszych miejscowości w dorzeczu górnego Prutu jest Jabłonica, leżąca u stóp Howerli nad Prutcem, dopływem Prutu – mało dotąd znana, bardzo zasługująca na poznanie

wych. W żyłach ich płynie obok krwi ruskiej krew polska i rumuńska. W ubiegłych wiekach chroniło się tu dużo ludzi z głębi Polski, którzy mając sporo na sumieniu uchodzili w niedostępne wówczas góry. Lud to gibki, zwinny, inteligentny o pięknych rysach, uderza malowniczym strojem. Wytworzył piękną sztukę ludową, przejawiającą się w wyrobach z drzewa, tkaninach i ceramice. Dał tyle tematu do twórczości malarskiej Jarockiego, Sichulskiego, Pautscha i wielu innych. O dorobku artystycznym huculszczyzny świadczą ogromnie bogate zbiory sztuki ludowej w muzeum Dzieduszyckich we Lwowie.

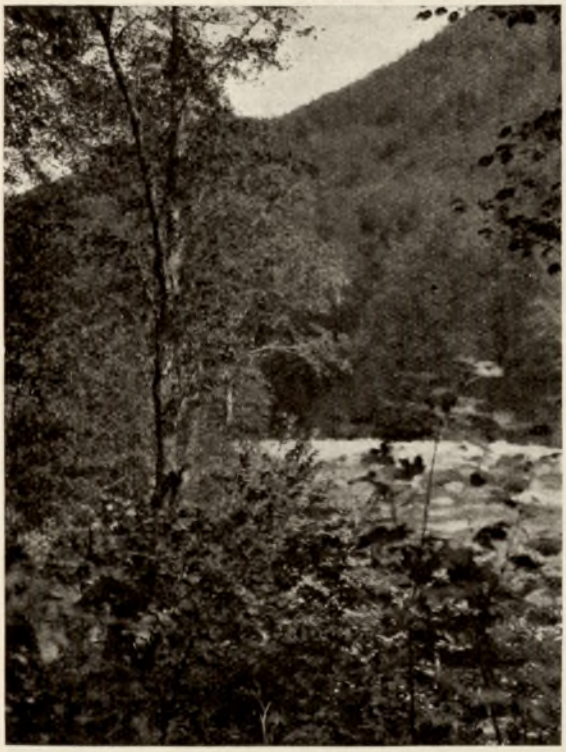
Przeprowadzenie przez dolinę Prutu bitej szosy i górskiej kolei przed laty około 40 otwarło tę krainę dla letników, turystów, a ostatnio i dla kuracjuszów. Kolej biegnie brzegiem Prutu, to znów przesadza go po kamiennych mostach o niezwykle pięknych kształtach i śmiałem rozpięciu, przechodzi tunelem na stronę czeską i łączy się z siecią dróg czeskich i rumuńskich. Latem pociąg zatrzymuje się co kilka kilometrów, dla ogromnej ilości letnisk, świeżo powstających lub starszych. Zimą miejscowości te są jeszcze przeważnie zamknięte, jednak ilość zimowych uzdrowisk rośnie tu po wojnie szybko, dając schronienie tak potrzebującym leczenia i wypoczynku, jak i narciarzom. Przegląd tych wszystkich miejscowości poprowadzimy od podnóża gór ku szczytom.

Kolej, biegnąca od Stanisławowa na południe ku górom, osiąga dolinę Prutu w *Delatynie,* miasteczku położonem 460 m. nad poziomem morza, otoczonem zewsząd lesistemi górami. Miejscowość ma klimat ciepły i stężone solanki, których używa się do kąpieli i do wziewania (inhalacji) w dobrze urządzonym zakładzie leczniczym. Chorzy mieszczą się w miasteczku, gdzie jest kilkaset skromnych pomieszczeń lub dojeżdżają z pobliskich letnisk wyżej położonych. Na miejscu 3 lekarzy i apteka. Leczy się tu zołzy i choroby gruczołowe dzieci, sprawy pozapalne narządów wewnętrznych, reumatyzm i choroby gardła i krtani.

Pięć kilometrów dalej pociąg zatrzymuje się w *Dorze,* wiosce 535 m. n. p. m. Jest to dziś letnisko, które zczasem będzie się odwiedzać i w zimie. Ma około 20 dworków i około 350 izb



Szumiący Prut w Dorze rozpryskuje się kaskadami w kamiennem łożysku, dostarczając zjeżdżającym tu coraz tłumniej letnikom najrozkoszniejszych kąpieli górskich, które pobudzają krążenie krwi, rzeźwią, krzepią, hartują



Fot. J. Kaszewski

W Jaremczu Prut srebrem płynie



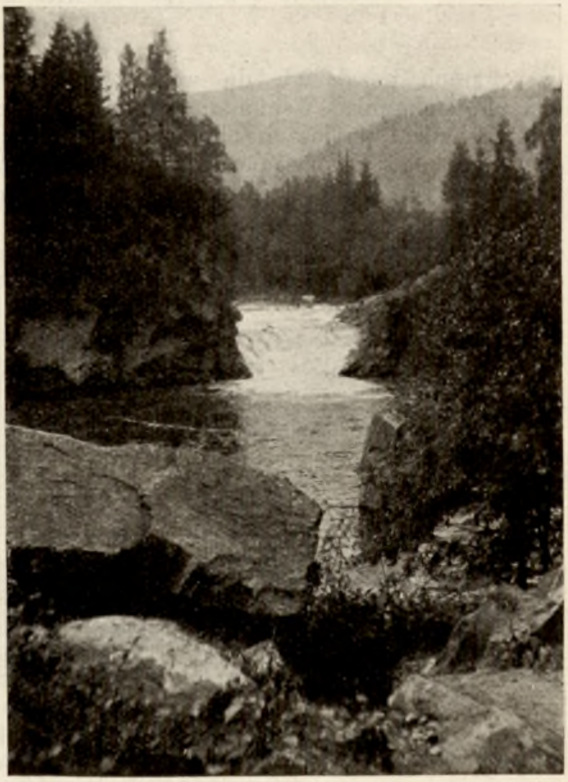
Fot. M. Seńkowski

Typowi huculi z Żabiego — serca Huculszczyzny



Fot. A. Janczewska

Kumy koło cerkiewki w Jaremczu



Kaskady Prutu w Jaremczu



Fot. J. Wołyński

Jarmark w Delatynie — mieście na północno-zachodnim skraju Huculszczyzny

w chatach góralskich do wynajęcia, razem ok. 250 pokojów. Wspaniała kąpiel w Prucie i przechadzki po lasach okolicznych oraz wycieczki w dalsze góry stanowią program sezonu, który trwa, podobnie jak w Delatynie, od 15 maja do 30 września.

Dziewięć minut później jesteśmy już w *Jaremczu,* najdawniejszem i najruchliwszem letnisku w czarownym jarze Prutu, który tu wraz ze swoim dopływem Żonką przełamuje się przez progi skalne w szumiących wodospadach. Pensjonaty, dworki i domy huculskie zawierają razem około 1000 pokojów do najęcia. W sezonie letnim zatrzymuje się tu 12 pociągów osobowych. Lekarze, apteka, zakład wodoleczniczy i wziewalnia, leczenie elektrycznością, kąpiele w Prucie. Sezon od 1 czerwca do 30 września. Pensjonaty otwarte zimą. Latem bawi tu ponad 6000 osób. Na przestrzeni Jaremcza są 3 przystanki kolejowe, co kilometr: Jaremcze, Wodospad, Kamień Dobosza; gościńcem mknie mnóstwo samochodów, w restauracjach muzyka i tańce. Obok letników gromadzą się też w zaciszniejszych dworkach lekko chorzy, anemiczni, nerwowi, najlżejsze przypadki chorób płucnych. Okoliczne lesiste góry zachęcają do pięknych wycieczek na szczyty od 987 m. do 2058 m. O porządki dba ruchliwa komisja klimatyczna.

Tuż obok Jaremcza leży *Jamna,* letnisko zaciszne o pojemności około 220 pokojów i izb w dworkach i chatach. Kąpiele w Prucie, przystanek kolejowy.

O 4 klm. dalej w górę rzeki pociąg staje w małem letnisku, które niedawno powstało. To *Diłok.*

Następny przystanek, to *Mikuliczyn,* ogromna wieś góralska, położona w rozległej słonecznej dolinie, wzniesionej średnio 600 do 650 m. n. p. m. Położenie Mikuliczyna jest najbardziej otwarte ze wszystkich osad nad Prutem. Są tu 2 domy zdrowia: studentów szkół akademickich lwowskich, dzieło prof. Halbana – i drukarzy lwowskich, sporo dworków i pensjonatów, lekarze i apteka. Letników i lekko chorych płucnych bywa latem ok. 3500 osób. Zimą czynna jest tylko lecznica studencka, przeznaczona tylko dla lekko chorych; obcych nie przyjmuje. Mikuliczyn jest punktem wyjścia wycieczek w Gorgany i niższe piętra Czarnohory, tu skupia się malownicze życie góralskie, wyżej w górach są już tylko pomniejsze osiedla.

Sześć minut dalej koleją widzimy żywo rozwijające się letnisko *Podleśniów* (700 m. n. p. m.)

nad Prutem u stóp Chomiaka (1544 m.) Jest to grupa pięknych dworków w alpejskiem położeniu, zdala od gwaru i ruchu.

Sąsiedni *Tatarów,* doskonale osłonięty od północy i zachodu lesistemi górami, posiada 5 pensjonatów, z których część przygotowana na zimę oraz sporo domków góralskich i letnich, kąpiele w Prucie (tu już dosyć chłodne), wreszcie wycieczki w góry.

Gościniec opuszcza tu dolinę Prutu i wspina się boczną doliną na przełęcz Tatarską, słynną z pierwszych lat wojny, kolej zaś sunie coraz wyżej zboczami nad Prutem po wspaniałych wiaduktach do *Worochty,* najwyżej (750 m.) wyniesionej wsi i stacji klimatycznej, położonej w słonecznej, rozłożystej, a wspaniale osłoniętej dolinie. Jest to



Ogólny widok Dory, leżącej nad Prutem oraz jego dopływami — Kamionką i Bojarskim, śród gór uroczych i lasów, przeważnie świerkowych, poczęści bukowych



Powszechną uwagę w Jaremczu zwraca piękny pensjonat *Czerwony Dwór,* opodal szemrzącego wartko Prutu – przytulony do gór, w słonecznem zaciszu, otoczony balsamicznemi świerkami

czarnohorskie Zakopane. Klimat wybitnie górski, szczególnie słoneczna jesień i zima. Liczne pensjonaty publiczne i związków zawodowych, lecznica studentów żydowskich i stanisławowskiej kasy chorych. Około 3000 osób latem. Sezon całoroczny. Kilku lekarzy. Schronisko turystyczne w miejscu i pod Howerlą w wysokich górach. Stacja narciarska – zawody i kursy narciarstwa: stacja wycieczkowa wysokogórska, mająca ponadto dalsze punkty oparcia w Woronience (850 m.) tuż nad granicą i w Jabłonicy (950 m.) pod Howerlą.

Jabłonica ma przed sobą wielką przyszłość, jako podalpejska stacja klimatyczna. Dziś jest to mała osada góralska w słonecznej dolinie górskiej.

Na wschód prowadzi z Worochty kolejka wąskotorowa leśna aż pod najwyższe szczyty Czarnohory, stosunkowo łatwo stąd dostępne. Z nich roztaczają się rozległe widoki na góry polskie i siedmiogrodzkie w ogromnym promieniu. Letnie wycieczki piesze i zimowe narciarskie są obecnie ułatwione przez konwencję turystyczną z Czechosłowacją, na której podstawie możemy się poruszać w górach granicznych za legitymacją Towarzystwa Tatrzańskiego lub za dowodem osobistym, wizowanym w starostwie pogranicznem, a więc tutaj nadwórniańskiem. Podobna konwencja z Rumunją jest oczywiście dziś już pilnym postulatem ze względu na wycieczki w przepiękne Karpaty Siedmiogrodzkie. W przygotowaniu jest też budowa wysokogórskiego gościńca strategiczno turystycz-



Mikuliczyn — jedno z najliczniej nawiedzanych letnisk nadpruckich – zajął kotlinę rozległą, najszerzej otwartą, a przez to niezmiernie słoneczną, z drugiej zaś strony zaciszną, bo doskonale osłoniętą od wszelkich wiatrów



Kamienna plaża
nad Prutem w Mikuliczynie



Czarowna *Szwajcarja* nad Prutem w Mikuliczynie



Uroczy zakątek nadprucki
w Mikuliczynie

nego, wiodącego od przełęczy Tatarskiej w Jabłonicy popod grzebieniem Karpat przez Żabie, stolicę Huculszczyzny do Kosowa i na rumuńską Bukowinę. Powstanie w ten sposób wspaniała okrężna droga turystyczna, udostępniająca górne piętro Czarnohory dla turystów i chorych, którzy w polskim Burkucie (1014 metrów nad poz. morza, własność Państwa) znajdą doskonałą szczawę leczniczą w klimacie alpejskim!



Pensjonat *Prut* w Dorze

Burkut leży prześlicznie - zdala od wsi, wśród niezmierzonych lasów świerkowych, nad Czarnym Czeremoszem, u stóp Czarnohory, na polanie słonecznej, osłoniętej od wiatrów. Dzięki temu położeniu, dzięki owej osłonie górskiej – klimat wyjątkowo łagodny, jak na taką wysokość. Burkut w tej chwili jeszcze nie jest czynny. Urządzenia bowiem tutejszego niewielkiego zakładu zdrojowego zniszczyły wojska, walczące w górach czasu wielkiej wojny. Niepospolite jednak zalety wód burkuckich wraz z nieocenionym klimatem skłaniają rząd, aby zakład w Burkucie odbudować i oddać do użytku. Byłby wówczas Burkut najwyżej położonem nad poziomem morza zdrojowiskiem polskiem.

Możliwości rozwojowe turystyki letniej i zimowej oraz lecznictwa klimatycznego całorocznego są w dorzeczu górnego Prutu, jak widzimy wręcz ogromne.



Dziewięciorniki górskie
z Mikuliczyna



Ceramika huculska z wytwórni B-ci Gilewskich w Jaremczu



Kościołek rz.-katolicki
w Worochcie

Mieczysław Wallis

Huculszczyzna w malarstwie polskiem



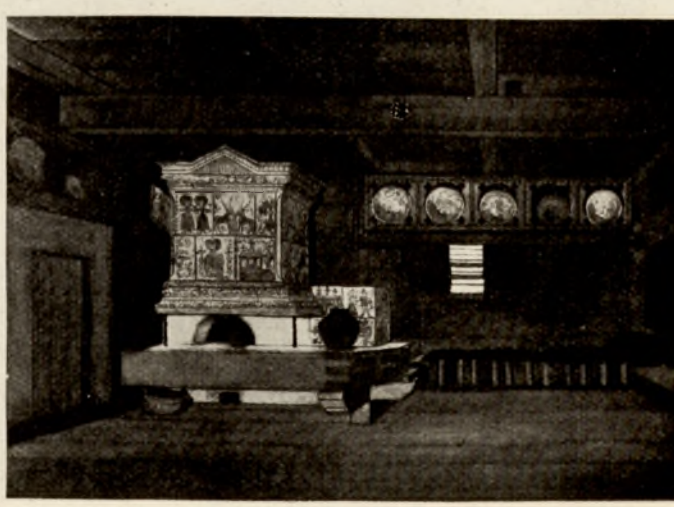
Dziewczyna z barankiem — Kaz. Sichulski

Huculszczyzna – Pokucie, dolina górnego Prutu, jary, załomy, wodospady, wzgórza okryte płaszczem lasów bukowych, wioski górskie, dzwonniczki i cerkiewki drewniane z dachami kilkupiętrowemi, przypominającemi pagody tybetańskie, huculi ze swą oryginalną urodą, swym barwnym strojem i swym subtelnym zmysłem artystycznym, przejawiającym się w pięknie sprzętów, tkanin i ceramiki – lud, którego przynależność antropologiczna jest po dziś dzień dla uczonych zagadką i który w swych obyczajach i tradycjach przechował dotąd wiele rysów pierwotnych: cały ten świat odrębny, niemal egzotyczny od kilkudziesięciu lat nie przestaje nęcić malarzy polskich. Każde pokolenie malarskie wydobywa z huculszczyzny coraz to inne, coraz to nowe pierwiastki i tony.

Pierwszym malarzem polskim, który zapalił się do huculszczyzny był Teodor Axentowicz. Wielki musi być urok tego kraju i ludu, skoro uległ mu malarz, którego dotąd pociągały dziedziny zupełnie inne – bądź przeszłość, bądź uroda i elegancja kobieca, malarz, który był już zaszczytnie znany jako portrecista dam wielkiego świata.

Axentowicza pociąga głównie malowniczość obyczajów – obrządków, pochodów, pogrzebów huculskich. Wiele razy maluje on *jordan* czyli święcenie wody w przerębłu w dzień Trzech Króli: popa w malinowym ornacie, gromadę chłopów w kożuchach, starców, bab, dziewcząt w kolorowych chusteczkach i spódnicach, chorągwie, płonące gromnice, na tle mieniącego się nikłemi żółtemi i różowemi refleksami śniegu i charakterystycznej cerkiewki ruskiej w oddali. Jednocześnie kreśli pastelem studja świeżych i ładnych hucułek, ciemnowłosych i śniadolicych, w haftowanych serdakach, w kwiecistych chusteczkach i czerwonych kolorach.

Dzisiaj w obrazach Axentowicza z życia huculskiego wyczuwamy pewną sztuczność: czujemy w nich nazbyt wyraźnie modela i pracownię. Podobnie jego hucułki – nazbyt delikatne, gładkie i wypielęgnowane, jak na dziewczęta wiejskie – rażą nas pewną słodkawą idealizacją. Wielką zasługą Axentowicza



Wnętrze chaty huculskiej — Stan. Dybowski

pozostaje jednak to, że on pierwszy odkrył huculszczyznę dla malarstwa polskiego.

Za nim poszli artyści inni: przytem każdy, odpowiednio do swego usposobienia i temperamentu, brał z życia huculskiego co innego. W dziełach Fryderyka Pautscha, Władysława Jarockiego, Kazimierza Sichulskiego idealizacja ustępuje miejsca jędrnemu, krwistemu realizmowi, połączonemu z pewnemi tendencjami dekoracyjnemi. Jarocki maluje niemal te same tematy, co Axentowicz: *Święto Jordanu*, *Pogrzeb huculski*, ale ujęcie jest zgoła inne. Huculi i hucułki Jarockiego są rośli, masywni, kanciaści, zwaliści: malarz podkreśla w nich ich pierwotną siłę, ich krzepkość, ich zespolenie z naturą i z ziemią. Natomiast Sichulski w swych malowanych ze wściekłą brawurą i rozmachem *Pochodach w połoniny* i *Weselach huculskich*, w swych przeniesionych na Pokucie *Bożych Narodzeniach* i *Hołdach Trzech Króli* wielbi temperament, sentyment i humor huculski.

W kilkanaście lat później ulega urokowi huculszczyzny Wacław Wąsowicz. Archaiczna prostota hucułów, ich uroda, zręczność i wdzięk, barwność ich stroju, egzotyczna malowniczość ich pochodów i taborów wprawiają go w zachwyt. Motywy huculskie nawiedzają odtąd przez wiele lat jego wyobraźnię. W obrazach olejnych, w akwarelach, w drzeworytach, na płótnie, na papierze, na porcelanie wywołuje on hucułów i hucułki, *Chimczuków* i *Paraski*, w ich białych koszulach i czerwonych spodniach, na małych, krępych, zgrabnych konikach."



Hucułka z dzbankiem — Michał Boruciński

Axentowicza, Jarockiego, Sichulskiego ciągnęły ku tematom huculskim w dużej mierze zainteresowania etnograficzne. U Wąsowicza schodzą one na plan drugi. Motywy huculskie stają się dla niego z biegiem czasu jedynie pretekstem do tworzenia pewnych kompozycyj kolorystycznych i linearnych. Smukłe sylwetki hucułów, cwałujących na drobnych konikach, stają się w końcu arabeską, zdobiącą porcelanowe talerze i filiżanki.

Z malarzy najmłodszego pokolenia sięgają do tematów huculskich również Michał Boruciński, Stanisław Dyboski, Mieczysław Trautmann i inni

---

Do słów powyższych, w których autor scharakteryzował huculszczyznę, jako temat w malarstwie polskiem, pragniemy dorzucić garść szczegółów o samym ludzie huculskim.

Jak już wspomniano w niniejszym zeszycie, huculi są,



Wesele huculskie — Kaz. Sichulski



Święcone T. Axentowicz

szych od kultury — w Żabiem, w Hryniawie.

Lud to bardzo zdolny. Przedewszystkiem uderzają nas jego zdolności artystyczne. Objawiają się w zdobnictwie wszelkiego rodzaju — w zdobnictwie sprzętów i narzędzi, wnętrz izb i t. d. Szeroko po za granice huculszczyzny rozchodzą się ich wyroby drzewne — misy, szkatułki, tytoniarki — ich kilimy barwne, wreszcie ceramika — z ostro zdecydowanemi zarysami ozdobników barwy bronzowej i zielonej na jasnem tle cielisto-żółtawem. Godzi się zresztą zaznaczyć, że najzdolniejsi obecnie ceramicy na Huculszczyźnie — Koszak w Pistyniu i Baranowski w Moskalówce — to Polacy, nie Rusini.

antropologicznie biorąc, wybitnemi mieszańcami. Odbija się to na ich wyglądzie i na znamiennem zróżnicowaniu typu kobiet i mężczyzn. Mężczyźni są przeważnie smagłymi, dość szczupłymi brunetami — śród kobiet natomiast przeważają blondynki. Klęską rasową hucułów jest dziedziczna. zastarzała kiła, niszcząca ten lud dorodny.

W strojach huculskich uderza wschodnia jaskrawość: więc obfitość purpurowej czerwieni, bo czerwone bywają zazwyczaj spodnie, a częstokroć wierzchnia *manta*, i krajki opasujące itd. Czasem spotyka się też barwę malinową ze złotemi naszywkami — być może z cerkiewnych szat przejętą. Koszule — białe.

Strój mężczyzn jest dostosowany do figury — natomiast postać hucułki całkiem zatraca się w stroju — w zbyt szerokim, prawie kwadratowym *kieptarze*, t. j. serdaku, w niefałdowanej, krótkiej sukni z fartuchami, w nazbyt przestronnych, wysokich sukiennych buciarach.

Tryb życia hucułów jest w dużej mierze pasterski, a nawet w dużej jeszcze mierze — koczowniczy, zwłaszcza w okolicach dal-

Dziwnie są przemieszane w hucułach pierwiastki zdawałoby się wyłączające się wzajem — pewna wewnętrzna kultura z pierwotnością, dobroduszność i łagodność z dzikością.

W obyczajach hucułów, mimo postępy cywilizacji powszechnej, zachowało się dużo wybitnej odrębności: wielka swoboda w dziedzinie płciowej, w obrzędowości religijnej ślady pogaństwa i t. d.

Lud — zewszechmiar godny poznania — *r.*



Pochód hucułów W. Wąsowicz

Marja Kuncewiczowa

Zobaczyłam słońce

W kwietniu to było, i we wtorek... Na Brackiej.

Wychyliłam się oknem zobaczyć, czy autobus nie idzie. Widok ulicy mnie zachwycił. Zostałam więc we framudze, wsparta na łokciach, jak przedwojenna kobieta. Nic się nie działo, a także nie ujrzałam pięknych gmachów, drzew w kwiecie, ani barwnych oświetleń. Drzwi obu narożnych sklepów były otwarte, przed bramą na lewo skakała dziewczynka dozorcy, na prawo żebrak bez nóg dzwonił miedziakiem w miseczce, przechodzili przechodnie, biegły nieliczne auta.

Wprost okna miałam wylot Nowogrodzkiej – tam również nie dostrzegłam żadnego zdarzenia: służąca ze sznurową torbą, opuszczoną niemal na chodnik, wyszła od zieleniarki i skierowała się wskos przez ulicę. Jednak, kiedy stanęła na jezdni, poczułam, że dzieje się coś szczęśliwego. Podniecona, patrzyłam pilnie, jak dziewczyna człapie pantoflem. Wylądowała na drugim trotuarze, zmierzchła – przestałam cieszyć się nią.

Natomiast kółko dozorcówny wydało mi się przedmiotem wzruszającym – zataczało pochyłe kręgi coraz ciaśniej, aż legło, spęczniałe od blasku. W tej samej chwili spęczniało mi serc. Zażywając z rozkoszą jego pełni, patrzyłam łakomie na nieozdobny kąt miasta.

Zdążyłam jeszcze zauważyć, że kupiec kolonjalny stanął na progu i zatarł ręce; że prasowaczka z przeciwka wysunęła na powietrze gołe ramię, zakończone żelazkiem bardziej srebrnem, niż lustro; że kaleka sunie po asfalcie, wyglądając, jakgdyby wpław przebywał rzekę...

Potem już musiałam odejść, bo telefon zadzwonił. Powiedziawszy *halo,* urwałam zmięszana: mój głos był za gorący na rozmowę z dentystką.

Kilkakroć w ciągu dnia wspominałam zachwyt z powodu brzydkiej ulicy i nikłego życia. Dziwiłam się.

Nazajutrz wstałam z myślą o licznych zajęciach. Zjadłam dobrze, włożyłam lepszą suknię, pierwsza praca miała rozpocząć się zaraz. Ale klucz od komody zginął... Szukałam, odstawiałam doniczki na oknie – może tam został od wczoraj. Podnosząc wzrok, podnosiłam w sobie radość z widoku, który mnie spotka.

Jest! Dwa sklepy otwarte, wylot ulicy, żebrak, dziecko, przechodnie i asfalt.

A jednak nie, mój Boże, niema widoku!

Spłoszona spojrzałam ku dziewczynce... Biegła za kółkiem. Drewniana obręcz, słaniając się, zaczęła opadać: po chwili legła płasko, zanikła mi w oczach.

Jakaś kobieta przechodziła jezdnię na Nowogrodzkiej; odwróciłam głowę – nikt na takie kroki nie czeka, niosą ciało, które nic nie oznacza.

Kupiec wyszedł na próg... Ręce miał bezsilnie zwieszone, jakgdyby niczego już nie pragnął brać, ani podawać.

Doszedł mnie twardy chrobot; to kaleka, pracowicie pełzając, skrobał asfalt drewnianemi dłońmi.

Jakieś blade ramię wionęło zza firanki. Prasowaczka... Ostatni promień nadziei skierowałam na jej świetne żelazko. Ten błyszczący sprzęt roznieci może światło w przedpołudniowej godzinie.

Biada ostatnim nadziejom! Ramię prasowaczki we środę kończyło się czarną plamą. Jak niedobry sygnał, przeżegnało ulicę.

Poczułam, że ziębnę, skwapliwie opuściłam okno. Siadłszy przy biurku, zacisnęłam powieki. Wtedy z wczorajszego dnia napłynął pod nie blask, w którym – podobne szczęśliwym rybom – trzepotały tęczowo najbrzydsze ciała i najmniej ważne sprawy. Zachwyt wypełnił mi arterje.

Po chwili zapisałam sobie: w kwietniu we wtorek, w dwudziestym roku życia, poraz pierwszy zobaczyłam słońce. A w środę nazajutrz, zrozumiałam nędzę, patrząc na ulicę Bracką – bez słońca.

Włodzimierz Słobodnik

Wiosna

Cóż to się dzieje, cóż to się dzieje!
Powiedzcie drodzy, powiedzcie mili!
Ach to w mych żyłach wiosna szaleje,
Niebo nad sercem młodem się chyli.

Zielono w oczach! Gęstą zielenią
Świecą ogrody, bzami wezbrane –
Chwała ci, słońce, chwała ci, ziemio,
Chwała wam, rzeki, światłem rozlane!

Niebo nad sercem! A w sercu mojem,
Które ogarnia, przyjmuje, wchłania,
Szumisz, najmilsza, wiosennym zdrojem,
Wytryskującym z gleby kochania.

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz

Żona Harleya

Nowela. Ilustrował K. Sopoćko

Widzę, że przypatrujesz się tej mojej dziwnej pamiątce. Nie jest to kobieta zwyczajna. Spojrzyj tylko, jak wdzięczna jest jej zmęczona poza. Smukłe nogi wykonane są na podziw pięknie,



niezawodnie kochał swój model

a linja bioder i ramion jest bez zarzutu. Twarz i całą głowę nagiej kobiety spowija płaszcz włosów. Płaszcz ten wydłuża się daleko, nadając całej rzeźbie płynny, poetyczny charakter. Po drugiej stronie zlekka wystają poza krawędź podstawy drobne stopy o wysokiej, rasowej pęcinie. Rzeźbiarz rozumiał także tajemnicę, ukrytą w nieodpartym wdzięku obnażonych piersi. Ten, który wyrzeźbił piękny w swej bezużyteczności przedmiot, musiał niezawodnie kochać swój model i swoją intencję.

Praca musiała trwać długie tygodnie. Czy wyobrażasz sobie większą cierpliwość? Rzeźba wykonana jest przecież w drzewie, najbardziej niewdzięcznym materjale. Szczególnie trudno jest nadać kształty piękne a misterne sośninie. A przecież już sam kierunek i kształt drzewnych warstw zdradza, że na materjał wybrano drzewo sosnowe. Zresztą, odwróciwszy rzeźbę, poznamy z jej nieodrobionej i niewykończonej podstawy, że naga piękność, ukrywająca zawstydzone oblicze w splocie ramion i w draperji płynnych włosów, powstała ze zwyczajnej sosnowej szczapy: jednej z tych, które w miastach służą do podpalania w piecu, a w lasach obficie rozrzucone są wokoło sągów drzewa na świeżej porębie. Tak więc miłość i genjusz potrafiły wywołać najbardziej wyszukane piękno z prostej, ordynarnej szczapy drzewnej.

Może zresztą uznanie dla piękna i poezji uczuć ukryte było w wyobraźni i sercu rzeźbiarza. Był to zupełnie nieobliczalny odruch – rozpoczęcie tak niewdzięcznej i trudnej do zakończenia roboty. Możnaby przypuszczać, że przyświecały rzeźbiarzowi jakieś szczególne cele. Może chciał pouczyć wszystkich – i samego siebie – że dla dłoni twórcy nie istnieją materjały pospolite, że z najbardziej wulgarnych i trudnych okoliczności można potęgą kochania i cierpliwości wykrzesać ideał formy i treści. W każdym razie – rzeźba otrzymała znamienną nazwę, wypisaną na odwrocie podstawy. Nazwa ta brzmi prosto: – Żona Harley'a. Pozatem intencją ostatnią rzeźbiarza było, aby ta jego rzeźbiona piękność znalazła się na mojem biurku, w najbliższem polu widzenia. Czy nie domyślasz się już teraz całej historji?

Jest to historja miłości – a raczej wielu miłości, które działy się ze sobą współcześnie. Uczucia, które ogarnęły nas wtedy, były silne, były potężne. W splocie powstałego konfliktu taiły się zapowiedzi najokropniejszej, potwornej rozgrywki. A jednak w ogniu tych wielkich namiętności surowe, ludzkie istnienia przetopiły się w treść tak szlachetną i harmonijną, że wspomnienie o cichym naszym dramacie może być jasne i słoneczne. Ta malutka, pachnąca żywicą rzeźba jest właśnie symbolem całej tej, prostej historji.

Zagadnienie powstało nagle, kiedy wypadłem wzburzony z zacisznego mieszkania, w którem została rozpłomieniona, bezradnie oparta o drzwi

Helena. Drzwiami temi mocno trzasnąłem, uciekając od nadmiaru uczuć sprzecznych, od Heleny, od nęcącej przytulności saloniku, od piekących wyrzutów sumienia, od żądzy napozór niemożliwej do okiełzania, od przyjaźni z nieobecnym Henrykiem – a więc wogóle od samego siebie. W ucieczce tej tak byłem konsekwentny, że już po kilku godzinach potrafiłem oddalić się od Warszawy i od siebie, pochylonego w nabożnem uniesieniu do kolan Heleny – o wiele dziesiątków kilometrów. Nie wiem, jak wydostałem się z wielkomiejskiego chaosu między leciutko szumiące topole gościńca. Świecił przejasny miesiąc. Wśród warkotu motoru pędziłem naprzód, przecinając reflektorami smugi wilgotnego tumanu, snującego się od łąk i strumieni. Ale powtarzam: choć mechanicznie wykonywałem wszystkie funkcje pędzącego motocyklisty, choć zapóźnieni woźnice mogli widzieć mój mknący wśród nocy kształt, to przecież całą istotą, wyobraźnią i wszystkiemi strunami nerwów, gorącą krwią i modlitwą ust – byłem przy żonie Henryka, rozpostartej białemi motylami dłoni i złotym rojem lśniących włosów na drzwiach, które zatrzasnęły się za mną – uciekającym od miłości i przyjaźni.

W zachwyceniu wolno toczącej się miesięcznej, letniej nocy trwałem tam – u jej stóp – roztopiony wewnętrznemi żarami entuzjazmu. Niemal wyczuwałem chłód jej kolan i falowanie jej łona w świeżych powiewach roziskrzonej gwiazdami północy, a pośpieszny łomot bijącego miłością serca w tętniącym żywą pasją motorze. Gdy – o wschodzie słońca – pojaśniały ciemne bory, uciekające kołem przede mną, gdy wypłynęły na ciemny szafir pierwsze, srebrno-różowe obłoki świtu, wtedy właśnie uniosłem śmielsze spojrzenie ku biało-różowym piersiom... A wraz ze słońcem, które znienacka bryznęło ulewą oślepiającego światła, zobaczyłem ją całą – moją i jasną – pożądaną i świeżą – rodzącą się do życia w szczęściu i rozkoszy, jakby jutrzenkę upalnego, letniego dnia.

Wtedy wydało mi się, że tracę przytomność. Z jękiem tęsknoty, którego nikt nie usłyszał, zawróciłem do Heleny, pchnąwszy maszynę w niebezpieczny wiraż. Wracałem do Warszawy, przerażony oddaleniem przestrzeni i czasu od szczęścia, bez którego życie wydawało się niczem innem, jak szybkiem konaniem serca. Wracałem w tempie panicznej ucieczki przed nieszczęściem wyrzeczenia się, tak, jak przedtem uciekałem przed miłością.

Był to jednak dopiero początek mojej długiej, kilkotygodniowej, a nieprzerwanej wędrówki po dolinach i szczytach, wśród rozpaczliwej, błotnej szarugi, to naprzemian – w niebiesko-zielonej słoneczności polskiego krajobrazu. W wędrówce tej szukałem decyzji. Wiele dni kołysałem się, pognębiony wewnętrzną rozterką, pomiędzy najzupełniej sprzecznemi uczuciami; istny pająk, zaczepiony o promień słoneczny i bujający nad całym światem wzruszeń – od jednego bieguna do drugiego. Nie byłem w stanie wylądować, zatrzymać się, pewną stopą stanąć na gruncie i wybrać nareszcie jeden jedyny kierunek. Nie wyobrażam sobie straszniejszego konfliktu (tyczy się to tylko serc rzetelnych), niż konflikt miłości i przyjaźni.


nie odbiegłem ani na cal od Heleny

Cała ta sprawa musiała odbyć się właśnie we mnie, drobnym fragmencie świata. Toteż rychło poczułem małość i nicość własnej myśli i rozumu wobec wielkich burz, olbrzymich kataklizmów, odbywających się w sercu, które – zapomniane i lekceważone tak długo – teraz rozrosło się w potworny rozdźwięk i chaos. Poczułem się bezradny i zgubiony w owych mocach, długo utajonych we mnie – a teraz rozszalałych w sposób przestraszający mnie samego. Ucichłem w niemem przerażeniu, a serce, sprzężone z wyobraźnią w mieszaninę wrącą i nieobliczalną, wrzało krwią, miłością, poświęceniem i przyjaźnią.

Można zwątpić o wszystkiem, nosząc w sobie takie piekło. Jedyny

ratunek widziałem w nieustannej ucieczce, w pędzie naprzód.

Długo, długo nie byłem zdolny ani pogodzić, ani rozdzielić tak różnych uczuć. Dlatego też moja bezradna, ślepa wędrówka przeciągała się na dnie i tygodnie. Nikt nie mógł odnaleźć mnie w tej drodze, która nakreślona na mapie, wyda się niezrozumiałem nagromadzeniem zygzaków i łuków.

Jednakże nawet podczas ucieczki energja ma swoją granicę. Jechałem coraz wolniej, jakby i mojej maszynie brakowało tchu i sił. Postoje stawały się dłuższe. Tak zmęczone niepokojami podróży wędrowne ptaki zwalniają swój lot i w miarę zbliżania się do celu zmniejszają etapy i przedłużają wypoczynek. Wtedy nareszcie moja wędrówka przestała być ślepym pędem, podczas którego wszystko wokoło zlewało się w mknącą szarość. Mogłem rozejrzeć się – i w zdumieniu spostrzec, że – przemknąwszy wiele setek, może tysiące kilometrów, nie odbiegłem ani na chwilę i ani na cal od Heleny, Henryka i siebie. Byliśmy wciąż razem – i Helena wyciągała ku mnie kochające dłonie.

Widziałem ją nieustannie – w każdym szczególe otaczającego mnie świata i w całości krajobrazu. Stała się nieodłączną od każdego mojego spojrzenia i od każdej myśli, tak jakbym patrzył i myślał przez okulary, z których zaglądała w głąb mojej duszy.

Szybki lot jaskółek był jakby moją myślą, nieustannie wracającą do Heleny. Delikatne barwy i pierzchliwe loty dzikich gołębi przywodziły na myśl ręce, które w tamtej, niezapomnianej chwili wzleciały ku mnie porywem miłości i oddania. W migocie barw motylich, w pogodnej wypukłości błękitów, w sączących się z delikatnym szmerem ruczajach odnajdywałem, najniespodziewaniej dla siebie, fragmenty ukochanej postaci. Było to nieprzytomne zachwycenie się, najbardziej paradoksalne i nierozumne, nawet zabawne w wyrazie. Bo jeśli mijałem mały mostek, to patrząc na jego poręcze, niemal realnie widziałem siedzącą na nich Helenę. Równie dokładnie dostrzegałem ją, spoczywającą w cieniu gajów lub brnącą przede mną błotnistym szlakiem drogi. Falowanie dojrzewającego żyta posiadało płynność i miękkość Heleny. Posiadała te cechy nie w ruchach, nie w postaci nawet, lecz jakby w najtajniejszej treści wewnętrznej. Mijając wioski i miasteczka, widziałem młode sylwetki niewieście – czasem ubrane z miejska, czasem barwne po kielecku lub łowicku, lub białe, wyszyte czerwienią – gdzieś w zapadłych kątach kresowych. I zawsze, na widok każdej z tego mnóstwa postaci – uczuwałem bicie serca i słyszałem zdradliwy głos wewnętrzny: spójrz to jest z pewnością Helena... Ale przecież nie mogła być ani tu, ani tam, ani gdzieindziej – tylko w domu Henryka. Nie wiedziałem już komu wierzyć, czy oczom, czy sercu, to jedno było tylko dla mnie pewne, że Helena istniała wciąż wokoło mnie – najbliższa, ale niewidzialna, moja, ale nieprawdziwa.

Wpadałem podczas tej wędrówki w rozpacz, depresję, zniechęcenie. Wtedy zabiegały mi drogę czarne, złośliwe wrony i podlatywały przede mną wzdłuż nieskończonej tasiemki dróg. Płoszyłem je pędem i szumem motoru, ale potrafiły gonić moją przesądną wyobraźnię przez długie następne godziny.

Henryk był również przy mnie. Czułem jego obecność, przebijając się przez poważny, przyjaźnie szumiący bór, w porywach szerokiego wichru, w wiernej pracy motoru. Myślałem o nim, zjeżdżając ze wzgórz, kiedy przeciwległe wzniesienie szosy kładzie się białym torem przed maszyną, jakby w pełnem zaufaniu i najlepszej chęci ułatwienia podróży. Rozległe horyzonty, w których gubił się wzrok zmysłów; mocno grzejące ze swej dobrotliwej wysokości słońce; chóralny śpiew żołnierzy, spotkanych w zamaszystym marszu; wiecznie trwające, silne piękno strzelistych wież kościelnych; rozmach osiedli fabrycznych; potęga maszyn, przylatujących na moje spotkanie w wirujących obłokach kurzu –



kładłem ją na granicy światła i cienia

oto co przywodziło mi na myśl Henryka i moją z nim mocną, męską przyjaźń.

I znów, niepomny na niezłomne obowiązki tej przyjaźni, pogrążałem się w niecierpliwej, nad wszystko mocniejszej miłości do Heleny. W mlecznem świetle miesiąca widziałem połysk i czułem smak równych zębów, rozchylonych w pierwszym i jedynym, bezpamiętnym pocałunku, a czerwień dojrzewających w słońcu wisien jeszcze bardziej pogłębiała słodycz i mękę tego wspomnienia, bardziej rzeczywistego od teraźniejszości, zgubionej dobrowolnie w plątaninie dróg samotnych.

Wreszcie poszukałem odpoczynku i kresu u krańca dróg, nad morzem. Ułożony blisko przypływu fal, oddychałem jednak jeszcze większą tęsknotą. Nieustanny, cichy przybój kołyszącego się bezmiaru wołał mnie ku sobie – i ku Helenie – nierównym, nieobliczalnym rytmem kobiecości. Obiecująca świeżość i pochłaniająca wszystkie zwątpienia niepamięć była w tem morzu i w spełnieniu mojej miłości. Tymczasem, rozgrzany promieniami, oślepiony jaskrawym, rozpalonym piaskiem, mogłem pogrążyć się w chciwych, namiętnie oblegających mnie falach – ale ramiona i wołająca mnie cała postać Heleny – były dalekie.

Zerwałem się znów do pędu. Biegłem do Heleny w gotowości zrujnowania i zniszczenia wszelkich przeszkód – na całym świecie – i w sobie samym. Nic nie mogło stanąć na drodze moich pragnień.

A jednak przeszkoda nieodparta znalazła się w ostatniej chwili. Przerażony wołaniem wewnętrznem, skręciłem z drogi warszawskiej na prawo – i łykając łzy nadludzkiego wysiłku, wielkim łukiem omijałem znów Helenę, jak dawniej oddany na niełaskę dwom mocom – miłości i przyjaźni, toczącym wspaniały, lecz dla mnie przeraźliwy bój.

Przyszła wreszcie dobroczynna chwila ostatecznego wyczerpania. Znalazłem się wtedy, jakby przyprowadzony instynktem – w samem sercu gór. Los, który zakręcił mną i puścił w szalony taniec wirowy po całym kraju, tutaj łaskawie pozwolił mi wspiąć się ostatnim wysiłkiem – i poddać niemocy. Zamieniłem z radością falujący niepokój morza i drgającego w upale powietrza na stromą samotność szczytów, jasno widocznych w czystej, rzeźkiej atmosferze, a okalających najcichszą źrenicę wód gładkich i nieruchomych.

Słońce zaglądało tu na krótko, nieśmiało wychylając się z za nawisających, olbrzymich skał. Nocny ziąb chłodził rozpaloną krew. Ciemna toń Morskiego Oka uspakajała oczy, długo drażnione zwodniczą wyobraźnią. A cisza, absolutna cisza górska lekko szemrała w uszach, jeszcze pamiętających wielkie bicie dzwonów i serc, rozgwar dolin i wiosek, szum natarczywych fal – i wołanie Heleny: – nie odchodź, nie odchodź odemnie...

Nadewszystko jednak ucieszył mnie i jakby orzeźwił – śnieg, jego biały, czysty chłód.

Był to już początek lata, ale na jednym z pobliskich stoków, nieco powyżej jeziora, bielił się dotychczas płat śniegu. Słońce docierało tu coprawda, ale tylko na krótkie kwadranse i nie sięgało na cały zaśnieżony obszar. Nierówne brzegi białej powierzchni zmieniały codzień swój kontur, topniejąc powoli, ale nieustannie. Obserwując ten proces wolny i nieustępliwy, zająłem się zagadnieniem – kiedy też słońce rozgrzeje i roztopi powłokę śnieżną. Codzień niecierpliwszy, ale mimo to uparty w tem nowem zajęciu, znaczyłem postępy pracy słonecznej. Z kuchni schroniskowej zabrałem zwyczajną szczapę sosnową i kładłem ją w samo południe na granicy światła i cienia – na owym śnieżnym płacie. W ten sposób mogłem śledzić słońce coraz wyżej wytaczające się z za nawisających górskich krawędzi nad jezioro i coraz zuchwalej uderzające ciepłem w zmarznięty płat śniegu.

Zacząłem wierzyć, że z chwilą roztopienia się śniegu przyjdzie czas i na stopienie słońcem prawdy – moich własnych wątpliwości i rozterek. Ale w istocie – gdy słońce topiło śnieg i lód, ja pracowałem nad sobą w sensie odwrotnym, mrożąc rozwagą i logiką i sumieniem przyjaźni najbardziej żywą, rozpędzoną w szczęście namiętność...

Trwały i przemijały dnie osamotnienia. Nie pozwalałem turystom ruszać mojej szczapy, stopniowo przysuwającej się coraz bliżej do skalnej ściany. I wreszcie przyszedł dzień – w samym rozkwicie lata – kiedy słońce ogarnęło całą przestrzeń zaśnieżoną, aż urósł i spęczniał strumień chłodnej wody, spływającej do jeziora. Moje śnieżne pole kończyło swoją egzystencję – a we mnie zapanował czysty, biały chłód.

Ruszyłem w drogę powrotną przemieniony.

Nie zostawiłem jednak sosnowej szczapy nad jeziorem. Zabrałem ją z sobą, tę śmieszną pamiątkę cierpliwie stoczonej walki.

Morze – to namiętność; góry natomiast – to ciche szczyty przyjaźni. Nad morzem nie znalazłbym szczapy – napewno potoczyłoby się wszystko inaczej, gdybym tam czekał na decyzję. Zwyciężyłem Helenę i samego siebie. Wyrzekłem się na długi czas widywania Henryka i jego żony. Samotność przeżywałem w ciszy i bezruchu, a wspomnienie bolesne i piękne, stawało się coraz łagodniejsze.

Stało się dziś najpiękniejszem wspomnieniem.

Ale owóż – odbiegłem od tematu. Przyszedł wreszcie czas, kiedy spotkaliśmy się znów. Oni są dziś szczęśliwi ze sobą. Tajemnica mojej ucieczki przestała być tajemnicą. Helena po-

wiedziała Henrykowi o burzy, która niegdyś targnęła naszemi istnieniami i omal nie rozbiła harmonji i piękna wielkiej przyjaźni i wielkiego zaufania. I ja opowiedziałem Henrykowi o pokusach i ukojeniach, których doświadczyłem podczas ucieczki od złowrogiego szczęścia.

Wyschniętą szczapę zabrał mi kiedyś Henryk do siebie. Nie wiedziałem, dlaczego to czyni. Oto – ona właśnie. Ta sama. Spójrz – jest to obecnie piękna rzeźba... Kocham ją... Maszyna, którą odbywałem moją pielgrzymkę na szczyty wyrzeczenia się nazywała się *Harley'em*. Helena i Henryk przezwali kiedyś i mnie tem obcem imieniem. No i dlatego – rzeźba, będąca pamiątką kobiecego namiętnego porywu i twardej męskiej decyzji, nazwana została, po wielu latach smętnie i serdecznie – *Żoną Harley'a.*

Innej nie mam....

Stanisław Sakłak

Pod miechowskiem niebem...

Hen od Racławic rozsiadły się lasy,
Miechów ku niebu wypiął banię wieży,
pola się ścielą zielonym atłasem,
któż je obejmie, sercem zdoła zmierzyć?

Któż sady zliczy, a wierzby nad wodą,
smutne olszyny, brzózki nade drogą?
któż pojmie, jaką duszę ma gospodarz,
który tu żyje tak blisko od Boga? –

Jasno-zielone, roześmiane słońcem
pagórki biegną po szary nieboskłon,
w polach się wiją drogi – hen wiodące
ku nowym wzgórkom, ku maleńkim wioskom.

W polach się drzewa rzadko gdzie zbłąkały,
gdzieś grusza albo jabłoń w niebo strzeli,
w sadach, różowych kwieciem – okna chałup
patrzą się w niebo z pochyłych ścian bieli –

Przed chałupami rozbawione dzieci
radośnie wrzeszczą w cichość wiejskiej drogi.
dudniąc kołami wóz czasem przeleci,
czasem dziad stanie przed chałupy progiem –

I sama tylko gospodyni w chacie –
– na polach wszystko – krowy, konie, ludzie,
cały świat wiejski przy doli warsztacie
w słońcu dzień spędza w życiodajnym trudzie.

Zato w niedzielę z pogwarką na sumę
– na odpust ludzie ciągną do Zielenic –
chłop hardo idzie – z gospodarską dumą,
dziewuchom zdrowiem twarze się rumienią...

... i znów dni trudu... Jednako się ścielą
zielenią pola pod miechowskiem niebem,
a tydzień płynie równo – do niedzieli –
przy orce doli, znojnym siewie chleba –



Orka wiosenna — Photo-Plat

Lech Br. Ziemięta

Jak doktór Ptaszek złapał pterodaktyla

Opowiadanie – Ilustrował Z. Jurkowski

– Wiecie, panowie, co? Ojców już niedaleko. Nie czekamy, aż naprawią to stare pudło i idziemy pieszo. A pan Pilicki, nasz opowiadacz niezrównany, znów nam opowie jaką ciekawą historję.

Tak rozporządziła pani Mila, gdy autobus, wiozący gości w dolinę Prądnika, stanął jak wryty, a konduktor oznajmił, że naprawa potrwa *z pół godziny*.

I student, kuzyn Mili, i pan Pilicki przyjęli projekt brawami.

– Jest tak pogodnie i widno, że nic piękniejszego nie można sobie wyobrazić, jak taki spacer piechotą – orzekł Pilicki.

Jakoż widno było, jak za dnia. Na jasnym granacie nieba czerniały zarysy porosłych gęstym borem krawędzi doliny ojcowskiej. Na zachodzie różowiła się jeszcze blada łuna po zapadłym co tylko słońcu. Księżyc świecił już tak jasno, że widać było jak na dłoni wszystkie zakręty białej, wapiennej szosy.

Więc, gdy inni czekali na naprawę autobusu, zwyczajowo urągając na porządki, oni raźno ruszyli.

Student wesoło pogwizdywał, Pilicki zadarł głowę ku jakiejś konstelacji niebieskiej, a pani Mila wyprzedzała obu, maszerując miarowo, jak turysta pierwszej klasy. Gościniec niebawem wprowadził ich zygzakami w dolinę.

Tutaj było już nieco mroczniej. Po obu stronach drogi wznosiły się wysokie świerki i rozłożyste modrzewie, przesiewając światło księżycowe przez swe korony, jak przez firanki. W krzakach błyszczały lub unosiły się w powietrzu żywe iskierki robaczków świętojańskich. Gdzieniegdzie z pośród czarnej gęstwy drzew wystrzelały białe, fantastyczne skały wapienne, jak opuszczone baszty warowne lub zwaliska zamków.

– Urocza droga – zachwycał się student – Dobrze zrobił autobus, że się popsuł. Jadąc, stracilibyśmy te czarodziejskie widoki.

– No cóż, natchnienie już spłynęło? – zwróciła się pani Mila do Pilickiego, który właśnie sadowił trzeciego zkolei robaczka świecącego na klapie marynarki.

– Opowiem, jeśli pani zechce wysłuchać, historję, jaką mi przywodzą na myśl te skały ojcowskie i cel, do którego się zbliżamy.

– Aha, pewnie o Łokietku, który się ukrywał w jaskiniach?

– Bynajmniej – zdarzenia współczesne i prawdziwe.

– O, to ciekawe! O czemże to?

– Bardzo ciekawe. O smokach.

Student parsknął śmiechem. Mila spojrzała na Pilickiego prawie z oburzeniem, ale nie zdążyła nic powiedzieć, gdyż już zaczął opowiadanie.

– Przepraszam, że najprzód będzie wstęp cokolwiek uczony. Ale nic groźnego – krótki.

– W skałach ojcowskich pełno jest jaskiń, jak państwo wiecie. Wielu już geologów je badało. Czego szukali? Dokumentów historycznych ziemi z owych czasów prapradawnych, kiedy zamiast tego oto mizernego lasu panoszyła się tu dziewicza knieja, w której żyły olbrzymie zwierzęta, dziś już nie istniejące. Na polanach pasły się potężne mamuty, przez mateczniki owej dżungli polskiej przedzierały się straszne, włochate nosorożce, torując sobie ścieżki ku rozlewnemu Prądnikowi, który był wówczas potężną rzeką. Po pieczarach wyły nocami hjeny, a w niedostępnych legowiskach



...oni raźno ruszyli

królował olbrzymi, krwiożerczy lew jaskiniowy.

Pilicki zamilkł na chwilę. Już nie szli gościńcem – zboczyli na wąską ścieżynę, która wiodła spadzisto w głąb doliny. Z oddali wyłoniły się zarysy Góry Chełmowej, osrebrzonej księżycem, a grupy białawych skał stawały się coraz bardziej zwarte i coraz potężniejsze. Z któregoś szczytu zerwało się przenikliwe wołanie puszczyka, a wysoko, ponad koronami świerkowemi ścigłym lotem pomknął bezszelestnie jakiś ptak niewiadomy. Pozatem nic nie kłóciło nocnej ciszy. Pilicki podjął dalej:

– Jeszcze sto tysięcy, jeszcze miljon lat wstecz, a ujrzelibyśmy najzupełniej odmienny krajobraz nad Prądnikiem. Niema ani jednego ze znanych nam drzew. Nad skałami doliny rozciągają się pióropusze palm i drzewiastych paproci. Praży słońce. Powietrze jest gorące i wilgotne, jak w cieplarni. Śród bujnej roślinności skaczą lub pełzają kolosalne gady o wielometrowych cielskach. Jedne z nich, to niebezpieczne, żądne krwi drapieżniki, inne – ociężałe potwory, żerujące na wspaniałej roślinności podzwrotnikowej. Pod obłokami szybują nie ptaki, ale znów gady. Gady uskrzydlone! Przypominają nieco nietoperze, lecz są wielkie, mają potężne szczęki, pełne kłów ostrych i podobno jadowitych. To postrach owych czasów – straszliwe pterodaktyle.

– Coś niby smok wawelski – wtrąciła pani Mila.

– Coś takiego. Przypuszczają zresztą niektórzy, że stare podanie ludu krakowskiego opiera się na tradycyjnie przekazywanych, dalekich wspomnieniach ludzkości, że smok ten naprawdę mieszkał niegdyś pod Wawelem. Z całą pewnością utrzymywał to pewien przyrodnik, o którym chcę państwu opowiedzieć. Był to popularny w mieście nauczyciel przyrody – doktór Teofil Ptaszek, zwany pospolicie doktorem Filkiem. Szczególnie się zajmował gadami i płazami. Hodował węże, jaszczurki, żółwie. Wprost kochał się w gadach.

– Cóż za dziwne upodobanie – zauważyła pani Mila.

– Bardzo szczególne, ale cóż robić, miał takie właśnie. Wyczyniał ze swemi wychowankami najrozmaitsze doświadczenia. Między innemi naświetlał je lampą kwarcową. Rosły do niebywałych rozmiarów. Aż raz uciekła mu na ulicę olbrzymia wyhodowana jaszczura. Sensacja. Pościg. Zbiegowisko. Policja. Protokół. Gospodyni wytoczyła mu sprawę i uzyskała usunięcie z mieszkania.

– Wcale jej się nie dziwię – padło znów zdanie pani Mili.

– Niechże pani pożałuje i doktora. Stracił biedak mieszkanie. Co gorsza, stracił również swą niezwykłą hodowlę. Gospodyni była bez



postrach owych czasów – pterodaktyle

serca, kazała stróżowi pozapędzać gady do wora i potopić. Byłby pewnie doktór Filek umarł z żalu, gdyby umysłu jego nie zaprzątnęło w tym samym czasie coś zupełnie innego, a nieskończenie bardziej olśniewającego. Natknął się gdzieś u znajomych na chłopa z pod Ojcowa, który handlował gruntami. Rozgadawszy się z nim, dowiedział się rzeczy, które go oszołomiły. Oto ze znajdującej się na jednej z parcel wielkiej jaskini, pełnej niezbadanych zakamarków, wylatuje codzień o zmierzchu jakaś nieznana stwora. Nie jest to ani ptak, ani żaden nietoperz. Ma olbrzymie skrzydła i potężny dziób z zębami. Doktorowi Filkowi odrazu błysnęła myśl: pterodaktyle. Groźne, latające gady z dawno minionych czasów! Ależ tak – to nic innego, tylko pterodaktyle! Więc z pogromu tysiącleci ocalały tuż pod jego bokiem cenne okazy. Ocalały – aby on mógł je wykryć i okazać światu. Odtąd żył jak w gorączce. Co tam wszelkie wykopaliska! co szkielety mamutów i brontosaurów! co nosorożec staruński! Świat się zachłyśnie z podziwu i zachwytu, gdy on, doktór Teofil Ptaszek, schwyta – żywego pterodaktyla. Będą pisali, rozprawiali, będą chodziły do niego całe pielgrzymki uczonych. Akademje zaproszą go do swego grona, amerykańskie uniwersytety będą go rozrywały, sypiąc na wyścigi dolarami. Rozgłos, sława niesłychana! Lecz tymczasem – cicho, sza! Nikomu ani słówkiem! Zaraz pierwszej niedzieli popę-

dził do Ojcowa. To samo w drugą niedzielę, i w trzecią. Te wypady wywiadowcze utwierdziły go jeszcze bardziej w upajającem przypuszczeniu. Zostrożna, wypytując po chałupach, dowiedział się, że legowisko owych *nieptaków* znajdowało się w jaskini we wnętrzu pewnego wzgórka. Cały wzgórek z jakinią, z przyległym ogrodem i z pobliskim dworkiem, należał od niedawna do jakiejś pani. Doktór Filek obejrzał teren. Posiadłość otaczał wysoki żywopłot z kolącej tarniny. Jaskinia była zamknięta drzwiczkami z białych desek, a dworek obsadzony różami wyglądał ogromnie tajemniczo i nieprzystępnie. – Takie babskie gospodarstwo na obszarze, który winien być rezerwatem, chronionym przez rząd, to skandal – gniewał się, cały wzburzony. Chłopak który, mu służył za przewodnika, bąknął coś, że właścicielka jaskini hoduje jakieś stwory. – Stwory, powiadasz? a jakie? – A niewiadomo, bo nikt tam nie ma dostępu. Jedni mówią, że kanarki, a inni, że kozy... – Aha! kanarki, kozy! Gadajcie sobie, naiwni ludkowie, co chcecie. Nie ma wątpliwości – że pterodaktyle. Właścicielka jaskini, to napewno przyrodniczka. Któż inny wytrzymałby na tem odludziu. Jako zapamiętała przyrodniczka nabyła tę parcelę i nie lęka się jadowitych gadów... Do końca roku szkolnego doktór Filek chodził, jak błędny. Zapominał o wszystkiem. Bywało, że nie rozumiał, co do niego mówiono. Ledwie doczekał się ostatniej lekcji przed wakacjami. Migiem spakował manatki i przeniósł się do Ojcowa, na zawczasu przygotowane letnie mieszkanie – niedaleko jaskini, kryjącej szaloną tajemnicę. Zaraz zapukał do tajemniczego dworku, otoczonego różami. Właścicielką, jak się okazało, była energiczna panna z wdzięcznym wąsikiem, lat, powiedzmy, trzydziestu dziewięciu z okładem. Lecz ze zbadaniem tajemnicy nie wiodło się doktorowi Filkowi. Raz i drugi wrócił zgnębiony. Łaził nocami koło dworku. A jaskinia, jak była tak była zamknięta białemi drzwiczkami. Chłopi słyszeli, jak budził się po nocach lub zrywał nad ranem, wybiegał w pole i rwąc sobie włosy z głowy, wołał: *Wydrę tę tajemnicę! wydrę tę tajemnicę!* Wprost szalał.

– No i jakże: zdobył tajemnicę? – przerwała rozciekawiona pani Mila.

– Pewnie już niezadługo będzie nagrodzona twoja cierpliwość i zapał naukowy doktora Ptaszka – uprzedzał domyślnie student, zezując ku Pilickiemu.

Z oddali doleciał śmiech puszczyka.

– Owszem – kończył przerwane opowiadanie Pilicki. Coś w trzy tygodnie odbył się skromny ślub doktora Ptaszka z właścicielką dworku. Wtedy doktór Ptaszek posiadł tajemnicę jaskini: za pilnie strzeżonemi, białemi drzwiami, kryła się hodowla jakiejś bardzo niezwykłej rasy kur.

– To ptaszek wpadł w sidła! – zaśmiał się student.

– Sam je doskonale zastawił – odparła zaskoczona pani Mila.

Fantastyczne skały, bielejąc w poświacie księżycowej na tle czarnej niemal zieleni, słały czar upojny, jedyny.

– Po tym ślubie sprawa nabrała rozgłosu – dodawał Pilicki – dawni uczniowie doktora Filka śpiewają teraz piosenkę: łapał Fil pterodaktyla, pterodaktyl złapał Fila, wpił się i trzyma.

– Ach! – przerwała nagle Mila – to chyba tutaj, panie Pilicki? prawda?

Pilicki nie odpowiedział odrazu. Podszedł do furtki, ukrytej śród gąszczu wysokiego żywopłotu z kolącej tarniny, przed którym stanęli. Wszedłszy w obręb ogrodu, ujrzeli mały domek, otoczony girlandami pnących się róż i przytulony do wzgórza.

– Tak, jesteśmy u kresu wędrówki. Mieszkanie zamówione tutaj się właśnie znajduje.

Zapukał do drzwi.

W oświetlonem oknie podniosła się zasłona i ukazała się twarz na pół męska na pół kobieca z latającemi oczkami w głębokich oczodołach i z czarnym wąsikiem na wysuniętej grubej wardze.

Pilicki posłał ukłon beretem.

– Pterodaktyl! – wyrwało się z komiczną zgrozą studentowi



nie spodziewaliśmy się tak późno – zaskrzeczała

— Nie spodziewaliśmy się państwa tak późno — zaskrzeczała pani Ptaszkowa, wpuszczając gości do środka. A przedstawiwszy męża w szlafroku — idź-no do jaskini — rzekła — obejrzyj kury i przynieś jaj na kolację. I szczypiorku po drodze.

Doktór Ptaszek wrócił niebawem, niosąc pieczołowicie jaja w naręczu i w kieszeniach.

Wyciągał je i układał ostrożnie po kolei.

— Kurki mamy pierwszej klasy — objaśniał — Rasa z wysp Kanaryjskich. Szczypiorek świeżutki. Jajecznica będzie wspaniała.



Jan Szczawiej

Polesie

Spokojna, jednostajna równina wdycha chciwie
Wargami spragnionemi chłodzący napój nieba,
Zmęczyły ją upały i szepty zbóż na niwie
I ciche skargi ludzi, że nie wystarcza chleba.

Gościńcem wyboistym wracają w barwnych [chustach
Po pracy całodziennej spragnione snu dziewczęta,
Śpiew smutny, jak te pola, bez przerwy na ich [ustach
Wykwita szara barwą i myśli ptakom pęta.

A na pastwisku rośnem, gdzie olchy nikłe drzemią,
Spętanych para koni wilgotną chrupie trawę
I nie wie, że nad polem, nad wsią, nad całą ziemią
Noc zawiesiła niebo i tka obłoki bławe.

Drobiazgi turystyczne

■ Największą jaskinią w Polsce jest przecudna jaskinia gipsu krystalicznego w Krzywczu Górnym w pow. borszczowskim. Ma ok. 14 km. długości, 6 sal i krużganki. Jest jedną z najpiękniejszych w Europie.

■ Największe stanowiska ma bóbr w Polsce w Stadnikach nad Horyniem w pow. zdołbunowskim na Wołyniu i w Piaskach Starych na Polesiu.

■ Największe i najciekawsze kopalnie bazaltu mamy w Berestowcu pow. kostopolskiego na Wołyniu. Niedaleko stamtąd, w Janowej Dolinie leżą nietknięte jeszcze pokłady bazaltowe.

■ Najstarszy polski dwór modrzewiowy znajduje się w Koszutach w pow. średzkim w Wielkopolsce. Główny jego ośrodek pochodzi z r. 1567, przybudówki z w. XVII i z XVIII.

■ Dobiegająca do końca przebudowa zamku kieleckiego odsłoniła całe piękno tego zabytku odrodzenia francuskiego w Polsce, pochodzącego z r. 1638.

■ 30.III.1930 w Radomiu tamtejszy oddział P. Tow. Krajoznawczego otworzył muzeum. Zgromadzono w niem obficie okazy przeddziejowe, dokumenty miejskie, zbiory broni, pieczęci, monet, piękny zbiór okazów świata zwierzęcego.

■ Rozszerzone obecnie muzeum mazurskie w Działdowie przenosi się do zamku pokrzyżackiego, który dotąd służył za kościół ewangielikom.

■ Dyrekcja lasów państwowych w Białowieży udostępniła turystom zwiedzanie puszczy białowieskiej, a stowarzyszenie samopomocy pracowników dyrekcji utworzyło sekcję turystyczną, która ułatwia wycieczki.

■ Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych założył schronisko w Czorsztynie. Kierownikiem został miejscowy nauczyciel.

■ Otwarto dla ruchu samochodowego gościniec bity z Nowego Sącza przez Piwniczną do Lubowli na Spiżu.

St. Osińska

Muszę stanowczo odpocząć

Humoreska – Ilustrował Z. Jurkowski

W tym roku postanowiłem spędzić urlop w bardzo spokojnej i zacisznej miejscowości. A głównie w takiej, gdzieby nie było kobiet. Muszę odpocząć – postanowiłem. Czułem się bowiem bardzo zmęczony. Winna temu była śliczna, złotowłosa Lili, żywiołowo żądna życia i użycia. Przez nią nie opuściłem prawie ani jednego balu w karnawale, bywałem częstym gościem na dancingach. A ponieważ moja przyjaciółka stawała się coraz bardziej kapryśna i wymagająca, postanowiłem ją pożegnać. Przynajmniej na jakiś czas...

Urlop wziąłem w połowie maja. W maju pensjonaty nie będą przepełnione; piękne panie o tej porze nie wyjeżdżają – rozumowałam.

– Pojedź do *Marzenia* – radził kolega – Pensjonat doskonały, miejscowość śliczna. Cisza, spokój. Idealny odpoczynek. Tylko nie wiem, czy ci się nie sprzykrzy, bo człowiek, to bądź co bądź stworzenie towarzyskie!

Uśmiechnąłem się pobłażliwie, i z tryumfem wsiadłem do pociągu, który miał mię zawieźć w odległe, urocze Podkarpacie. Zakopię się w małej dziurze, zdala od gwaru i szumu wielkomiejskiego – układałem sobie. Wystarczy mi najzupełniej wędka i towarzystwo pstrągów w Prucie! Mój bagaż był niewielki, składał się głównie z wędki i wysokich, gumowych butów.

Marzenie leżało na wzgórzu, pomiędzy Jaremczem a Worochtą. Gości istotnie było niewiele: jakaś chora, starsza pani, druga z dwojgiem małych dzieci, student, po całych dniach wkuwający skrypty, no i ja. Byłem zachwycony!

– Mogę siedzieć tutaj cały miesiąc i z nikim nie zamienić ani jednego słówka – pomyślałem z radością.

Zaraz pierwszego ranka zerwałem się wcześnie z łóżka. Uzbrojony w wędkę i duży zapas cierpliwości, udałem się na pstrągi. Naprózno jednak brodziłem w wodzie z budującą cierpliwością i wytrwałością. Pstrągi widocznie umówiły się, aby omijać moją muszkę.

Wróciłem do *Marzenia* głodny i niezadowolony. Pocieszałem się jednak myślą, że to przecież dopiero pierwszy dzień. O! jeszcze moja nadobna muszka uwiedzie niejednego pstrąga.

Nazajutrz jednak zaczęło padać. Beznadziejny, drobny deszcz.

– Pan się zapewne nudzi – rzekła uprzejmie gospodyni. – Otrzymałam depeszę, że w południe przyjedzie ze Lwowa kilka osób. Znajdzie więc pan towarzystwo.

Mruknąłem coś pod nosem, coś pośredniego pomiędzy zadowoleniem a złorzeczeniem i zagłębiłem się w świeżo nadeszłe dzienniki.

Niezadługo jednak poderwał mię odgłos trąbki samochodowej. Podniosłem oczy. Z dużego, żółtego samochodu wysiadało roześmiane, wesołe towarzystwo. Najgłośniej śmiała się złotowłosa blondynka. Podobna do mojej Lili! Wysoka, zgrabna. Ale nie! – odrazu wyperswadowałem sobie, że właściwie nie robi na mnie żadnego wrażenia.

Deszcz sprawił, że mimo najszczersze chęci, zaraz po obiedzie poznałem całe towarzystwo: dostojnego papę, mamę o bujnych kształtach, chudego i ponurego młodziana i śliczną pannę Janię. Byli zachwyceni, że znaleźli czwartego do bridge'a. Papa bowiem, mama i smętny Henio byli namiętnymi brydżystami. Ponieważ mój zapał do pstrągów ustępował przed obawą grypy, więc – cóż robić – siadłem do zielonego stolika.

Panna Jania nie grała w karty.

– Nie widzę w tem żadnej przyjemności – wzruszyła ramionami – Wolałabym iść na przechadzkę.

– Deszcz przecież pada, kochanie – zaśpiewała mama – Jutro, jak będzie pogoda, poprosimy pana doktora i pójdziemy z nim na jaką wycieczkę.

Niema głupich – pomyślałem, rozdając ze złością karty.

– Będę panu kibicować – westchnęła Jania.

Grać w bridge'a, mając koło siebie uroczą lwowiankę, która – podobno z powodu krótkiego wzroku – muskała mnie często włosami, jest jednak zadaniem przechodzącem moje siły. Toteż grałem źle.

– Pan dobrodziej pewnie jeszcze niedawno gra – odezwał się uprzejmie papa.

– Hm, tak, niezbyt – mruknąłem.

Nie miałem odwagi przyznać się temu czcigodnemu, czerwonolicemu panu, że uchodzę w Warszawie za jednego z lepszych graczy. Tak, ale nigdy nie kibicowała mi śliczna Jania.

Naturalnie przegrałem. Inaczej być nie mogło. Zastanawiałem sie bowiem cały czas, jakiemi perfumami pachną włosy mego kibica.

Deszczyk z małemi przerwami padał sobie i padał. Dzień, drugi, trzeci. Graliśmy zawzię-

cie, przegrywałem systematycznie, panna Jania nie opuszczała nas ani na chwilę.

Nareszcie trzeciego dnia niebo się wypłakało. Czarne, gęste chmury zaczęły rzednąć.

– Jutro będzie pogoda – zachwyciła się mama – Może pójdziemy na jaką wycieczkę? – zaproponowała – A pan dobrodziej z nami. Prawda?

– Ogromnie żałuję, łaskawa pani. Jestem zawołanym rybakiem i jutro rano wybieram się na pstrągi.

– Pstrągi... – zaśpiewała Jania – Toż to wspaniale! Mameczko, pozwól mi iść z panem na pstrągi! Przyniosę ze sobą całą kobiałkę na kolację!

– Taż nie wypada – usłyszałem głos mamy. Błogosławiłem mamę. Jania jest bezprzecznie śliczna. Ale ja tu przecież przyjechałem, aby odpocząć w spokoju.

– Heniu, chodź i ty, bo mameczka się uparła i nie daje mi iść samej z panem Stanisławem – rzekła w końcu Jania, po przyciszonej rozmowie z matką.

Henio coś odmruknął. Zdaje się, że nie był zachwycony perspektywą grania przyzwoitki. Byłem wściekły. Czyż nawet na pstrągach nie znajdę odpoczynku?

– O której idziemy? – spytała Jania.

– Skoro świt – odpowiedziałem niezbyt grzecznie.

– Ta gdzie ty będziesz tak wcześnie wstawać – zaniepokoiła się mama.

– Ach, przecież to bardzo zdrowo, mameczko – odparła Jania.

– I wędki nie masz – rzucił ojciec.

– Pan Stanisław ma napewno kilka sztuk, to mi pożyczy. Warszawiacy są przecież bardzo grzeczni, mameczko – zapewniała.

– Z przyjemnością – zawołałem wesoło, klnąc w duszy Janię, mamę i całą rodzinę.

Rozstaliśmy się bardzo serdecznie. Papa przebaczył mi nawet moje fatalne wyjście w piki.

Nazajutrz rano zerwałem się naprawdę o świcie. Dzień wstawał ze snu pochmurny, szary – wymarzony na pstrągi. Gdy zszedłem na dół, pewien że moi lwowiacy śpią w najlepsze – zobaczyłem na ławeczce Janię i piegowatego Henia.

Jania miała na sobie nowiuteńkie lakierki na wysokich obcasach, jedwabną, długą sukienkę i czerwoną parasolkę, a Henio trzymał w ręku dużą kobiałkę.

– Jesteśmy gotowi – rzekł ponuro, z powagą lat osiemnastu.

Oniemiałem. Te śliczne, nowiutkie lakierki, czerwona parasolka, piękna suknia i duży kosz robiły wrażenie wyprawy na wszystko, tylko nie na pstrągi.

– Życzę państwu powodzenia! – Z okna wychyliła się głowa mamy w papilotach – I nie wpadnij, Janiu, do wody, bo szkoda nowych mesztów.

– Meszty napewno przemokną, bo pstrągi łowi się, brodząc w wodzie – zawołałem ze złością.

– Ci warszawiacy to bardzo dowcipny naród – zaśpiewała mama.

Rozłożyłem bezradnie ręce.

– Uprzedzam panią, panno Janiu, że przemoknie pani – rzekłem. – Nie można iść na pstrągi inaczej, jak w długich, gumowych butach, jak moje.

– Taż utopiłabym się w nich napewno – roześmiała się wesoło, spoglądając na swoje maleńkie, zgrabne nogi, Nawet mrukliwy Henio wydobył no blade wargi coś w rodzaju uśmiechu. Westchnąłem.

Ruszyliśmy w drogę. Jania cały czas mówiła. Opowiadała mi o szkole, którą skończyła niedawno, o mameczce, o tennisie, o jakimś Czesławie. Niebardzo zwracałem uwagę na jej słowa; upajałem się tylko jej ślicznym, melodyjnym głosem. Był stanowczo niepodobny do niskiego, matowego głosu Lili.

Kiedyśmy przybyli nad Prut i wszedłem do wody, Jania zafrasowała się nie na żarty.

– A cóż ja będę robić? – zawołała.

– Może pani pójdzie z bratem drogą. Spotkamy się, powiedzmy za cztery godziny, na śniadaniu – zaproponowałem.

Ale Jania wstrząsnęła głową.

– Nie, nie odejdę od pana – rzekła – Przecież ja również chcę łowić ryby. Zdejmę tylko meszty, podepnę sukienkę i wejdę do wody.

– Ha, dobrze – zgodziłem się.

Niezadługo biała plama smukłych nóg Jani odbiła się w zielonych wodach Prutu. Początkowo szliśmy milcząc. My oboje w wodzie a Henio brzegiem, dźwigając kobiałkę z zapasami i lakierki siostry.

Nagle rozległ się za mną wesoły, srebrzysty śmiech i w sam środek Prutu padł kamień, robiąc kaczkę.

– Jaka śliczna! – zawołała Jania.

Stało się to w chwili, kiedy moja muszka, lekko trzymając się na powierzchni wód, nagle drgnęła i z toni wyłonił się niewielki pstrąg. Właśnie w tej chwili! Przestraszona ryba znikła błyskawicznie.

Czułem, że chyba zamorduję Janię. Zapanowałem jednak nad sobą. Jąłem długo i przystępnie jej tłomaczyć, że rybak winien się zachowywać spokojnie. Rozmawiać, owszem, można; głos ludzki nie dotrze do głębin wód, ale puszczanie kaczek – jest stanowczo niedopuszczalne.

– Jestem zmęczona – oświadczyła wkrótce Jania – I głodna. I zimno mi w nogi. Woda

taka chłodna! Może wyjdziemy na brzeg i zjemy śniadanie.

– Nie jestem głodny – odpowiedziałem.

– Pan gardzi pewnie mojemi piernikami. Sama robiłam we Lwowie – rzekła żałośnie – Pewnie, że nie warszawskie, ale smaczne, bardzo smaczne.

Ustąpiłem. Nie mogę znieść łez w oczach kobiet.

Śniadanie trwało długo. Jania szczebiotała bez przerwy. Henio milczał. Ja również mówiłem niewiele, patrząc z zazdrością na rwący Prut i myśląc o obfitości pstrągów, które drwią napewno ze mnie w tej chwili. Wreszcie nie wytrzymałem:



nóżki miała tak nieskazitelnie białe, umiała tak ślicznie płakać...

– Komu w drogę, temu czas – zawołałem, zrywając się.

– Już? – westchnęła Jania.

Ale wstała posłusznie i odważnie weszła za mną w zimną wodę.

Nie rzucała już kaczek, mówiła nawet niewiele, zajęła się muszką.

Nagle duży, smakowity pstrąg, zaintrygowany moją muszką, zbliżył się – ale zaraz uciekł: przeraziło go wesołe tup-tup na brzegu.

Odwróciłem się wściekły. To Henio, milczący, piegowaty Henio, zaczął z nudów wyprawiać dzikie harce po wybrzeżu tam i nazad. Miałem ochotę sprać łajdaka, ale spojrzawszy na stroskane oczęta jego siostrzyczki, zdusiłem w sobie srogi ból nowego zawodu.

Szedłem dalej. Szedłem uparcie, chociaż wiedziałem, że już nie złowię napewno ani jednej ryby. Jania, rozpogodzona, wesoło bawiła się muszką.

Nagle krzyknęła, wypuściła wędkę z ręki i gdybym jej nie pochwycił w ramiona, wpadłaby napewno do wody.

– Co się stało? – zapytałem, zapominając o całym świecie, nawet o pstrągach.

– Skaleczyłam się – szepnęła, podnosząc na mnie oczy pełne łez.

– Gdzie? – przeraziłem się.

– W nogę.

Wyszliśmy z wody, a właściwie wyszedłem, wynosząc Janię na brzeg. Rzeczywiście biedaczka skaleczyła się w palec. Opatrzyłem go jak umiałem.

Naturalnie o dalszym połowie ryb nie było mowy. Nie myślałem już zresztą o tem wcale. Włosy Jani pachniały tak zawrotnie, nóżki miała tak nieskazitelnie białe, umiała tak ślicznie płakać i tak ładnie drżała w moich ramionach że doprawdy...

Cóż znaczą zresztą wszystkie pstrągi świata, wobec takiego pięknego stworzenia!

– Nasze wędki! – zawołała nagle Jania – A gdzie Henio?

Henio, pewnie obrażony za mój gniew o tupanie, gdzieś zniknął nam z oczu. Nasze zaś wędki zabrały ze sobą wartkie fale Prutu. Ale cóż mi wędki! Złowiłem przecież piękniejszego i droższego pstrąga. Ach! rozkosznego!

Wróciliśmy do domu wieczorem.

Nazajutrz obudziłem się wcześnie. Głowa mnie bolała, byłem zły na siebie.

– Barania głowo – tłomaczyłem sobie jasno i dobitnie – Więc poto szukasz odpoczynku, uciekasz od Lili, aby paść ofiarą uperfumowanych włosów Jani? Nie wart jesteś ani urlopu, ani pstrągów, ani wogóle!

Pospiesznie spakowałem walizkę, cichaczem zapłaciłem rachunek i popędziłem na pociąg. Pojechałem do Mikuliczyna.

Niewielki domek, kryty czerwonym dachem, a noszący ponętną nazwę *Ostoja*, zwrócił moją uwagę.

– Czy to pensjonat? – zapytałem chłopca

z zamorusaną twarzą, który pieczołowicie zajął się mojemi walizkami.

— Ano tak — brzmiała odpowiedź — ale niema w nim ani jednego gościa.

Eureka! Jestem zbawiony! Tutaj naprawdę odpocznę! Nie potrzebuję obawiać się żadnych Jań, żółtych samochodów, kochanych mameczek i piegowatych Heniów, grających nieudolnie rolę przyzwoitek.

Zamorusany przewodnik miał rację. Rzeczywiście w *Ostoi* nie było ani jednego gościa. Oznajmiła mi to smagła Paraska w białej, haftowanej koszuli.

— A pani pojechała do Stanisławowa — tłomaczyła — i wróci dopiero wieczorem.

Przez cały dzień rozkoszowałem się samotnością. Zresztą muszę przyznać ze wstydem, że myśli moje często wracały do *Marzenia*. Ostatecznie zachowałem się jak papuas, wyjeżdżając bez pożegnania. Ale trudno. Przyjechałem przecież na Podkarpacie dla odpoczynku. Muszę stanowczo odpocząć!

Po kolacji siedziałem na werandzie przyglądając się zalotnie mrugającym gwiazdom. Ach! błogi spokój. Nareszcie! Nagle usłyszałem szelest sukni. Odwróciłem głowę. Przede mną stała młoda kobieta o wielkich czarnych oczach i ciemnych, krótko obciętych włosach. Usta miała czerwone i tak naturalnie ponętne, że... misternie malowane wargi Lili nie umywały się do ust nieznajomej.

— Dr. Molski? — zapytała dźwięcznym głosem — Jestem właścicielką *Ostoi*. Helena Rwańska. Niestety, nikt do tej pory z letników nie przyjechał, ale postaram się, aby pan się u mnie nie nudził.

Zaraz pierwszego dnia pani Helena opowiedziała mi, że jest od pięciu lat wdową, że nie znalazła dotąd bratniej duszy, którąby ją zrozumiała, że jest rodem z Krakowa i że ma zdecydowaną słabość do warszawiaków.

— Pokażę panu wszystkie urocze zakątki Podkarpacia — uśmiechnęła się zachęcająco.

Jakiś dziwny ogień płonął w jej czarnych oczach, czerwone usta uśmiechały się rozkosznie. Czyż mogłem więc powiedzieć samotnej wdowie, że przyjechałem tutaj jedynie i wyłącznie dla odpoczynku? Postąpiłem już raz jak mieszkaniec prerji. Czyż mogłem pozwolić, aby pani Helena uważała mnie za dzikiego człowieka. Tembardziej byłoby to niestosowne, że miała słabość do warszawiaków.

— Jutro wybierzemy się na Howerlę — powiedziała w kilka dni później. — Dobrze?

— Z panią? Wspaniale! — zawołałem, posyłając czarnookiego kusiciela do wszystkich djabłów.

Prawdę bowiem mówiąc, uważam za nonsens piąć się w górę i podziwiać cuda, które o wiele lepiej widać z dołu. Czyż nie przyjemniej tęsknić do majestatycznej Howerli, odpoczywając na leżaku?

Wczesnym rankiem spotkaliśmy się na werandzie. Pani Helena wyglądała zachwycająco w męskiem, sportowem ubraniu. Na stole leżał potwornych rozmiarów plecak.

— Czemu taki wielki? — zapytałem.

— Pan musi się dobrze odżywiać — uśmiechnęła się moja gospodyni. Ale chodźmy już — dodała tonem, nieznoszącym żadnego sprzeciwu — Już późno!

Zarazem spojrzała na mnie tak czule i ślicznie, że plecak wydał mi się lekkim jak piórko, a wyprawa na Howerlę dziejową koniecznością.

Wyprawa trwała dwa dni. Nocowaliśmy w schronisku. Zrobił się nieznośny upał. Promienie słoneczne sprzysięgły się na nas widocznie i prażyły silniej, niż w lipcu. Plecak ważył niemiłosiernie dużo.

— Pan pozwoli, że oprę się na pańskiem ramieniu — szepnęła nagle pani Helena.

Poczułem słodki ciężar jej ciała. Pot strumieniami spływał mi z czoła. Kości bolały potężnie. Ale pani Helena umiała się tak ślicznie uśmiechać...

Gdyśmy wreszcie *zdobyli* szczyt, pani Helena sama, własnoręcznie zdjęła mi ciężar z pleców i zaczęła wyjmować zapasy. Przypomniałem sobie kobiałkę, w którą nas zaopatrzyła poczciwa mameczka! Tylko, że dźwigał ją piegowaty Henio. Niestety! na Howerlę wybraliśmy się bez żadnej przyzwoitki.

— A teraz zabierzemy się do jedzenia — zawołała wesoło młoda wdowa, wyjmując zapasy z plecaka. — Proszę wsuwać. Zabrałam tylko to, co pan lubi.

Okazało się, że moją ulubioną potrawą są kurczęta.

Jęknąłem. Już otworzyłem usta, aby jej powiedzieć kilka słów prawdy, że chcę właściwie odpoczynku, a kurczaki, co dzień jadane w *Ostoi*, już mi obmierzły — gdy uśmiechnęła się do mnie czarownie.

— Helutka bardzo prosi — zajrzała mi czule w oczy.

Z bohaterstwem zabrałem się do wstrętnych kurczaków.

— Szalenie lubię kurczęta, tylko kurczęta — mówiłem z opętańczym zapałem — Wogóle nigdy nic nie jadam, tylko kurczęta. Nawet w nocy śnią mi się kurczęta.

Pani Helena spojrzała na mnie ze współczuciem.

— Pan napewno źle się czuje — powiedziała ze smutkiem — Nic dziwnego. Człowiek, przemęczony całoroczną pracą, musi wypocząć. Ale proszę, niech pan je, bo mamy przed sobą daleką drogę.

Wróciliśmy późno do *Ostoi*. Paraska nie czekając na nas, udała się na spoczynek.

– Tak pięknie świecą gwiazdy – rozmarzyła się pani Helena, gdym jej życzył dobrej nocy – posiedźmy może tutaj jeszcze trochę.

Oczy kleiły mi się do snu. Czułem się zmęczony. Ale usta pani Heleny znajdowały się tak blizko moich...

Wiedziałem z doświadczenia, że najpierw godzinę czasu zajmą nam gwiazdy, księżyc, słowiki i t. p. majowe rekwizyty. A dopiero później, zgłodniała pieszczot Helena padnie w moje ramiona, powtarzając zapewne:



— co pan o mnie pomyśli teraz!

– Co pan o mnie pomyśli teraz!

Przyspieszyłem więc chwilę rozwiązania. Odrzuciłem niepotrzebne dwa pierwsze akty i odrazu przystąpiłem do kulminacyjnego punktu aktu trzeciego. W chwili, kiedy moje usta, pełne jeszcze smaku kurcząt, spoczęły na czerwonych wargach Heleny, młoda kobieta odepchnęła mnie nagle, ukryła twarz w dłoniach i szepnęła:

– Co pan o mnie pomyśli!...

Nie dałem jej naturalnie dokończyć rozpoczętego zdania...

Nazajutrz dzień był pochmurny. Byłby niezrównany na pstrągi. Ale pstrągi już dawno wywietrzały mi z głowy. Obawiałem się natomiast spotkania z czarującą wdową, gdyż nie pamiętałem dokładnie, com jej powiedział wczoraj wieczorem.

Może się oświadczyłem? Włosy stanęły mi dęba!

Postanowiłem więc znowu pożegnać się po angielsku. Zastanawiałem się, gdzie czmychnąć na kilka pozostałych dni – do uroczej Dory? może do Jamny? czy do Delatyna?

Weszła rozczochrana Paraska z pierwszem śniadaniem. Oznajmiła, że pani będzie gotowa za godzinę i czekać będzie na mnie na werandzie.

Ubrałem się pospiesznie. Wrzuciłem do walizki ubranie i zabrałem się do pisania pożegnalnego listu.

Ukochana! – zacząłem – *Tęsknić do ciebie będę wiecznie, ale straszliwe przeznaczenie rozłącza nas...*

Wtem uczułem lekką rączkę na swem ramieniu.

Zerwałem się z krzesła.

Przede mną stała – śliczna Lili.

– Lili! – wykrzyknąłem ze zdumieniem – Przyjechałaś? – dojąkałem.

– Jak ty wyglądasz, Stachu! – zawołała ze współczuciem moja przyjaciółka. – Wracamy zaraz do Warszawy. Musisz stanowczo wypocząć!

– Masz rację – szepnąłem. – Muszę odpocząć. Wracamy do Warszawy.

Uwaga! W następnym zeszycie (Słońca) ogłosimy wielki konkurs fotograficzny z nagrodami na tematy turystyczne.

Irena Lorentowiczówna

Prawdziwy kolor

Ilustrowała autorka

Kolor słońca był przez długie wieki na wszystkich malunkach żółty i złocisty. Od legendarnej promienistości Cimabue, aż po wiek dziewiętnasty, aż po barwę przestrzenną, błękitne cienie i ostre blaski. Wówczas to słońce rozżarzyło się do białości i niebieszczy się i żarzy na wszystkich obrazach poimpresjonizmu, aż do znudzenia, aż do brzydkiej maniery. W tzw. malarstwie paryskiem słońce nietylko jest modne, ale po prostu obowiązujące. U nas, o tej mocnej grze promieni, o tych gwałtownych zieleniach i oranżach wie się bardzo mało i słońce wypowiada się bardzo skąpo. Na wszystkich wystawach przeważa ciężki ołowiany ton i jasnych świateł nie widzi się wcale. U nas maluje się za szaro — tam za biało. Na temat słońca, które aż blaknie, Paryż bardzo wiele blaguje. Aż za bardzo cieszy się tą jasnością. Za to u nas jest smutno. Nieprawda, że nasze rzeki są szare i na naszych plain-airach deszcz pada. Czyż tak trudno dojrzeć na wodzie złoto i srebrzystość — jasne samotne tony, wśród najśliczniejszych popołudni słonecznych? Teraz bardziej niż kiedykolwiek wibruje światło w naszych oczach i nikt nam nie przeszkadza wędrować ze stalugami po całym kraju.

Ale niewiadomo, ile też wiedzieli o tej prawdzie słonecznej skupieni mnisi na wysokich drabinach, malujący freski w zimnych kościołach. Czasem leżeli u stropu na wznak, płacząc rzewnemi łzami. razem z łkaniem aniołów i śmiejąc się prostotą całej poczciwości razem z uśmiechem Jezuska. Wiek piętnasty jakoś inaczej spoglądał w słońce. Stubarwnemi witrażami padały rozedrgane smugi na chłodne posadzki z szarego kamienia i wszystko ginęło w pomroce. Opowiadano wtedy o tem, naklejając złote blaszki na desce, lub wycinając długie misterne promienie wokół świętych głów.

Pierwszy Fra Filippo Lippi przebudził się o brzasku. Stało się to tragicznie i skomplikowanie. Został porwany przez korsarzy, zakuty w łańcuchy, uwieziony na pustynię i smagany słońcem. Podnosił bladą twarz zakonnika i przeklinał palące blaski. A potem na białym murze wyrysował kawałkiem węgla portret swego władcy. To mu dało wolność. I nie wrócił już do zakonu. Historja urocza, pełna radosnych przyśpiewek i szeleszczących materyj w kolorowe bukieciki. Fra Filippo Lippi porwał mniszkę z klasztoru i urodził się Filippino Lippi. który na kwiecistych łączkach zrywał małe stokrotki. Był to śliczny chłopiec. nosił długą cynobrową koszulinę i ze złotym grzebieniem w ręku pozował ojcu do obrazów. Grzebień ten był to dar Koźmy Medyceusza. Mały Filippino nic się nie chciał uczyć i śladami ojca gryzmolił bezustannie. A gdy urósł — zaraz zaczął malować słodkie twarze madonn z usteczkami w ciup i przechylone główki aniołków z zadartemi noskami. Samotne, zjedzone pustką i rozpaczą mnisie oblicza kajały się przed temi obrazami. bicz smagał ciemne, grzeszne ciała.

W owym to czasie Fra Filippo został na klucz zamknięty w pałacu Koźmy. Nie za karę — tylko zmuszano go w ten sposób do malowania, bo bardzo był kochliwy i za dużo biegał po słońcu! Musiał na ponurych murach wykonywać smutne i natchnione sprawy. Ile też słońca mogło być za oknem, gdy Fra Filippo na pociętym w pasy prześcieradle spuszczał się w dół, poprostu *wiał?*

Dziś nikt nikogo nie przymusza do malowania sądu ostatecznego, wszystkich ponurości piekła lub żalów świętej Klary w ciemnicy. Wprost przeciwnie. Dziś zmuszają do malowania słońca. Dzieje się tak w Paryżu. Słońce stało się konwenansem, słońce obowiązuje. Czy i do nas to przyjdzie? Ale powinno być ja-



Fra Filippo Lippi porwał mniszkę z klasztoru



Filippino na kwiecistych łączkach

kieś lepsze, szczersze, prawdziwsze. Tam głównym dopingiem do tego handlu słońcem jest Ameryka. A mecenasami sztuki — *marchandzi*, posiadacze setek sklepów pod szumnemi nazwami galeryj prywatnych, gdzie panuje podniecająca atmosfera spekulacji, a nawet najzwyklejszej gry giełdowej. Obrazy mają umówione wartości, które rzadko kiedy idą w parze z ich walorami artystycznemi.

Rozwija się moda na pewien typ obrazów modernistycznych, różnobarwnych zwierzeń — słońce po troszeczku w soku każdej farby. Kolor muzealny jest już oddawna znienawidzony i panuje przeważnie forma szkicowości. Nieraz zdarzają się genjalne chlapnięcia wielkich talentów, ale rzetelnego stosunku do rzemiosła, niema zupełnie.

Prawda gubi się w obstalunkach wykonywanych pośpiesznie, przy końcu miesiąca, gubi się często w bladze. Zamiłowanie do swobody i wolności staje się niemal występkiem. Twórczą siłę pochłania szalone tempo współczesności.

Zmaterjalizowane słońce wzywa ratunku. Wepchnięte w labirynt ulic, między koślawe szyldy i zamierające w benzynie liście drzew bulwarowych — żółte, złociste i białe słońce domaga się wyzwolenia. Któż zdoła na nowo opowiedzieć o jego prawdziwym kolorze i rozplatać gęste sieci maniery?

Istnieje grupa jawajskich malarzy, którzy nazwali się *nadromantyzmem* i w przeciwieństwie do *nadrealizmu* dążą świadomie do wynalazczości celu. Do grupy tej należą przeważnie malajczycy i chińczycy i jak dotąd malują zupełnie bezsensownie i wtórnie, różne sarenki i owoce, ale wierzą jednak, że zczasem zdołają spojrzeć szczerze słońcu w twarz. Wierzą, że może malarstwo samo jedno stanie do walki ze wszystkiem, co kryje szczerość uniesień i na zatrzaski głupoty i wstydu zamyka święte egzaltacje. Jeszcze nie wiedzą kiedy. Nie znają tej drogi, ani ofiary. Oczekują wstrząśnień doskonałości, która zawiśnie wreszcie nad deszczowym dniem i tupotem tysięcy nóg zwiastować będzie swój marsz *daleki*.

Koła, koła, koła, miljony kół.

Biurka, biurka, miljony biur i biurek i underwoodów.

Jest ta kolektywność zapewne tylko szkieletem i genjalną budową żelaznych szczebli, które spajają wieże osiągnięć.

Z ponad biurek, underwoodów i remingtonów, z miljona sklepów i sklepików, z obrazów, które sprzedaje się na centymetry i mierzy się kilem zjedzonego befsztyka, powstają głowy tych, którzy mają górować i nieść chorągwie.

Jakże ich wiele! Chorągwie, chorągwie, same chorągwie.

Tłum, złożony z miljona głów tych, którzy sami jedni chcieliby nosić sztandary. Cóż z tem począć? I przy tem wszystkiem malarz tworzy sam. Pracuje sobie poczciwie i poprostu, a potem, znacznie później, nazywają to *sztuką z mnogości odczuwań złożoną*.

Średniowieczny rzemieślnik przy swoim warsztacie, z zakasanemi rękawami, — po nowoczesnemu, prawdziwie ogląda kolor słońca.

Już się w dali rozwidnia.



Malują sarenki i owoce

Obce ludy, obce kraje – pan Konstanty was poznaje

czyli zapowiedź niebywałych przygód i odkryć pana Konstantego w kraju zwanym Polską

Ilustrował Leon Chejfec – Pisał a. m.



Pan Konstanty życie prawie
Spędził w kochanej Warszawie
Dziś, gdy jechać ma na urlop,
Aby nabrać sił, rumieńców,

Jest bezradny, niby dziecko —
„Gdzie lepiej? — w Otwocku? — w Urlach?
Jadwisinie, czy Żabieńcu?"
Wilanowską, czy grójecką?



Góry! Poezja kamienia!
Groza i cisza — deszcz śnień —
Słońce kolory rozmienia —
Stoisz i patrzysz — jak we śnie —

Pieniny! Tatry Wysokie!
O, śniegi na szczytach błyszczące,
O, niebo — bliskie — nad okiem —
O, bliskie nareszcie słońce! —



— Serwus, wuju! Co za troska
W humor twój wprowadza rozkład?
— Witaj, Jaśku! Co ty na to?
Nie wiem, gdzie jechać na lato.

I po długim już namyśle
— Palec w palec — zostać? — Bene.
A więc pójdę do Łazienek
I przejadę się po Wiśle —



Albo polskie, wujaszku, Pomorze,
Boże! — czyż jego piękno odtworzę: —
To powietrze w Tucholskich borach! —
Te milczące koszubskie jeziora! —

Na Bałtyku — fale białe, jak owce! —
I okręty! — i jak mewy — żaglowce! —
Plaże — kąpiel w rozpryskanych fal grzywach —
— Przestań Jasiu! bo mię aż coś podrywa!



Ależ wuju! — Wielkie nieba!
Raz rozprostuj stare członki —
Czy koniecznie jechać trzeba
Do Jabłonny lub Zielonki?

Tyle piękna jest dla oka!
Jakiż bezruch cię tu przykuł?
Polska długa i szeroka —
Od Karpat aż do Bałtyku! —



Jesteś Kolumb! — Daj pyska —
Pozwól niech Cię uściskam! —
W samąś, Janku, wpadł porę!
Teraz już coś wybiorę —

Lecz to martwić mnie będzie:
Chcę odrazu być wszędzie.
— Bywaj wuju! Jest to rzecz oczywista —
Będzie z ciebie prima klasa turysta!

WIADOMOŚCI PRAKTYCZNE O UZDROWISKACH, LETNISKACH, PENSJONATACH, HOTELACH



Pałacyk w Bąblinie — obecnie znane letnisko



W Bąblinie Warta dostarcza niemało rozrywek

Bąblin

Do najpopularniejszych letnisk, ściągających gości z różnych okolic Polski, należy Bąblin w woj. poznańskiem. Leży malowniczo nad Wartą, o 6 km. od Obornik, w okolicy suchej, lesistej. Znajduje się tu pensjonat letniskowy o 45 pokojach o 1 do 5 łóżek. Mieści się w dawnym eleganckim pałacu dworskim oraz w dworku, leżących śród 40-morgowego, cienistego parku, nad samym brzegiem Warty. Co rok bawi w Bąblinie ok. 200 let. Stacja kolejowa Bąblin na miejscu. Wodociągi, kanalizacja, elektryka. Kąpiele w Warcie, plaża. Kręgielnia, boisko tennisowe. Czytelnia, bilard, pianino. O pokoje zwracać się do Zarządu — w dyrekcji kolei państwowych w Poznaniu, pokój 214.

Ciechocinek

Jest to jedno z najwyżej postawionych zdrojowisk polskich. Posiada 14 obfitych źródeł. Obecnie pozyskało rzecz nieocenioną — cieplicę, t. j. naturalną solankę ciepłą. Rozporządza 3500 pokojami. Liczba kuracjuszów dochodzi do 20.000 rocznie. Posiada Ciechocinek 4 wiel-



Stylowy dom zarządu zdrojowego w Ciechocinku. Cały Ciechocinek tonie w zieleni parkowej, uprzyjemniającej pobyt i podnoszącej przyrodzone wartości tego zdrojowiska



W parku ciechocińskim



Pełna wdzięku *Sienkiewiczówka* doktorowej Sawickiej—jeden z najpiękniejszych i największych pensjonatów w Ciechocinku. Zawiera wraz z sąsiednią *Juljanówką* 90 pokojów



Mieczysław Frenkiel, stały gość *Sienkiewiczówki* doktorowej Sawickiej w Ciechocinku — na tarasie tego pensjonatu

kie gmachy kąpielowe o 365 wannach różnego rodzaju z pierwszorzędnemi nowoczesnemi urządzeniami. Ciechocinek zaleca się w chorobach następujących: zołzy i skaza wypocinowa u dzieci, wszelkie wypocinowe sprawy, jako pozostałość przebytych zapaleń (narząd ruchu, opłucna, otrzewna i t. d.); nieżyty górnego odcinka dróg oddechowych; choroby serca i naczyń, choroby przemiany pierwiastków – cukrzyca, otłuszczenie, skaza kwasu moczowego. Stosuje się w zdrojowisku ciechocińskiem kąpiele solankowe, okłady borowinowe na solance, kąpiele kwasowęglowe, parowe,natryski, wziewania solankowe, uzupełnione ostatnio przyrządami do leczenia rozrzedzonem powietrzem, zabiegi elektrolecznicze i wodolecznicze, wreszcie kąpiele piankowe i przyrządy do przepłukiwania krtani w kąpieli. Do wszystkich zabiegów powyższych zakład zaopatrzony jest w nowoczesne urządzenia. Nadto znajdują się tutaj. zakład leczniczo-gimnastyczny zanderowski i kąpiele powietrzno-słoneczne.

Inowrocław

Inowrocław posiada 60 łazienek do kąpieli solankowych i węglikowych, 14 łazienek do kąpieli borowinowych, urządzenia do kąpieli elektrycznych i słonecznych. W r. 1929 pozyskał nadto wspaniałą nowoczesną wziewalnię oraz nowe łazienki borowinowe. Wreszcie powstają tu urzadzenia wodolecznicze tworzone podług najnowszych metod.



Główny i najstarszy budynek kąpielowy Solanek miejskich w Inowrocławiu



Wziewalnia - wspaniały nabytek Inowrocławia z roku 1929



Ul. Solankowa w Inowrocławiu — wiodąca z miasta do zdrojowiska



Na stawie w Inowrocławiu

Z każdym rokiem szybko postępując, Inowrocław wybija się na jedno z pierwszych naszych uzdrowisk. Co rok ok. 6.000 kuracjuszy. Zaleca się w tych samych dolegliwościach, co Ciechocinek. Sezon od 1.V do 31.X. Wielki, 170-morgowy park solankowy. Wycieczki. Tennis i inne sporty. Teatr, 2 kina, 2 orkiestry i t. d. Inowrocław należy do tańszych uzdrowisk. Właścicielem zdrojowiska inowrocławskiego jest miasto.



Korytarz łazienek w Krynicy

Krynica

Wiadomości szczegółowe o Krynicy oraz o innych zdrojowiskach tej samej grupy – Szczawnicy, Żegiestowie, Krościenku, Muszynie – zawiera art. prof. L. Korczyńskiego na str. 45 niniejszego zeszytu. Znajdą tam czytelnicy zarówno gruntowne dane lecznicze, jak również informacje praktyczne dotyczące pobytu.

Kosów

Kosów, to letnisko klimatyczne i owocowe. Jest zbiorowiskiem złożonem z miasta i przylegających doń pięknych wsi podmiejskich. Klimat łagodny, bez ostrych przejść, zacisze. Jedna z najbardziej słonecznych miejscowości w Polsce. 6 pensjonatów i Zakład d-ra Tarnawskiego. Pozatem izby u włościan i mieszczan tutejszych. Kąpiele w bystrej Rybnicy. Stacja Kołomyja o 32 km.; stąd autobusy, samochody i konie. Niewyczerpane okazje do najpiękniejszych wycieczek górskich i nizinnych.



W Krynicy, w eleganckim ośrodku zdrojowiska



W pięknym parku zdrojowym w Krynicy



Gimnastyka poranna w Zakładzie d-ra Tarnawskiego w Kosowie jest nieodłącznym czynnikiem leczniczym tego Zakładu, obok bezwzględnej hygjeny, kąpieli słonecznych, powietrznych i wodnych, jarstwa lub głodówki, odżywiania się owocami itd.



W Kosowie na rynku w targi jest bajecznie kolorowo od strojów ludu huculskiego, który tu ściąga ze swych górskich wiosek – z Jaworowa, Riczki, Krzyworówni

Kosów z okolicami stanowi ośrodek artystycznej ceramiki ludowej, tkactwa kilimowego tudzież artystycznego przemysłu drzewnego.

W pow. kosowskim i sąsiednim peczeniżyńskim jest wiele mało znanych a pięknych letnisk, jak Pistyń, Szeszory, Jabłonów, Berezów Niżny, Kosmacz, Hryniawa, Jawornik, Krzyworównia, Żabie i t. d.



Na ganku miłego pensjonatu *Plaża* w Zaleszczykach, prowadzonego pod osobistym kierunkiem pani Maxymowiczowej



Willa nad Dniestrem w Zaleszczykach, pensjonat *Ustronie* p. Zofji Nadachowskiej z Krakowa. Profil fasady pensjonatu i widok na Dniestr

Chełmno

Chełmno, to jedno z najpiękniejszych miast polskich, a bezwarunkowo najpiękniejsze na Pomorzu. Dzięki wysokiemu położeniu nad Wisłą i zdrowemu klimatowi, nadaje się na letnisko. Starożytne, zabytkowe kościoły, piękne pozostałości po dawnych murach obronnych, cudownie piękny ratusz (patrz str. 25). Dwa hotele. Kilka lecznic. Rzeźnia miejska. Komunikacja autobusowa, dostosowana do celów wycieczkowych, pozwala na łatwe zwiedzanie okolicznych miejscowości pomorskich, odznaczających się bądź zabytkami bądź malowniczem położeniem – więc Ostromecka, Sartawic, Starogardu, Świecia i in. Wiadomości o mieszkaniach na lato udziela magistrat.



Śliczny, starannie utrzymany park miejski w Chełmnie, rozłożony tarasowato na dawnych wałach miejskich i stokach wzgórza chełmińskiego, jest przemiłem miejscem spacerów



W Truskawcu okazyj do przechadzek nastręczają nietylko lasy okoliczne, nietylko urocza droga na Horodyszcze, lecz także park zdrojowy *Adamówka*, mieszczący się niedaleko łazienek

Truskawiec

Leży w zagłębiu naftowem. Posiada trojakie wody: solankę, siarczankę i odrębną hipotoniczną Naftusię, silnie pędzącą mocz, więc niezastąpioną w cierpieniach moczowych. Zakład posiada 3 łazienki: do kąpieli solankowych, siarczanych, słono-siarczanych i błotno-siarczanych. Nadto wziewalnię i inne urządzenia, wreszcie nowoczesną lecznicę urologiczną i djetetyczną d-ra M. Staszewskiego. Pokoi dla gości ok. 4.000. Co rok ok. 10.000 kuracjuszów. Truskawiec zaleca się w chorobach następujących: niesprawność mięśnia sercowego, miażdżyca tętnic, pletora brzuszna, choroby przemiany pierwiastków (otłuszczenie skaza kwasu moczowego, cukrzyca), nieżyty oskrzeli, zwłaszcza zastoinowe, nieżyty górnych dróg oddechowych, kamica żółciowa, kamica nerek i pęcherza moczowego, nieżyt miedniczek i pęcherza, nieżyt jelit grubych, krwawnice. Wyłącza się: w gruźlicy, niewyrównanych schorzeniach narządu krążenia. Pobyt w Truskawcu urozmaica dobra orkiestra, życie towarzyskie w ruchliwym klubie, wycieczki do zagłębia naftowego, zabawy taneczne, kino, czytelnia, bibljoteka i t. d.

Stanisławów

Miasto wojewódzkie Stanisławów znane jest dobrze letnikom, udającym się do miejscowości nad Prutem, do Zaleszczyk, do Kosowa i t. d. Posiada od niedawna pierwszorzędne sanatorjum położniczo-chirurgiczne d-ra J. Gutta (ul. Kamińskiego 9, tel. 334), które na żądanie telefoniczne natychmiast wysyła samochód po pacjenta.



Stanisławów – miasto leżące na drodze do wielu uzdrowisk południowych – pozyskał niedawno okazałą lecznicę położniczo-chirurgiczną d-ra Jana Gutta



Na plaży przed pensjonatem *Zacisze* w Zaleszczykach

Zaleszczyki

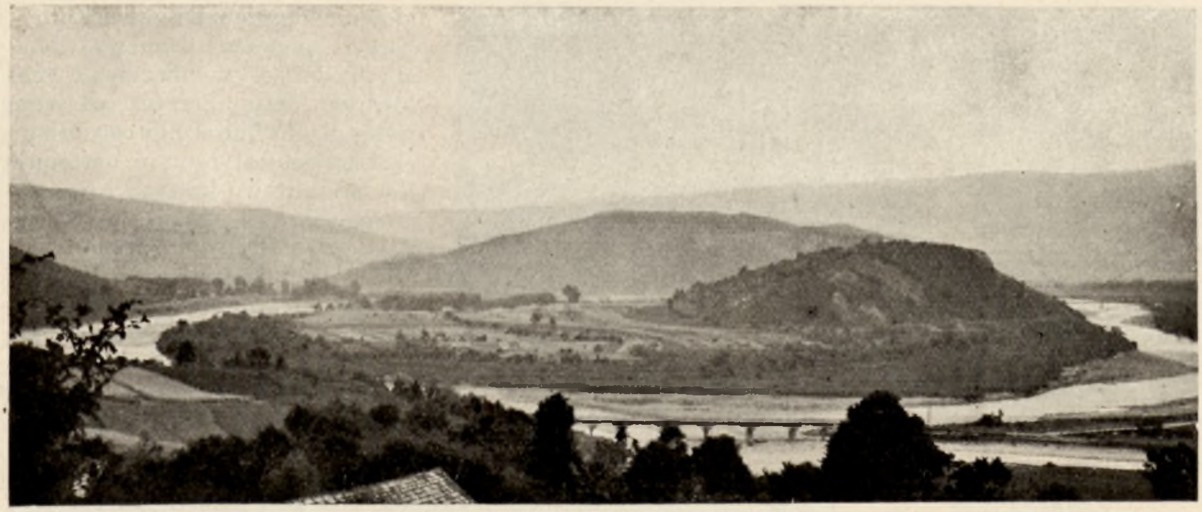
Zaleszczyki zdobywają sobie w całej Polsce rozgłos, jako miejscowość o silnem nasłonecznieniu i obfitości owoców. Zaleszczyki zaleca się w chorobach następujących: ozdrowiny po cięższych chorobach zakaźnych, przewlekła, wyrównana choroba Brighta, nerwice ogólne, zwłaszcza u osób osłabionych, a przytem nadmiernie wrażliwych. Nie zaleca się – w arterjosklerozie, rozedmie płuc i rozwiniętej gruźlicy. Stawszy się uzdrowiskiem, Zaleszczyki zdobyły się na szereg dobrze postawionych pensjonatów, jak np. Willa *Słoneczna, Plaża, Świt, Zacisze.* Przechadzki w Zaleszczykach są dość ograniczone, głównie brzegiem Dniestru. Zato – bardzo ponętne wycieczki bliższe i dalsze: w niezwykle malowniczą dolinę Seretu, zwłaszcza od ujścia do Bilcza Złotego, usianą skałami fantastycznemi; następnie do labiryntowo krętych i szeroko rozgałęzionych jaskiń w Bilczu Złotym; dalej do Kasperowiec, Nowosiółki Kostjukowej, Gródka, Ujścia, do których prowadzi wysoko wzniesiony, kręty a dobrze bity gościniec z malowniczemi widokami, do Winiatyniec na tłumny, barwny odpust 15 sierpnia, w dolinę Dżurynki do Uścieczka z ogromnym wodospadem, do Czerwonogrodu z ciekawym pałacem, mauzoleum Ponińskich i ślicznym wodospadem na Dżurynie, do Lesiecznik i in. Wreszcie – wycieczka na przeciwny rumuński brzeg Dniestru, do Kryszczatyku. Zaleszczyki, a wraz z niemi wsie okoliczne – Dobrowlany (o 3 km.), Gródek i Kościelniki, i dalsze – Czerwonogród, Michałków, Ujście Biskupie, Chudykowce i Mielnica, Dźwinogród, Trubczyn, Bielowce, Horoszowa aż po Okopy mają przed sobą wielką przyszłość letniskową, byleby się znalazły ręce przedsiębiorcze do ich wyzyskania.



Najweselej bawią się goście pensjonatu *Słoneczna* na plaży w Zaleszczykach



Ogród pensjonatu *Słoneczna* d-rowej Pułjanowskiej i p. Korowickiej



Ujście Oporu do Stryja pod Synowódzkiem koło Skolego w Karpatach Stryjskich Fot. Szczepaniak



W sali jadalnej *Stachowej Woli* w Hrebenowie

Hrebenów, Zełemianka, Tuchla

Do pięknych okolic Polski, mało jeszcze znanych szerszemu ogółowi, należy urocza dolina górskiego Oporu, dopływu Stryja. Łagodne wzgórza tutejszych Karpat Stryjskich pokrywają niezmierzone lasy, bardzo mało jeszcze przetrzebione niszczycielską ręką człowieka. Do tego zakątka pełnego krasy coraz częściej zaczynają zjeżdżać letnicy, zwabieni pięknem położeniem i przeczystem powietrzem.

Największem uznaniem cieszy się duża wieś, położona zacisznie — Hrebenów oraz tuż obok w tej samej gminie hrebenowskiej leżące zdrojowisko słono - jodo - bromowe Zełemianka, które jest zarazem stacją klimatyczną, wreszcie — rzucona w obszernej kotlinie górskiej Tuchla.

Tuchlę otacza wieniec gór wysokich ponad 1300 m. Lasy iglaste. Grunta górskie, suche. Klimat podgórski. Wystawa południowa, b. słonecznie. Powietrze czyste. Zacisznie, dzięki doskonałej osłonie. Piękna, górska zima. Warunki na stację klimatyczną. Stałych mieszkańców ok. 1.500. W kilku dworkach oraz chatach góralskich ok. 50 izb, 2 pensjonaty. Co rok bawi ok. 800 letników. Stacja na miejscu, na linji Stryj — Ławoczne. Las tuż.



Ogólny widok Zełemianki, ukrytej śród gór i lasów niezmierzonych



Widok z Zełemianki nad Oporem na Hrebenów i górę Paraszkę w głębi Fot. St. Radomski

Znakomite, rzeźwe kąpiele. Hrebenów ma stałych mieszkańców 560. Pensjonatów 12 o 170 pokojach oraz ok. 350 izb w domach wiejskich, przeważnie z kuchniami. Nadto dom zdrowia Tow. Pracowników Pocztowych we Lwowie. Co rok ok. 3000 letników. Stacja Hrebenów na miejscu. Wycieczki do Skolego, na Klucz, do Rożanki, Sławska, Ławocznego oraz na szczyty pobliskich gór skolskich: na Zełemin (1167 m.), Paraszkę, Świniniec, Makówkę i in. Kąpiele w Oporze.

Zełemianka posiada źródło silnej solanki, zawierające obok innych składników, jod, brom,



Pensjonat *Stachowa Wola* w Hrebenowie



Widok jednej z połaci uroczego Hrebenowa nad Oporem

i żelazo. Zdrój badano naukowo kilka razy. Skład chemiczny podobny do wód iwonickich. Pensjonat zakładowy o 70 umeblowanych pokojach w 5 dworkach, ładnie położonych w parku zakładowym. Pozatem pomieszczenia w sąsiednim Hrebenowie. Łazienki mineralne mają 8 kabin z 16 wannami. Zełemianka, jako stacja klimatyczna, zaleca się przedewszystkiem w ozdrowieństwie po chorobach dróg oddechowych, w niedokrwistości, błednicy. Kąpiele zaś zełemiańskie zaleca się w przewlekłych zapaleniach stawów na tle wadliwej przemiany materji, w gośćcu stawowym i mięśniowym, w chorobach gruczołów limfatycznych, w osłabieniu nerwowem.

ZDROJOWISKO MORSZYN

wśród lasów i wzgórz Podkarpacia 325 m. n.p.m. Kolej, poczta, telegraf, telefon na miejscu. Jedyne w Polsce zdroje wód gorzkich, odpowiadających w działaniu wodom Karlsbadzkim.

ŚRODKI LECZNICZE:

picie wód gorzkich, kąpiele solankowe (solanka 32°), borowinowe, gazowe i inne, przyrodolecznictwo. :: :: :: :: :: :: :: :: :: :: :: :: :: :: :

WSKAZANIA SPECJALNE:

choroby wątroby i jelit, wadliwa przemiana materji, (otyłość, dna, cukrzyca).

CHARAKTER KURACJI:

leczenie intensywne (okres trzytygodniowy) w zupełnej ciszy wiejskiej.

Zakład djetetyczny — pod kierunkiem lekarza
(odżywianie indywidualne, ślisle w/g przepisanej djety)

Łazienki murowane — kanalizacja, wodociągi.
SEZON: 20 maj — 30 wrzesień.

Inform. i zamów.: Sp. Akc. „ZDROJE POLSKIE",
Warszawa, ul. Piękna 2, tel. 83-60
albo Zarząd Zdrojowy w Morszynie (Małopolska Wschodnia).

DOM MEBLOWY
M. Pleszowski
Kraków,
Mały Rynek 2.
Tel. 4116.
DYWANY
KILIMY
BROKATY
KOŁDRY
Firma odznaczona złotym medalem Katowice 1928 r.

PRZEDSIĘBIORSTWO
BUDOWLANE
Albin Wiktor
Kraków,
ul. Król. Jadwigi 94,
telefon 4507.
Budowa
pensjonatów,
will i t. p.
Rekonstrukcje.

HOTEL POLLERA
KRAKÓW, UL. SZPITALNA 30
Tel. 262, 420.

Naprzeciw teatru Miejskiego w pobliżu dworca kolejowego i Rynku.

poleca:

pokoje urządzone z komfortem od 4 zł. wzwyż. Pierwszorzędna restauracja z muzyką koncertową.



HOTEL PENSJONAT
RADOWID
ZAKOPANE
ul. SIENKIEWICZA TELEFON 424

Położenie słoneczne. Piękny widok na góry. Centralne ogrzewanie. Kuchnia wykwintna. Ceny przystępne. Urządzenie komfortowe podług najnowszych wymagań hygjeny. Gorąca i zimna woda we wszystkich pokojach.

Redaktor i Wydawca *Czesław Rokicki*

Kierownik administracji: *Jan Kaszewski* Sekretarka wydawnictwa: *Danuta Oroszowa*

Redakcja i administracja: Warszawa, Bugaj 11

Redaktor przyjmuje: we wtorki i piątki od 7 do 8 wieczorem

Przedpłata roczna: na papierze artystyczym — zł. 10.50. na kredowym — zł. 14. Konto w P. K. O. 10414

Rozmiary pisma: rocznie ok. 250 stron i ok. 500 ilustracyj

Ceny ogłoszeń: po tekście — cała str. 400 zł., w tekście lub przed tekstem 550 zł.; okładka: IV str. 1000 zł., II i III 750 zł.

Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka w Warszawie, ul. Chmielna 61.

Cena niniejszego egz., na papierze artystycznym zł. 2.60.

ZAKŁ. GRAF. B. WIERZBICKI I S-KA, WARSZAWA.